

Kane Mallory

Bez skrupułów

Gorące noce w Luizjanie mogą być niebezpieczne... Dana, prześladowana przez groźnego szaleńca, przekonała się o tym aż nadto boleśnie. Ochrony nad nią podejmuje się Cody, jej były mąż. Dana ma do niego wiele żalu, lecz bezgranicznie mu ufa. Muszą stawić czoło śmiertelnemu niebezpieczeństwu, a wspólna walka scementuje ich związek - teraz

PROLOG

Gerard Fontenot przyczał się w załomie domu przy ulicy Świętego Piotra i czekał. Od czterech lat praktycznie nie robił nic innego. Czekanie stało się nierozłączną częścią jego życia. Wszelkie związane z nim odczucia znał już na wylot, co wcale jednak nie znaczy, że miałyby mu to sprawiać jakąkolwiek przyjemność.

Lecz na co czekał? Na tę właśnie chwilę, kiedy znajdzie się w miejscu, w którym teraz się znajdował.

Po jego wąskich ustach przemknął niemal niewidoczny, pełen perfidnej satysfakcji uśmiešek. Detektyw Maxwell zdziwi się, pomyślał Fontenot z zadowoleniem. Nie docenił jego możliwości, nikt go nie doceniał.

Wielu próbowało rozgryźć tę po-

8 Mallory Kane

przednią historię, ale nawet Maxwellowi nie udało się udowodnić, że to właśnie on, a nie kto inny, zamordował swoją żonę. Co więcej, detektyw Maxwell potraktował tę sprawę, nie wiedząc czemu, niczym osobistą krucjatę przeciwko zbrodni. Nie dawał mu chwili wytchnienia, bezustannie deptał po piętach, co doprowadzało Fontenota do napadów furii. W końcu nie wytrzymał tej jego nadgorliwości i wystrzelił do Maxwella, choć wiedział, że to błąd. I to duży błąd. Ale wpadł w lekką panikę, gdyż detektyw był na najlepszej drodze, by odkryć prawdę o śmierci pani Fontenot, a do tego przecież pod żadnym pozorem nie wolno było dopuścić. Nie jest dobrze, gdy ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy. Zwykle wszyscy na tym cierpią.

Fontenot poskrobał się po głowie. Teraz nie było miejsca na błędy, o nie. W więzieniu nauczył się cierpliwości i opanowania. Tym razem dopracował plan do perfekcji. Zawsze uważał, że jest przebiegły, lecz teraz miał wrażenie, że nikt go nie pokona i nikt nie dosięgnie. Od jakiegoś czasu bawił się z Maxwellem w kotka i myszkę, drażniąc go tym zachowaniem w niepojęty wręcz sposób. Tak, to prawda, rezultaty tej uroczej zabawy przerosły jego najśmielsze oczekiwania.

Uśmiechnął się błogo. Z perspektywy czasu najbardziej udanym manewrem wydało mu się włączenie do całej intrygi żony Maxwella. W ten sposób detektyw był ugotowany. Doskonale wiedział, co Fontenot zamierza zrobić, lecz nie miał pojęcia, jak **go** powstrzymać.

Bez skrupułów

9

Niemal niewidoczny uśmiezek zadowolenia, malujący się na twarzy Fontenota od momentu, kiedy się tu pojawił, zamienił się teraz w szeroki, szczery, choć szydrczy uśmiech, gdy dostrzegł podjeżdżający do krawężnika samochód Maxwella. Detektyw wyskoczył z wozu i począł bacznie rozglądać się dokoła. Fontenot wstrzymał oddech. Czyżby się go tu spodziewał? Po chwili jednak Maxwell odwrócił się i zniknął w drzwiach pobliskiego budynku. Serce Fontenota zaczęło mocniej bić. Znowu więc pokpił sprawę: nie zauważył go, a powinien, oj, jak bardzo powinien... W myślach odliczał każdy krok wykonywany przez Maxwella i widział każdy jego ruch. Detektyw, wciąż niczego nie podejrzewając, nieuchronnie zbliżał się do swojego przeznaczenia. Fontenot zamarł w bezruchu i czekał; czekał na to, co się za chwilę miało wydarzyć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maxwell wbiegał po schodach. Gdy otwierał drzwi, jego mózg zarejestrował ten charakterystyczny i jakże dobrze znany dźwięk. Za późno! Ta myśl, niczym zatruta strzała, przeszła jego umysł. Za późno. Rzucił się wprawdzie na podłogę i nasłuchiwał, licząc na cud. Ciche trzaśnięcie, które długo jeszcze rozbrzmiewało w jego uszach, zdawało się o niebo głośniejsze niż eksplozja, która po nim nastąpiła. Leżał skamieniały, nie wiedząc, czy nie porusza się, bo jest ogłuszony wybuchem, czy też nie żyje. Wokół panowała absolutna cisza, co wskazywało raczej na tę drugą wersję. Żadnych krzyków, żadnych pisków, tylko bezwzględna cisza, ani śladu po napastniku. Huk wybuchu także dawno już się rozproszył. Nagle, w drugim końcu korytarza, usły-

Bez skrupułów 11

szał skrzypnięcie drzwi, a potem zgrzyt przekręcanej zasuwy. Wykrzywił twarz, jakby chciał powiedzieć: „Dzięki, sąsiedzie”, i nagle zdał sobie sprawę, że jednak udało mu się przeżyć ten wybuch, i to na szczęście bez większych obrażeń. Oczywiście trochę się potłukł, padając na podłogę, ale to bez znaczenia. A przynajmniej tak mu się wydawało aż do momentu, kiedy sięgnął po pistolet. Gdy tylko poruszył ręką, omal nie zawył z bólu. Teraz z kolei był przekonany, że ma całkiem roztrzaskane lewe ramię. Pewnie kumple mieliby mu za złe to cackanie się z sobą, a przede wszystkim marudne sięganie po ten cholerny pistolet. A Dana? Otrząsnął się. Dana przecież nie należała już do jego życia. Usiadł bardzo powoli i próbował się jakoś ogarnąć. Wstępne oględziny wypadły nie najlepiej: miał gigantyczną śliwę na czole, piekące zadrapania na policzku i ranę postrzałową. Wydawało mu się, że pocisk przeszył ramię na wylot. Odwrócił głowę. Na ścianie widniał ślad po kuli. No tak, nie ma co, nieźle... Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie, a lewa ręka zwisała bezwładnie. Poczuł, jak ciepłe i lepkie stróżki spływają wzdłuż ramienia w kierunku dłoni, a po chwili ujrzał na podłodze tworzącą się kałużę krwi. Cholera, a więc skórzana kurtka nadaje się już tylko na śmietnik, pomyślał ze złością. Wyjął z kieszeni komórkę, brodą otworzył klapkę i wybrał numer swojego kumpla. Silny zawrót głowy sprawił, że oparł się o ścianę. Modlił się w duchu, żeby Dave miał włączony telefon. - Tak?

12 Mallory Kane

- Cześć, stary, potrzebuję pomocy... - Cody urwał, gdyż to, co zobaczył, wprawilo go w osłupienie. Przez półotwarte drzwi do swojego mieszkania dostrzegł mianowicie, że ciężkie kuchenne krzesło jakimś cudem znalazło się w przedpokoju.

- Pomocy? A co, znów masz kłopoty? Cholera, wystarczy na chwilę spuścić cię z oka... Więc co się dzieje? - Dave Gautier, który przed chwilą rozstał się z Maxwelllem, nie krył swego zdziwienia.

- Mam pewne problemy... jestem w moim mieszkaniu. Odpuść sobie te przesłuchania, rusz tyłek i przyjeżdżaj.

- Co się dzieje, stary? Nic ci nie jest? - Głos Dave'a natychmiast spowaźniał. Wiedział, że w tym zawodzie często nie ma czasu na żarty.

- Nic mi nie jest, tylko kilka zadrapań... Najwyraźniej Fontenot coś majstrował przy drzwiach mojego mieszkania. Boję się, że mógł też grzebać przy drzwiach Dany... - Podeszedł bliżej i dokładnie przyjrzał się, jak został zamontowany rewolwer. No tak, od spustu odchodziła cienka, nylonowa linka.

- Fontenot? Ten psychol? A więc znów wyszedł z nory... Stary, już jadę!

- Jest jeszcze jedna sprawa. Dana wyjechała z miasta i do jutra jej nie będzie. Zanim wróci do Nowego Orleanu, trzeba koniecznie sprawdzić jej mieszkanie. Zajmiesz się tym?

- Jasne.

- Dzięki, stary.

Rozłączył się. Wreszcie mógł dokładnie przyjrzeć się trzydziestce ósemce, która o mały włos nie

Bez skrupułów 13

odstrzeliła mu głowy. Pistolet przymocowany był do masywnego krzesła, a linka łączyła spust z klamką drzwi wejściowych, które otwierały się do wewnątrz. Specjalny bloczek powodował, że w chwili ich otwarcia linka, zamiast się poluznić, naprężała się, zwalniając spust.

- Cholera, całkiem nieźle - mruknął Cody. Wszystko dokładnie przeanalizował, sprawdził tor lotu pocisku... i nagle go olśniło. - Jasny gwint! - syknął. - Więc tak ze mną pogrywasz, ty cholerny śmierdzielu... Stało się oczywiste, że Fontenot wcale nie chciał go zabić. Zamierzał tylko zabawić się jego kosztem. Oczywiście na swój sposób...

To, że chciał się zabawić z nim, to jeszcze pół biedy. Cody poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Dana! Nawet nie próbował się zastanawiać, co ten szaleniec mógł wymyślić dla niej. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął mały złoty krążek, który znalazł dziś na siedzeniu swojego samochodu. Z przerażeniem stwierdził, że był to kolczyk jego byłej żony. Klnę się na Boga, Fontenot, poprzysiągł sobie w duchu, jeżeli spadnie jej choćby jeden włos z głowy, zatłukę cię jak psa!

Wszedł do środka i rozejrzał się po mieszkaniu. Wiedział jednak, że to nie jego zadanie. Wkrótce wszystkim zajmie się Dave i specjaliści z ekipy dochodzeniowej.

Natomiast on jak najprędzej musiał dostać się do Dany.

14 *Mallory Kane*

Woda z olejkiem z melisy pachniała cudownie odświeżająco. Dana zanurzyła się w niej i już po chwili poczuła, jak zmęczenie odpływa. Zastanawiała się, dlaczego sądziła, że praca w firmie prawniczej będzie mniej stresująca niż praca na sali sądowej. Z pewnością była mniej nerwowa czy może raczej mniej szarpiąca, ale spędzanie całego tygodnia na spotkaniach ze starzejącymi się, twardogłowymi biznesmenami, także nie napawało optymizmem. Dziś wydawało jej się to i nudne, i męczące. Na sali sądowej przynajmniej się coś działo. Poza tym trudno było się oprzeć wrażeniu, że ci brzuchaci faceci nie traktowali jej poważnie. Te ich ciągle pseudoczule słówka, niezbitcie świadczące o tym, jaki tak naprawdę mieli do niej stosunek, doprowadzały ją do szaleństwa. Świergotali jeden przez drugiego, jak gdyby byli w szczycie godowego okresu: kochana, maleńka, słoneczko, laleczko..

Nie mogła już dłużej tego słuchać, a nawet zaczęła się zastanawiać, czy nie wrócić do spraw karnych. Ostatecznie dobiła ją ta dzisiejsza historia, kiedy to jeden z jej partnerów z firmy poprosił, żeby wyszła z sali obrad, bo chcieliby pogadać w męskim gronie. Uzasadnienie tej prośby było wprost niesłychane i absolutnie nie do przyjęcia. Chodziło o to, że zacni dżentelmeni chcieli porozmawiać o czymś, co nie nadawało się dla jej „małych, ślicznych uszek”. Ogarnęła ją wówczas taka wściekłość, że musiała zagryźć mocno zęby, by nie strzelić partnera w twarz.

Dana przekreśliła głowę i jęknęła z bólu. Pewnie,

Bez skrupułów 15

że wyszła skoro ją o to poproszono, ale nie tylko z pokoju. Rozzłoszczona głupotą tych facetów, wyszła z biura i postanowiła wrócić do Nowego Orleanu. Wykonała krótki telefon, w którym wyjaśniła, że jest chora, wraca do domu i jutro też nie mogą na nią liczyć. Skłamała, ale co z tego.

Wprawdzie wyszła z pracy w czasie ważnego zebrania, ale w istocie sami ją o to poprosili.

Zmarszczyła nos. Czy mogła zrobić coś jeszcze, by zniszczyć swoją karierę? Benett był największym klientem, z jakim do tej pory pracowała. Jutro miała podpisać z nim nowy kontrakt. Uśmiechnęła się pod nosem. Ciekawe, co zrobi w tej sytuacji Fraser, jej szef. Jeśli mimo wszystko nadal chciała zostać w tej firmie, musi przez weekend przygotować jakieś rozsądne usprawiedliwienie swojej nieobecności. W końcu olała trzeciego co do wielkości klienta firmy Irwin, Borne & Howe. Trzech starych pierdzieli - tak właśnie zwykł określać Cody jej pracodawców. Sama myśl o tym przywołała na jej zmęczoną twarz szeroki uśmiech. Nie próbował wprawdzie nigdy odwozić jej od zrezygnowania z pracy w sądzie, choć podkreślał, że uważa ją za doskonałego obrońcę spraw publicznych i że to dla sądu wielka strata. Uprzedzał ją, że w tej firmie zanudzi się na śmierć, no i miał rację. Ale bez porównania gorszy był lekceważący stosunek jej partnerów i brak szacunku, jaki okazywano jej niemal każdego dnia. Po cholere ją zatrudnili?

Dana zmarszczyła czoło. Co też ją skłoniło do tego, żeby przywoływać wspomnienia? Nie miała prze-

16 *Mallory Kane*

cież zamiaru wracać do sądownictwa, do tej nieustannej nerwowej szarpaniny, do z góry skazanych na przegraną spraw. To była praca zarówno ponad jej siły, jak i ponad psychiczne możliwości.

Wyciągnęła się wygodnie w wannie. Co za rozkosz zrobić to w tak olbrzymiej wannie, nieodmiennie myślała w takiej chwili. Zaiste, wanna miała wyjątkowe rozmiary, była prawie tak wielka jak łóżko. A teraz Dana pławała się w niej, cicho pomrukując z zadowolenia. Po całym dniu udreki to było naprawdę coś!

Przypomniała sobie mieszkanie Cody'ego we francuskiej dzielnicy. W jego wannie, jeśli coś takiego można w ogóle tak nazwać, trzeba było siedzieć w kucki. Choć z drugiej strony nie dało się ukryć, że miało to swój urok. Ileż to razy Cody przysiadł na wannie i masował jej plecy... Zagryzła dolną wargę i przymknęła oczy. Wydawało jej się przez moment, że czuje na ramionach jego dłonie. Zawsze przy tym szeptał jej te wszystkie rzeczy do ucha, a potem nacierał gąbkę mydłem i przystępował do innego masażu...

Dana otworzyła oczy. Cholera, zagalopowała się trochę. Nie chce o nim myśleć! - zrugła się w duchu. Usiadła gwałtownie. Te niechciane wspomnienia zirytowały ją. To wszystko jego wina. Dzwonił na początku tygodnia, a jego głos brzmiał tak zaskakująco poważnie, że teraz wszystko zaczęło do niej powracać, wszystkie jego ciepłe słowa i gesty, I burzyć jej ład i porządek, które zbudowała z takim trudem. A przecież nie powinny mieć już dla niej

Bez skrupułów 17

żadnego znaczenia. Swoją drogą, jak to możliwe, że tak prędko się w nim zakochała, a tak trudno było jej z nim potem żyć.

Otrząsnęła się i wzięła do ręki mydło. Z całą premedytacją odepchnęła od siebie te wspomnienia, a w zamian za to roztoczyła przed sobą niezwykle pociągającą wizję, że za chwilę zakopie się w wygodnym łóżku ze szklaneczką wina i dobrą książką. Na jutro zaś zaplanowała wypad nad jezioro. Weekend w małej rybackiej chatce nad jeziorem, to było właśnie to, czego najbardziej potrzebowała. Taki krótki urlop, pierwszy zresztą od... Od kiedy? Nie pamiętała już nawet, kiedy była po raz ostatni na urlopie. Wreszcie będzie się mogła zrelaksować i... no cóż, przy okazji pomyśleć nad odpowiedziami na pytania, którymi w poniedziałek z pewnością zasypie ją szef. Tak, to był doskonały pomysł. Zaraz zadzwoni do dziadka i poprosi, by skontaktował się ze swoim przyjacielem i zarezerwował domek na najbliższe trzy dni. Już zdecydowała. Kupi niezdrowe jedzenie, dwa harlequiny i spędzi samotnie weekend nad jeziorem, czytając i śpiąc na przemian oraz zażerając się na śmierć. Postanowiła też nie przeglądać poczty, nie odbierać telefonów i do niczego się nie zmuszać. Co najwyżej poprzesadza w niedzielę rośliny, które zasadziła cztery lata temu, kiedy była tam z Codym po raz ostatni. Tak, to było przed tą straszną nocą, podczas której Cody o mały włos nie zginął...

Nie! Nie pozwoli, by te koszmary dopadły ją w ten weekend. To było cztery lata temu, długie

18 Mallory Kane

cztery lata i nie ma potrzeby wyciągać dziś wszystkich tych przeżyć. Teraz wie dzie jej się dobrze, ba nawet doskonale...

Co to?! Dana aż podskoczyła, a zaraz potem zamarła. Jakiś dziwny dźwięk dochodził z jej mieszkania. Nasłuchiwała jakiś czas, lecz nic więcej się nie wydarzyło. To pewnie przykre wspomnienia namą-ciły jej w głowie.

Oparła się z powrotem o wannę, ale ku jej przerażeniu drzwi do łazienki poczęły się powoli otwierać. Nie mogła wykrztusić z siebie słowa, nie mogła wzywać pomocy ani nawet oddychać, bo coś sznurowało jej gardło. Rozejrzała się bezradnie dokoła, jakby szukała drogi ucieczki. Przydałby się jakiś drag, pomyślała, ale w elegancko urządzonej łazience niczego takiego oczywiście nie było. Zacisnęła mocno palce na mokrym mydle. Zza drzwi dochodził przyspieszony oddech, a na podłodze dostrzegła cień dużej, męskiej postaci. Serce niemal stanęło jej w miejscu... i wtedy usłyszała znajomy głos:

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery? Miało cię przecież nie być!

- Niech cię szlag, Cody! - Mydło wysunęło jej się z dłoni i z pluskiem wpadło do wody. Była wściekła, ale jednocześnie odetchnęła z ulgą. Po chwili na jej twarzy zapanował pozorny spokój. Sięgnęła po ręcznik, by okryć nagie piersi, do środka bowiem wchodził Cody. - Mało nie umarłam ze strachu! - Zaczerwieniła się. - Jak to, co ja tu robię? To ty mi powiedz, co robisz w moim mieszkaniu.

Bez skrupułów 19

Wynoś się z mojej łazienki! A w ogóle może mi powiesz, jak się tu dostałeś!

Cody uśmiechnął się i wyciągnął w jej stronę kartę kredytową.

- Otwiera większość zamków na kuli ziemskiej.

- A od kiedy to posiadasz karty kredytowe?

- mruknęła pod nosem. Coś jej w nim nie pasowało. Jego głos brzmiał jakoś dziwnie sztucznie, a uśmiech był jakby wymuszony. Miał na sobie zabrudzone dżinsy, na policzku świeże zadrapania, a na czole... O rany, na czole miał olbrzymią śliwę. Opierał się o drzwi łazienki, myśląc, że wygląda dzięki temu bardziej naturalnie, był jednak blady jak ściana

i zaciskał mocno zęby. Z pewnością miał jej coś do powiedzenia, ale póki co, stał tak i pożerał ją wzrokiem. Czują to na każdym centymetrze swego ciała. Lubiała, kiedy tak na nią patrzył, ale w tej chwili było to pozbawione sensu.

- Co się tak gapisz, wynocha! - syknęła.

- A w ogóle to mógłbyś podać mi szlafrok.

- Cieszę się, że cię widzę - prychnął oschle, a potem zdjął z wieszaka szlafrok i rzucił go w kierunku wanny.

Złapała go w ostatniej chwili, kiedy już zanurzał się w wodzie.

- Świetnie, a teraz do widzenia. - Zaczęła się podnosić.

Wyszedł bez słowa, lecz kiedy wyjrzała na korytarz, stał przy drzwiach.

Przecisnęła się koło niego, weszła do salonu i zaczęła rozsuwać kotary.

- A czy teraz mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego...

20 Mallory Kane

- Nie rozsuwaj - przerwał jej spokojnym, choć stanowczym głosem. Wzruszyła ramionami i odwróciła się w jego kierunku.

- Jak chcesz... - Musiał być strasznie wyczerpany. Dziwne, zwykle dbał o siebie, a dziś skórzana kurtka zwisała z szerokich ramion, narzucona na nie niczym koc. Zaintrygował ją. - Słuchaj, mam perfekcyjnie funkcjonujący dzwonek. Dlaczego więc włamałeś się do mojego mieszkania?

- Po odsłuchaniu twojej sekretarki sądziłem, że cię tu nie będzie - powiedział dobitnie. - Ile razy prosiłem cię, żebyś nie nagrywała tego typu informacji? Czy cały Nowy Orlean musi wiedzieć, że nie będzie cię do piątku w domu? Nie możesz, jak wszyscy inni ludzie, zostawić informacji pod tytułem „Nie ma mnie, pocałujcie mnie w... nos”?

Starła się zignorować jego słowa, ale przyszło jej nagle coś do głowy.

- Więc przyszedłeś tu, bo spodziewałeś się, że mnie nie będzie? Czyżbyś przerzucił się na włamanie? To co, praca w policji ci już nie wystarcza?

- Włączyła światło, po czym mocniej związała pasek szlafroka. Nagle zdała sobie sprawę, że dotknęła czegoś lepkiego. Spojrzała w dół. Na przodzie szlafroka znajdowała się duża, czerwona plama. To krew!

Pobrudziła się nią, kiedy przechodziła koło niego. Dana poczuła, jak ściska jej się gardło. Spojrzała na Cody'ego badawczo i zauważyła, że jego lewa ręka bezwładnie zwisa. - Cody, ty krwawisz! Co się stało?

Wzruszył ramionami i próbował się uśmiechnąć,

Bez skrupułów 21

ale ból, który go przeszył, przeistoczył ten uśmiech w grymas cierpienia i uczynił z jego twarzy maskę. Zamknął oczy i osunął się po ścianie. Przez pobielające wargi szepnął tylko:

- Nie wściekaj się, zaraz wyjdę...

Przed oczami ukazał jej się zlepek obrazów z przeszłości.

- Nigdzie nie pójdziesz! - Potrząsnęła nerwowo głową. - Nawet nie potrafisz utrzymać się na nogach!

- Z trudem hamowała łzy. Już raz to przeżywała...

- Cholera jasna, Cody, popatrz na siebie!

Nie zmienił się i nigdy się już nie zmieni. Dlaczego jeszcze ją to dziwiło? Zawsze będzie tym samym facetem, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Niebezpieczeństwo było wpisane w jego życie i tak już pozostanie, aż w końcu pewnego dnia...

Gdy Cody poprosił ją o rękę, spotykali się zaledwie od kilka tygodni.

Dana kończyła właśnie prawo, a on zaczynał swoją pierwszą pracę w Departamencie Policji w Nowym Orleanie...

Ale przecież to było dawno temu, a ich małżeństwo od dłuższego już czasu nie istniało. Jakim prawem przychodził tu, do jej domu? Nie chciała się znowu o niego zamartwiać. Już miała mu o tym powiedzieć, gdy zdała sobie sprawę, że właśnie zemdłał. O Boże! Chwyciła się za głowę.

Uklękła przy nim i lekko klepnęła w policzek.

- Cody! Cody! Powoli otworzył oczy.

- Tak? - wyszeptał z trudem.

22 *Mallory Kane*

- Jak ci pomóc? Możesz wstać? - Wyciągnęła do niego rękę.

Spojrzał na zakrwawione ramię.

- Cholera... pobrudziłem ci podłogę. Przepraszam, wiem, że nie lubisz sprzątać. - Był już trochę przytomniejszy. - Nie wiem dlaczego, ale widzę cię podwójnie. Świetnie, dwie śliczne dziewczyny do kochania...

- Przestań, proszę, czy mógłbyś choć raz zachować powagę?

- Robię, co mogę, najmilsza. - Uśmiechnął się.

- Dzwonię po lekarza!

Z wielkim wysiłkiem dźwignął się z podłogi.

- Proszę cię, Dana, żadnych lekarzy! Nie jest aż tak źle, to tylko powierzchowna rana - zełgał. - Cholera... - syknął.

Zdawało się jej, że twarz Cody'ego stała się jeszcze bardziej blada niż przedtem, jeśli to w ogóle możliwe. Oparł się o ścianę, żeby się nie przewrócić. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę paść trupem. Serce Dany waliło jak oszalałe. Znowu te same kłopoty i ta sama stara śpiewka.

Znowu to samo paraliżujące przerażenie. Nie, nie chciała przeżywać tego wszystkiego jeszcze raz. Mimo to delikatnie ujęła zdrowe ramię Cody'ego i oparła na swoim.

- Cholera, kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie jesteś nieśmiertelny. To nie zabawa w złodziei i policjantów, tylko prawdziwe pociski! - Zdała sobie sprawę, że zaczyna histeryzować, próbowała więc nad sobą zapanować.

Otrząsnęła się i powiedziała po chwili: - Chodź, musimy coś z tym zrobić.

Bez skrupułów 23

- Wiem, za bardzo brudzę ci podłogę - mruknął pod nosem Cody. Był bliski omdlenia. Rzuciła okiem w stronę pokoju dla gości, ale zrezygnowała z tego pomysłu i pociągnęła go w kierunku swojej sypialni.

- Poczekaj, Cody. Utrzymasz się sam przez parę sekund?

Oparła go ścianę, jak gdyby był przedmiotem. Szybko podszła do łóżka i ściągnęła nowiuteńką kapę od Kevina Kleina. Cody jęknął, a na policzkach Dany pojawiły się rumieńce.

- Jest całkiem nowa... - rzuciła zażenowana swoim zachowaniem. On tam się wykrwawia, a ona troszczy się o jakąś głupią kapę na łóżko...

- Nie martw się, kochana, rozumiem - wybełkotał. - Krew trudno wywabić, a my nie lubimy plam... ani tego całego bałaganu. Jego szept był bardzo cichy, ale mimo to słyszała każde słowo. Miała ochotę mu dociąć, gdy zauważyła, że znowu zaczyna się osuwać po ścianie. W ostatniej chwili udało jej się złapać go w ramiona.

- Pachniesz różami - zdążył jeszcze powiedzieć, nim stracił przytomność.

- Cody! Ocknął się.

- Zawsze tak pachniałaś...

- A ty pachniesz niebezpieczeństwem i problemami. A teraz spróbuj chwilę ustać, muszę ci zdjąć kurtkę.

Lecz Cody stracił równowagę i z łoskotem opadł na łóżko.

24 *Mallory Kane*

- O, chyba mi się nie udało...

- Cholera, jak możesz żartować? Siedzisz po uszy w kłopotach, jesteś ranny i krwawisz! Spróbuj, do jasnej cholery, choć przez moment być poważny! - krzyknęła. - Odwróć się, muszę ci jakoś zdjąć tę kurtkę.

-Pociągnęła za rękaw i wtedy dopiero dostrzegła ranę. Poczowała nagły ucisk w żołądku, z trudem opanowała mdłości. - O Boże, Cody, ktoś przestrzelił ci ramię!

- Masz rację, kochanie - szepnął.

Jęknął głośno, kiedy próbowała rozerwać rękaw bluzy, który przesiąknięty krwią przykleił się do skóry. Gdy jej się to wreszcie udało, ujrzała dwie olbrzymie, czarne dziury. Odwróciła wzrok.

- Ile razy dostałeś?

- Raz, ale pocisk przeszedł na wylot, odbił się od ściany i...

Wzdrygnęła się.

- Przeszedł na wylot, przeszedł na wylot... - powtarzała jak zahipnotyzowana. - Boże, muszę cię natychmiast zawieźć na pogotowie.

- Nie! - Złapał ją mocno za nadgarstek. - Opatrz to jakoś, proszę...

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś najbardziej upartym facetem, jakiego znam. Musisz jechać do szpitala! To trzeba oczyścić i zszyć! A poza tym, być może potrzebujesz trochę krwi...

- Nie! Proszę cię, po prostu zrób mi opatrunek.

- W porządku - powiedziała po chwili, biorąc do ręki nożyczki. - Co mnie to właściwie obchodzi. To twoja sprawa i naprawdę nie wiem, po co się tu przywlokłeś.

Bez skrupułów 25

Gdy rozcinała zakrwawione ubranie, znowu poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Zimny, nieprzyjemny dreszcz przebiegł jej po plecach. Zawsze ten sam scenariusz...

- Nie zmieniłeś się choćby na krztynę. Wszystko jest jak ostatnim razem i jak przedostatnim razem!.. Powiedz, ile razy byłeś postrzelony w ciągu dwóch lat naszego małżeństwa? Cztery? Pięć? - Dana była poruszona do żywego. Nic nie zmieni tego człowieka, po prostu nic. W swoim życiu niezbyt często widziała krew, ale zawsze była to krew Cody'ego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Krew już nieco przyschła, a koszula ściśle przylegała do ramienia. Dana nieźle musiała się natrudzić, nim udało się jej rozciąć rękaw. Powoli starała się oddzielić go od ran. Zwilżyła suche wargi i lekkim szarpnięciem pozbyła się resztki materiału, przywierającego do pierwszej z nich. Nie miało dla niej teraz znaczenia, czy Cody postrzelony był trzy, czy trzydzieści trzy razy. Nawet jeden raz był ponad jej siły. Poprzednio, kiedy dostał w głowę, krew spływała mu ciurkiem po twarzy, a koszula była tak nasiąknięta, że aż ciężka.

- Dlaczego zawsze na mnie spada opatrywanie twoich ran!?! He razy poszedłeś do lekarza? Raz! - krzyknęła ze złością. - Jedyne raz! I to wcale nie dlatego, że nagle okazałeś się taki rozsądny, ale

Bez skrupułów 27

dlatego, że straciłeś przytomność i nikt nie pytał cię o zdanie. - Wówczas poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie go oglądać w takim stanie. To z tego właśnie powodu odeszła od Cody'ego, mimo że wciąż bardzo go kochała. Nie mogła patrzeć, jak jej mąż dąży do samounicestwienia. To było zbyt bolesne. Musiała uwolnić się od niego. Nie pojmował, że za każdym razem, kiedy naraża swoje życie, szalała z niepokoju. Zresztą co tam, praca była dla niego zawsze najważniejsza, zawsze na pierwszym miejscu. I nic na to nie mogła poradzić, nic by tego nie zmieniło.

- Dana, możesz się zamknąć - syknął Cody - i dokończyć, co zaczęłaś? Rzuciła mu ostre spojrzenie, a potem z całych sił próbowała skoncentrować się na rękawie, który wciąż jeszcze ściśle przywierał do drugiej rany. Nie chciała sprawić Cody'emu bólu.

- Och... - jęknęła, gdy wreszcie udało jej się odsłonić paskudną ranę. Biceps przestrzelony był na wylot. Cudowny, bohaterski Cody, jedyny mężczyzna, którego kochała i bez którego nie wyobrażała sobie kiedyś życia. Dopiero gdy zrozumiała, co to znaczy być żoną gliny, świat bez niego stał się dziwnie realny i pociągający. Nim jednak do tego doszło, najpierw musiała wiele razy doświadczyć, czym jest czekanie na ukochanego człowieka, który być może nigdy nie wróci. Nie dawała sobie z tym wszystkim rady.

No i wreszcie pojęła, że już sobie z tym nie radzi. To znaczy nigdy sobie nie radziła, choć udawała, że

28 Mallory Kane

tak, aż wreszcie uznała, że łatwiej będzie się z nim rozwieść niż żyć w ciągłym strachu. Pomogło nas całe długie cztery lata. Dana uspokoiła się i wyciszyła.

- Ile razy musisz przeżyć coś podobnego, byś zrozumiał, że to idiotyzm - nie mogła przestać mówić. - Zawsze wpakujesz się w jakieś kłopoty. Czemu zawsze ty? No powiedz, czemu?!

Cody milczał, leżał nieruchomo, a na jego czole pojawiły się małe kropelki potu. Widziała, że zagryza wargi, a po jego twarzy raz po raz przebiega grymas bólu i zastyga na chwilę, niczym naciągnięta na moment maska.

- Poczekaj, przyniosę gazę i wodę utlenioną. - To coś, co weszło jej w krew. Zawsze miała w domu środki opatrunkowe. Nawyk z przeszłości, którego nie udało się jej jeszcze zwalczyć. Wstała i z przerażeniem spojrzała na swoje drżące, ociekające krwią dłonie. - Boże... - jęknęła. Pobiegnęła do łazienki i prędko je obmyła. Zaszokowana patrzyła, jak krew Cody'ego miesza się z wodą i spływa po umywalce, by zniknąć w czeluści odpływowego otworu. Wyjęła z szafki środki opatrunkowe i wróciła do sypialni. Nawet w okresie największych burz Cody roztkliwiał ją, gdy leżał taki bezbronny, zdany na jej pomoc. Piękne i straszne zarazem, pomyślała. Stała w drzwiach i przez chwilę miała wrażenie, jakby tych czterech ostatnich lat w ogóle nie było, jakby ona i Cody nadal byli razem i wciąż się kochali. Poczowała zażenowanie. Zamknęła oczy, by odegnąć ten natrętny obraz.

Bez skrupułów 29

- Skąd to masz? - Cody podejrzliwie patrzył na butelkę z wodą utlenioną, którą trzymała w ręku. - Zabrałaś to ze sobą, kiedy się przeprowadzałaś? To ma już przecież ponad cztery lata...

Tego jej było trzeba. Ściągnął ją tymi słowami na ziemię. Przypomniała sobie, po co tu się zjawił.

- Nie obawiaj się, nie jest przeterminowana, jeśli to miałeś na myśli. - Zdziwiła ją szorstkość jego głosu. Może to i lepiej, pomyślała.

Leżał na jej łóżku z zamkniętymi oczami i, jak człowiek złożony śmiertelną chorobą, ciężko oddychał. Przyjrząwszy mu się badawczo, dostrzegła na jego bladej, wymęczonej twarzy bruzdy, których cztery lata temu nie było. Ścisnęło się jej serce, zapragnęła pogłodzić Cody'ego i przytulić, lecz w ostatniej chwili cofnęła dłoń.

- Czemu zawsze właśnie ty? Przyciągasz te kule czy co?

Cody zamrugnął i zwilżył usta.

- Dobra, powiem im, żeby na przyszłość mierzyli w kogoś innego - próbował żartować. - Powiem, że to twoja wielka prośba. Ale póki co, bądź tak miła i zamilknij choć na chwilę. Być może mogłabyś zaproponować mi szklanekę wody, nim umrę z pragnienia, i coś przeciwbólowego. - Mówiąc to, starł zdrową ręką krople potu z czoła i spojrzał z wyrzutem na Danę. - Nie chciałbym popadać w przesadę, ale to naprawdę cholernie boli.

Poczuła, jak zaciska jej się gardło, a do oczu napływają łzy. Do cholery, nie będę znowu przez niego płakać, powtarzała w duchu. Zawsze strasznie

30 *Mallory Kane*

się rozklejała, gdy leżał taki cichy i bezradny, a jego: twarz wykrzywił niepojęty ból.

Jakże inny był od tego zdecydowanego, twardego > i pełnego energii Cody'ego. Wówczas wydawało się w ogóle niemożliwe, by cokolwiek złego mogło mu się przytrafić. Lubiła patrzeć na niego. Poruszał się lekko i z gracją jak zawodowy tancerz, a zarazem szybko i zwinnie jak kot. Ale kiedy był ranny, jakby kurczył się w sobie, robił się taki... taki bardzo ludzki, taki kruchy jak... każdy inny. W jednej chwili upadał młot o jego nadprzyrodzonej mocy i Cody stawał się bliższy, bardziej osiągalny. Dana usiadła na łóżku. Krew wciąż jeszcze sączyła się z rany. Do jej obmycia zużyła niemal całą butelkę wody utlenionej. Cody* syknął i głośno wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Ej, kobieto, nie tak ostro - jęknął, wpatrując się w spienioną wodę utlenioną.

- No co, o co ci chodzi, musiałam przecież oczyścić ranę. - Jej głos zabrzmiał nadspodziewanie szorstko. Może dlatego, że nie chciała robić tego, co teraz właśnie przypadło jej w udziale, do czego została zmuszona wbrew własnej woli. A może naprawdę nie chciała mieć nic wspólnego z tym facetem, który bezustannie ocierał się o śmierć? Sama myśl o tym doprowadzała ją do szaleństwa. Dlaczego nie kochałeś mnie tak bardzo, by żyć bezpiecznie? Skoro nie dla siebie, to przynajmniej dla mnie, odbijało się echem w jej głowie.

- Wiem, przepraszam. - Uśmiechnął się, otworzył oczy i patrzył na nią ciepło.

Bez skrup ulów 31

- Och Cody, Cody... - Jego uśmiech zawsze zapierał jej dech w piersiach. Patrzyła na niego, a serce mało nie pękło Danie z rozpacz. Leżał bez ruchu taki słaby i niemal przezroczysty, taki wpół-żywy, a mimo to tak cudownie, tak błogo się do niej uśmiechał, jakby chciał ją przeprosić. Lecz mimo to, zdawało się jej, że przez te ostatnie lata stał się twardszy i dojrzalszy, że dziwnie spoważniał i zmężniał zarazem. A ostre rysy, które pojawiły się na jego twarzy, dodały mu jeszcze więcej wyrazistości i charakteru. Mimo to nie wyglądał jak typowy twardziel, bo spolegliwej łagodności dodawały mu piękne, niebieskie oczy i tak rzadko spotykane u mężczyzn długie, ciemne rzęsy oraz miękkie, złote włosy. Jakże trudno było jej znieść ten widok, widok tych cudownych oczu wypełnionych bólem i cierpieniem. Ale było w nich coś jeszcze, coś, czego nie potrafiła ująć w słowa. Kiedy na nią patrzył, czuła się, jakby jej dotykał, jakby pieścił szyję, ramiona, piersi... Nerwowo poprawiła szlafrok.

- Przepraszam, że przerwałem ci kąpiel - szepnął. - Wiem, jak bardzo tego nie lubisz.

- E tam, nie ma o czym mówić. Podczas naszego małżeństwa zdążyłam przywyknąć... - Za późno ugryzła się w język.

Spojrzał na nią, unosząc w zdziwieniu brwi. Dobrze wiedziała, o czym pomyślał. O tym samym, co ona. Zaczerwieniła się na samo wspomnienie kąpieli, które kończyły się najczęściej wybuchem namiętności. Poczowała ciepło rozchodzące się z wolna po jej ciele. Z niejakim zaskoczeniem dostrzegła

32 Mallory Kane

rozbłyskujące w oczach Cody'ego iskierki. Zupełnie jakby czytał w jej myślach.

Zażenowana odwróciła wzrok. Odcięła kawałek plastra i przykleiła go do bandaża, jednak zrobiła to zbyt energicznie.

- Au! Chcesz mnie zabić? - Skrzywił się.

- Chyba nie będę musiała. Wygląda na to, że sam sobie poradzisz - odpaliła natychmiast. - A teraz lepiej milcz, zanim się do reszty wścieknę.

- Wyciągnęła spod niego kurtkę i rzuciła ją na podłogę. - To jak się tym razem załatwiłeś? - O rany, po co go o to pyta. Wcale nie chciała wiedzieć, jak się to stało.

- Nawet gdybym ci opowiedział, nie uwierzyłabyś - powiedział cicho.

Dana odetchnęła z ulgą. Nie była ciekawa krwawych szczegółów. Ktoś strzelił, Cody oberwał, ile razy już to słyszała? Swoją drogą, co to musiała być za historia, skoro nie nadawała się do opowiadania... Sprawdziła jeszcze raz opatrunek. Trzymał się doskonale.

- Dana?

- O co chodzi? - Zaczęła zbierać z podłogi resztki gazy, zakrwawione gaziki i fragmenty pociętej koszuli. - No, co jest?

- Dzięki.

To jedno krótkie, ale tak czule wypowiedziane słowo, przeszło ją jak nóż.

- Nie dziękuj i nie próbuj grać na moich uczuciach - powiedziała zdenerwowana. - Dlaczego w ogóle tu przyszedłeś? Dlaczego znowu ja? Cholera, Cody, powiedz coś!

Bez skrupułów 33

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Na jego ustach błąkał się dziwny uśmiech.

- Już ci powiedziałem. Miało cię tu nie być, a moje mieszkanie okazało się niebezpieczne. A ty jesteś jedyną osobą, której mogę ufać, jak sądzę, bez względu na okoliczności.

- Nie! - Cisnęła rzeczy w kierunku łazienki. - Nie mów tak, Gody! Nie chcę tego słuchać i nie chcę ponosić odpowiedzialności za twoje życie. Nie musiałeś przychodzić akurat do mnie. Wreszcie po latach mam to, czego zawsze pragnęłam. Dlaczego chcesz koniecznie znowu przewracać mój świat do góry nogami?

- Nie martw się, jakoś do jutra wytrzymasz. A jutro zniknę bez śladu, dobrze? - Wciąż starał się zachować pogodny ton, ale jego oczy pociemniały. Iskierki, które jeszcze przed chwilą rozbłysły w nich jak gwiazdy, zgasły. Wyglądał teraz tak, jakby spał. Ciemne, długie rzęsy spoczywały nieruchomo na bladych, zapadniętych policzkach.

Dana wyciągnęła w jego kierunku drżącą rękę i odgarnęła mu włosy z czoła. Nie było to w żadnym stopniu zamierzone, taki odruch serca, któremu nie potrafiła się oprzeć. Wierzchem dłoni poczęła gładzić umęczoną twarz Cody'ego, mając nadzieję, że dzięki temu zaśnie. Po chwili jednak zagryzła zęby. Nie, on nie zasługiwał na jej współczucie. Co z tego, że był dobrym człowiekiem? Wystąpiła o rozwód, bo nie liczył się z nią, nie pojmował, że nie chce go bezustannie wyrywać z objęć śmierci. Nigdy więcej

34 *Mallory Kane*

nie chciała leczyć ani jego, ani swoich ran. Nie miała wątpliwości, że ją kochał. Jakże to wiele, a jednak za mało... Bowiem bardziej niż ją, kochał życie na pograniczu śmierci, kochał ryzyko, którego ona nienawidziła. Nie był zwykłym gliną. Angażował się w swoją pracę ponad miarę i wszystko, co robił, przesiąknięte było niebezpieczeństwem. Szedł na całość i kiedyś musiało się to wreszcie źle skończyć. Nie chciała na to patrzeć. Przed czterema laty pewna pamiętna noc naznaczyła ich związek piętnem, którego nie dało się w żaden sposób zmazać. Czekwała wówczas z drżeniem serca, przerażona i zrozpaczona do granic możliwości, na informację, czy jej mąż przeżyje. Zaklinała Boga, by darował mu życie jeszcze ten jeden raz. Była u kresu sił. Tego było za wiele; za wiele nerwów, za wiele rozpaczy. Poroniła. A przecież oboje tak bardzo pragnęli tego dziecka... Tylko ono mogłoby ją przy nim zatrzymać. Stało się jednak inaczej, jakby los nie chciał, by byli razem.

Gdy tylko się upewniła, że Cody będzie żył i że jego stan jest stabilny, złożyła pozew o rozwód. Za bardzo go kochała, żeby przyglądać się jego powolnej śmierci.

- Po prostu nie mogłam już dłużej tak żyć - szepnęła, gładząc go po policzku. - Nie mogłam siedzieć beczynnym w domu i czekać na kolejną hiobową wieść. Któregoś dnia nie wróciłbyś, tak jak nie wrócił mój ojciec. O Boże, to było takie przerażające... - Delikatnie dotknęła dłonią jego ust. - Nawet nie wiesz, Jak trudno było mi cię zostawić, jak bardzo brakowało mi twojego uśmiechu...

Bez skrupułów 35

Dana zaczęła poważnie się zastanawiać, czy oszalała. Dlaczego rozmawia sama ze sobą i czego właściwie było jej tak żal? Wiecznego strachu? Spojrzała na zasychające plamy krwi na szlafroku i zadrżała. Przed laty uwolniła się od dręczącej odpowiedzialności za życie i śmierć Cody'ego. Coś jednak przyciągało ją do tego faceta. Położyła się obok niego i zaczęła studiować każdy szczegół jego twarzy. Za wszelką cenę próbowała przekonać samą siebie, że nie obchodzi jej, co się z nim stanie. Ale bez powodzenia. Kiedy się obudzi, będzie musiał odejść, powtarzała sobie w myślach raz po raz, nie ma rady, będzie musiał...

Fontenot spędził noc na testowaniu swego najnowszego wynalazku. Kiedy wreszcie skończył, uśmiechnął się do siebie z satysfakcją, wstał i rozprostował kości. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien strzelić sobie w nagrodę setki. Nie, żadnego alkoholu, zdecydował. Jego mózg musi działać perfekcyjnie, bez najmniejszego opóźnienia. Wziął do ręki butelkę wody mineralnej i wznosił toast. Nikt i nic nie zakłóci jego perfekcyjnego planu, nikt i nic nie przeszkodzi mu w dopełnieniu zemsty. Wyjrzał przez okno, rozmyślając o nowej niespodziance, którą przygotował dla Maxwella w jego mieszkaniu. Wykrzywił z niesmakiem twarz. Maxwell nie był ani taki bystry, ani taki szybki, jak mu się wcześniej zdawało. Sam sobie zapracował na to, co go spotkało. Wystrzał padł co do sekundy tak jak zaplanował. W kilka minut później Maxwell

36 *Mallory Kane*

wybiegł z budynku i wsiadł do swojego samochodu. Był ranny. Fontenot jeszcze raz pomyślał z obrzydzeniem, że przecenił swego przeciwnika.

Pistolet został ustawiony zgodnie z wyliczeniami, bardzo precyzyjnie, pod kątem spodziewanej reakcji, jakiej należało oczekiwać ze strony

Maxwella. Ale ten idiota okazał się zbyt wolny i pocisk - zamiast utkwąć w ścianie, nikogo nie raniąc, przeszył mu ramię. Fakt, że zaimponował mu,

gdy ociekający krwią wskoczył do samochodu i pojechał do swojej byłej żony. Zaimponował mu, ale go nie zaskoczył. Właśnie tak to sobie

Fontenot zaplanował. Przechytrzył go. Ale to jeszcze nie koniec.

- Maxwell, jeszcze z tobą nie skończyłem - powiedział do siebie. -

Odpokutujesz za każdą minutę, którą spędziłem w więzieniu. Będziesz się modlił o śmierć, która wyda ci się zbawieniem.

Dopił wodę i powrócił myślami do swego dzieła. Zastanawiał się, jak rozwiązać sprawę z instalacją. Wiedział, że będzie miał na to tylko pięć minut i ani sekundy więcej. Nie mógł się już doczekać.

- To będzie o niebo lepsze niż ta pułapka z pistoletem - mruknął pod nosem i zatarł z radości ręce.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cody przetarł oczy. Śniły mu się jakieś koszmary, że ktoś go goni, że z kimś się szarpie, że jest ranny. Spróbował się przekręcić, ale nie mógł.

- Cholera - jęknął - boli.

Wziął głęboki oddech i podjął jeszcze jedną, desperacką próbę, gdy nagle poczuł oszałamiający zapach róż. Natychmiast powrócił do rzeczywistości.

- Ymm... - mruknął z zadowoleniem, choć ramię wciąż bolało jak jasna cholera.

Po dłuższej chwili uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje. Jest przecież w mieszkaniu Dany. Usiłował sobie przypomnieć, jak dotarł do Metairie. Ach, no tak, najpierw ta pułapka, wystrzał, piekielny ból, kupa krwi, a potem przerażenie, co z Daną. Jakie to szczęście, że nic jej się nie stało, jaka to ulga...

38 *Mallory Kane*

A prawda, przecież zastał Dane w kąpielni. Czyżby zmieniła nagle plany? Nie, to niemożliwe, ona nigdy nie zmieniała swoich planów. Jeszcze raz wciągnął łapczywie w płuca powietrze.

Róże... Wiedziony ciekawością otworzył powoli oczy. Był w jej sypialni, a więc tu go przyprowadziła. Rozejrzał się i ze zdziwieniem stwierdził, że Dana leży obok niego, owinięta w poplamiony krwią szlafrok, i śpi. Do piersi przyciskała zwinięte w pięści dłonie, ukrywając kciuki. Tak, pamiętał, tak właśnie spała przez ostatnie miesiące ich małżeństwa. Znowu się bała, znowu nienawidziła jego pracy i tego ryzyka, które rnusiał podejmować dzień w dzień.

Dlaczego się jednak dziwił? Czasami i on nie mógł znieść tego potwornego napięcia. Jak choćby wczoraj, kiedy wszedł już do swojego mieszkania i z bliska zobaczył, jaką precyzyjną, a zarazem makabryczną niespodziankę przygotował dla niego Fontenot. I tak miał dużo szczęścia. Gdyby był

o ułamek sekundy wolniejszy, pocisk przeszyłby na wylot nie jego ramię, ale klatkę piersiową.

Westchnął ciężko. No cóż, prawda była taka, że jeszcze cztery lata temu na pewno byłby szybszy i pocisk przyładowałby w ścianę, a nie w niego. Cody dobrze wiedział, że każdy rok nieubłagane przynosi takie właśnie zmiany.

Pomyślał znów o Danie. Przypomniał sobie ów dzień, kiedy Fontenot został skazany. Wysłuchał wyroku, a potem spojrzał Cody'emu prosto w oczy, uśmiechnął się porozumiewawczo i powiedział:

Bez skrupułów 39

- Wróć, detektywie Maxwell.

Mówiąc to, przeniósł wzrok na Danę.

Wszystko było jasne, Cody świetnie rozumiał, co miało to oznaczać. I teraz,- gdy Fontenot był znowu na wolności, wciąż miał przed oczami jego chory uśmiech i złowieszcze spojrzenie. Nie ulegało wątpliwości, że Dana znajdowała się w piekielnym niebezpieczeństwie.

Nagle zamruczała coś pod nosem i przekreśliła się na drugi bok. Czas jakiś przyglądał się jej bacznie. Boże, wciąż wyglądała jak tamta mądra i zrównoważona studentka prawa, w której kiedyś się zakochał. Jej twarz była zrelaksowana, gładka i subtelna. Znikły wszelkie ślady niepokoju, które powodowały, że wyglądała poważniej. Była taka cudowna, choć zawsze, kiedy jej to mówił, uważała, że sobie z niej żartuje. Chyba nigdy nie dotarło do niej, jak bardzo kochał jej oliwkowe oczy i pięknie układające się włosy koloru jasnego dębu. Naprawdę nie miała pojęcia, jak bardzo ją kochał.

Z wyrzutem spojrzał na jej zaciśnięte pięści. Zawsze niepotrzebnie tak strasznie się martwiła. Była zbyt poważna jak na swój wiek. Nie zmieniła się ani trochę, pomyślał. Pogłaskał delikatnie jej ramię. Ubóstwiał jej dotykać, miała taką miękką, jedwabistą skórę, choć w środku była nieugięta i niezłomna. Od samego początku ich znajomości fascynowała go ta stanowczość, pewność siebie i determinacja. Dana nigdy nie miała wątpliwości i nigdy nie popełniała błędów.

Jedynym jej błędem był on. Dobrze wiedział, jak

40 *Mallory Kane*

ciężyło to Danie. Wszedł do jej wygodnego, zaplanowanego świata, w którym był ład i porządek, bezpieczeństwo i stabilizacja, i z miejsca wszystko poprzestawiał. Wniósł ze sobą niepokój i strach.

Ale zawsze chciał być gliną i Dana dobrze o tym wiedziała, zanim wyszła za niego. Kiedy jednak zetknęła się z twardą rzeczywistością, okazało się, że nie może znieść ciągłej niepewności i ciągłej obawy o niego. Mimo to przeżyli ze sobą również cudowne chwile...

Uniósł rękę, by odgarnąć Danie opadające na twarz włosy, jakby kompletnie zapomniał o postrzale.

- Psia krew - zaklął pod nosem i jęknął głośno. Dana natychmiast poruszyła się i otworzyła oczy.

Ich spojrzenia spotkały się. Cody miał wrażenie, że się do niego uśmiecha.

- Cześć, twardzielu.

- Cześć, kochanie - powiedział drżącym ze wzruszenia głosem.

Przez moment zdawało jej się, że cofnął się czas, lecz już po chwili przypomniała sobie, dlaczego Cody tu się znalazł. Nie miała najmniejszej ochoty dać się ponownie złapać na jego czar. Odczytał te myśli z dwóch bruzd, które pojawiły się nagle na czole Dany.

- Zapomniałam, że... A jak tam twoje ramię? - spytała, siadając na łóżku. Nawet nie drgnął. Po pierwsze dlatego, że ręka bolała go bez porównania mniej, kiedy leżał spokojnie, a po drugie, bo go zamurowało, bowiem szlafrok

Bez skrupułów 41

Dany rozchylił się i Cody bez przeszkód mógł podziwiać w całej krasie jedną z jej piersi. Serce zaczęło mu szybciej bić. Przypomniawszy sobie to cudowne uczucie z przeszłości, kiedy było mu dane pieścić swą żonę i całować. Scena ta nie trwała jednak zbyt długo. Już po chwili Dana spostrzegła, że Cody bezczelnie się na nią gapi. Zaczerwieniła się i szybko poprawiła szlafrok.

- Czy ty nigdy nie dorosniejesz? - fuknęła ze złością.

- A co ja takiego zrobiłem? - mruknął pod nosem.

- Co? - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Na przykład mógłbyś znaleźć jakąś normalną pracę, a nie bawić się wciąż w policjantów i złodziei. -

Gdy wstała, zobaczyła zaschnięte, brązowe plamy na szlafroku. Zbladła i zrobiła taką minę, jakby dopiero w tym momencie dotarła do niej cała prawda. Była to mieszanina bólu, oskarżania i zawodu. - Idź stąd, Cody - powiedziała bezbarwnym głosem, wychodząc z pokoju. - Po prostu idź. Wpatrywał się w sufit. Nic się nie zmieniło, miał rację. Wciąż go obwiniała... i tak naprawdę dobrze ją rozumiał. Wiedział, jak się czuła, co przez niego przeżywała.

Obwinił siebie za to wszystko, ale nigdy nie mieli szansy o tym porozmawiać. Wtedy, gdy wyszedł ze szpitala, praktycznie bez słowa zniknęła z jego życia i robiła wszystko, co mogła, żeby uniknąć z nim spotkania. A potem rozmawiali już tylko przez prawników.

42 *Mallory Kane*

Niezliczoną ilość razy próbował się z nią skontaktować, ale na darmo. Chciał wyrazić swój ból i przeprosić, chciał, by mu wybaczyła. Pragnął przygarnąć ją do siebie i nigdy już nie wypuścić z ramion; pragnął wraz z nią opłakiwać dziecko, które stracili, zrobić wszystko, by odegnąć ten okropny smutek z jej oczu. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma najmniejszej szansy. Zawsze była aż do bólu konsekwentna.

Wtedy jeszcze bardziej rzucił się w wir pracy, lecz nic już nie było jak dawniej. Sam nie miał pojęcia, jak strasznie mu na niej zależy, jak mu się bez niej nie chce żyć i jaki pusty był bez niej dom.

Cody zwłóknął się powoli z łóżka i chwiejnym krokiem ruszył w stronę kuchni, w której siedziała Dana. Zdażyła już się ubrać. Miała na sobie świetnie leżące džinsy i kolorową koszulkę. Z zaskoczeniem stwierdził, że pije kawę z jego ulubionego kubka, tego z wyszczerbionym brzegiem. Ostrożnie usiadł na krześle obok niej.

- Więc jest u ciebie... A ja go szukałem przez te wszystkie lata - rzucił jakby w przestrzeń. - Jakoś nie zauważyłem, że zniknął wraz z tobą. - Był szczerze zdziwiony, że wciąż jeszcze go miała.

Dana zaczerwieniła się i zacisnęła palce wokół kubka.

- Sądzę, że przez głupi przypadek znalazł się w jakimś kartonie. A poza tym to był mój ulubiony kubek. Nie twój, tylko mój! Sama go zrobiłam.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Pamiętam, zawsze był bardzo chybotliwy, niemal codziennie wylewałem z niego kawę.

Bez skrupułów 43

Dana była bardzo spięta, nie mogła ani spojrzeć na Cody'ego, ani rozluźnić palców na kubku. Jakby wbrew swej woli ścisnęła go tak mocno, że miała wrażenie, iż za moment pęknie i pokaleczy jej ręce. Może nie pamiętał już, ale zrobiła ten kubek specjalnie dla niego. Był jedynym przedmiotem, który przetrwał od czasów, kiedy chodziła na kurs ceramiki. Cody zawsze podkreślał, że bardzo go lubi. Dobrze o tym wiedziała, choć nie do końca rozumiała dlaczego.

- Jeżeli aż tak bardzo ci na tym zależy, możesz zabrać go ze sobą, kiedy będziesz wychodził. - Z najwyższym trudem udało jej się sklecić te słowa.

„Wychodził, wychodził”, odbijało się echem w jego uszach. Zaciśnęła zęby.

- Masz coś przeciwbólowego?

- Mam...

Wstała i nawet na niego nie zerkając, wyszła z kuchni. Po chwili wróciła z fiolką tabletek. Położyła ją na stole, a obok postawiła szklanę z wodą. Cody rozejrzał się po kuchni. Ciekawe, co Fontenot mógłby tutaj wykombinować podczas jej nieobecności.

- Usiądź na chwilę - powiedział powoli. - Musimy porozmawiać.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś jeszcze do powiedzenia - stwierdziła nieprzyjaźnie, lecz mimo to usiadła i znowu zaciśnęła nerwowo palce wokół wyszczerbionego kubka.

Musiał przyznać, że zadziwiła go swoją reakcją.

- Próbowałem zadzwonić do ciebie we wtorek.

44 Mallory Kane

- Przyglądał się jej bacznie. - Odsłuchałem sekretarkę i z nagrania jednoznacznie wynikało, że wrócisz dopiero na weekend. Dlaczego przyjechałaś wcześniej?

- Bo nie mogłam znieść tych brzuchatych facetów: szefa i jego chłopaczków, którzy traktują mnie jak swoją maskotkę. Wyszłam więc i zawałam spotkanie z bardzo ważnym, choć równie durnym klientem. Oblesny typ, który ma ileś tam sklepów z narzędziami i chce Otworzyć filię w Nowym Orleanie. Przygotowałam dla niego kontrakty.

- Wyszłaś? - zaśmiał się Cody. - Dana Maxwell wyszła ze spotkania z klientem? W życiu bym się nie spodziewał!

Z hukiem postawiła kubek na stole. Wkurzył ją jego ton i głupie żarty. Przypomniały jej się leniwe niedzielne poranki, kiedy siedzieli w kuchni i popijali kawę.

- Nie będę tego wysłuchiwać, nie pozwalaj sobie! - wykrzyknęła. - Nie jesteśmy przyjaciółmi i nie mam zamiaru siedzieć tu z tobą i plotkować. Chcę, żebyś już poszedł.

Uśmiech zniknął natychmiast z jego twarzy.

- Dobrze, ale jest coś, o czym musisz wiedzieć. Zastanów się, czy nie miałaś wrażenia, kiedy wróciłaś do domu, że coś jest inaczej niż zwykle, że coś się nie zgadza. Na przykład jakaś rzecz zmieniła swoje miejsce lub choćby ulotne poczucie obcości, niby to twoje kąty, a jednak trochę tu inaczej...

Uderzyło ją, że Cody bardzo spoważniał, a ton

Bez skrupułów 45

jego głosu stał się zdecydowany i konkretny. Czymś się martwił, a to nie było w jego stylu.

- Nie, nic, poza byłem mężem, który włamał się do mnie i zakrwawił pół mieszkania.

Cody sięgnął do kieszeni spodni i wydobyl z niej małe złote kółeczko.

- To moje? - Wzięła je do ręki. - Tak, to przecież... jeden z kolczyków, które podarowałaś mi na pierwszą rocznicę ślubu. - Ubóstwiała je i prawie codziennie nosiła aż do rozwodu. Później leżały w skrzynce na biżuterię, która stała pod łóżkiem Dany. Nic nie rozumiejąc, wpatrywała się w ukochany kolczyk. - Skąd go masz?

Ujął ją za rękę.

- Kochanie, spójrz na mnie.

Ociągając się, podniosła głowę. Coś było nie tak. Może Cody wreszcie jej powie, co jest grane.

- Tak...?

- Znalazłem go dziś w moim samochodzie.

Po jej plecach przebiegł zimny dreszcz. Chciała wyrwać dłoń z uścisku, ale Cody trzymał mocno. Kolczyk wbijał jej się w rękę.

- Przestań, Cody, to nie może być mój kolczyk, ponieważ moje są w pudełku. Mówiłam już... Chcesz mnie tylko przerazić.

- Jestem pewien, że jest twój. Sprawdź.

- Nie mam zamiaru. Nawet jeśli jest mój, to wyjąłeś go dzisiaj z pudełka.

Dlaczego mi to robisz?

Westchnął głęboko.

- Dana, Fontenot wyszedł z więzienia... Zamarła.

46 Mallory Kane

- Gerard Fontenot?! Ten facet, który do ciebie kiedyś strzelał?

- Tak.

- Wypuścili go? Jak to możliwe?

- Dobre sprawowanie i odpowiedni adwokat... Dana przymknęła oczy.

- Nic z tego nie rozumiem. Postrzelił cię w głowę, o mało nie zabił, a oni wypuścili go na wolność?

- Posłuchaj, Fontenot poprzysiągł, że zapłacę; mu za ten czas, który spędził w więzieniu. Kiedy już wiedział, że nie uda mu się wymigać z paki, powiedział: „Tym razem postrzeliłem ciebie, ale wierz mi, to nie koniec naszych porachunków. Są rzeczy, które bardziej ranią niż pociski, Maxwell". Dobrze zapamiętałem te słowa, wciąż je mam w uszach... Wyrwała wreszcie dłoń z jego żelaznego uścisku i wstała. Przeszła kilka kroków w tę i z powrotem po kuchni.

- Nie interesuje mnie to wszystko - skłamała. Doskonale pamiętała tego szaleńca. Uczestniczyła w dochodzeniu, mimo że gdy doszło do rozprawy, dawno już złożyła papiery rozwodowe. Unikała jednak sali sądowej. Pojawiła się na niej, dopiero gdy miał być ogłoszony werdykt.

- Pamiętasz, jak patrzył na ciebie, kiedy wypowiadał te słowa? Jesteś w niebezpieczeństwie! Zrozum to. Nawet się nie zorientowałaś, że był w twoim mieszkaniu.

- To niedorzeczne, na pewno od razu bym wiedziała, gdyby tu ktoś buszował.

Cody wzruszył ramionami.

Bez skrupułów 47

- Więc sprawdź, czy oba kolczyki są tam, gdzie je schowałeś.

Poczuła, jak strach zaciska jej krtań.

- Dlaczego mi to robisz? Czemu mnie straszysz?

- Nie wierzyła, że Fontenot wyszedł z więzienia, że znowu jest na wolności i będzie polował na Cody'ego. - Nie chcę być w to zamieszana!

- Już jesteś. Niestety nie masz wyboru. On nie pyta nikogo o pozwolenie, Dana. - Spojrzał jej głęboko w oczy.

Nie chciała rozdrapywać zabliznionych ran. Tylko ona wiedziała, jak bardzo pragnęła spokoju. Lecz nikt się z tym nie liczył.

- To twoja wina! - Wezbrała w niej niepohamowana złość. - Nie mogłeś sobie wtedy darować, o nie! Musiałeś pojawić się na sali sądowej, by na własne uszy usłyszeć werdykt sędziowski, mimo że ledwo trzymałeś się na nogach i aby nie upaść, opierałeś się na lasce. Głowę zresztą też miałeś obandażowaną. Za wszelką cenę chciałeś udowodnić całemu światu, że Cody Maxwell to twarde! - Dana oddychała ciężko, z trudem łapiąc powietrze. - Omal cię nie zabił, przez niego straciłam moje dziecko...

Czego jeszcze chcesz? Nie zamierzam znów tego przeżywać! Co jeszcze musi się wydarzyć, byś zrozumiał, że mnie to nie bawi.

- Zdziwiły ją własne słowa, ale tak myślała. I po raz pierwszy udało jej się powiedzieć to na głos, wyrzucić z siebie wszystko.

Zobaczyła, jak blednie jego twarz, a zaraz potem jak w jego oczach pojawiają się błyskawice. Zerwał się na równe nogi i chwycił ją za nadgarstek.

48 Mallory Kane

- Po pierwsze nasze dziecko - syknął przez zaciśnięte zęby. Czuła jego oddech na swoim policzku. - Przypominam ci, że to było nasze dziecko, a nie tylko twoje. Kiedy wróciłem ze szpitala do domu, dowiedziałem się, że moja żona właśnie postanowiła odejść ode mnie, a dziecko, którego oboje... oboje! - ryknął - tak bardzo pragnęliśmy, nigdy się nie urodzi. - Odepchnął ją od siebie. Jego oddech rwał się tak bardzo, że z trudem wypowiadał słowa. - Więc nie mów mi o bólu. Nie ty jedna go odczuwasz. Jest czymś, co akurat znam na wylot. - Odwrócił się i powoli, z podniesioną głową, wyszedł z kuchni.

To była prawda, ale równie dobrze, kiedy wrócił ze szpitala, mógł jej już nie zastać w mieszkaniu. A jak go poinformowała, że się wyprowadza, nie zadawał żadnych pytań, a potem zgodził się na wszystkie warunki, które przedstawił mu jej prawnik. Wywnioskowała z tego, że nic go już to wszystko nie obchodzi. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, co czuł.

Zacisnęła zęby i walczyła przez moment ze sobą, by się nie rozpłakać.

Dawno temu postanowiła, że nigdy więcej nie będzie przez niego płakać.

Wszystkie łzy wypłakała już w czasie swojego krótkiego małżeństwa.

Nie mogła sobie więcej na to pozwolić.

Stała pośrodku kuchni aż do chwili, kiedy poczuła, że już może otworzyć oczy. Ku swemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku wyszczerbiony kubek, ulubiony kubek Cody'ego. Była przekonana, że pękł, kiedy walnęła nim

Bez skrupułów 49

o stół. Ale nie, był twardy, twardszy od niej. Uśmiechnęła się do siebie i ruszyła w poszukiwaniu Cody'ego. Znalazła go w sypialni. Bacznie rozglądał się dookoła, a potem schylił się i niemal wpełzł pod łóżko.

- Co robisz?

- A co, może nie tutaj trzymasz swoją skrzynkę z biżuterią? - dobiegł ją stłumiony głos spod łóżka.

- Cody, przestań już. To nie jest miejsce zbrodni, tylko moja sypialnia, a twoje ramię znowu krwawi. Może zamiast tego cyrku poszedłbyś do lekarza?

Wysunął głowę, a po chwili stał przed nią z pudełkiem w dłoni. Podał je Danie i niby odwrócił się, ale cały czas zaglądał jej przez ramię. Na jego twarzy malowała się ciekawość, niecierpliwość, jak i poczucie triumfu.

- No i co? Popatrz, moja droga, masz tu tylko jeden kolczyk.

Spojrzała na niego spod oka.

- I co, nie zamierzasz zdjąć odcisków palców? - zapytała z kwaśną miną.

- Nie żartuj. Fontenot jest na to za sprytny. Nikt nie zdołałby mu nawet udowodnić, że tu kiedykolwiek był. Sama powiedziałaś, że ani nic nie zginęło, ani nie zostało przestawione.

Usiłowała sobie za wszelką cenę przypomnieć, czy na pewno dokładnie tak wszystko stało, kiedy opuszczała mieszkanie. Ale była na tyle rozbita i taki miała mętlik w głowie po tym nieszczęsnym

50 Mallory Kane

spotkaniu z klientem, że nawet gdyby mieszkanie było wywrócone do góry nogami, niczego by nie spostrzegła.

- Nie jestem do końca pewna, ale gdyby coś było nie tak, myślę, że bym to zauważyła.

Przez jakiś czas przyglądali się kasetce z biżuterią. Wyglądała tak jak zawsze. Wszystko było poukładane i na swoim miejscu. Poza tym, że brakowało w niej jednego kolczyka, nie zmieniło się nic.

- Faktycznie nie ma tego kolczyka - powiedziała niepewnym głosem. '— Musiałam go zgubić.

Gody zaśmiał się.

- Ty? Nigdy niczego nie zgubiłaś. Pamiętasz, jak sądziłem, że zapodziałem gdzieś moją obrączkę? Okazało się, że odłożyłaś ją na miejsce. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Nie, wokół ciebie rzeczy nie giną. Masz nad nimi absolutną władzę.

Słowa Cody'ego odbierały jej pewność siebie. Nie chodziło o literalną treść. Zawsze miała wrażenie, że z niej żartuje.

- A dlaczego jesteś taki pewny, że był w moim mieszkaniu? To nielogiczne. Nikt przecież nie wchodzi do cudzego mieszkania, żeby wyjąć z kasetki tylko jeden kolczyk. To naprawdę głupi pomysł.

- Mylisz się, to nie jest głupie. Fontenot chciał mi w ten sposób udowodnić, że bez trudu może dostać się do mieszkania kogoś, kogo ja... No, do twojego mieszkania. Swego czasu nosiłaś te kolczyki codziennie. Miałaś je również na sali sądowej, kiedy go skazali. Jemu nigdy nic nie umknie. Dobrze wiedział, że zrozumie znaczenie tego pozornie

Bez skrupułów 51

nieistotnego szczegółu. Że dobrze pojmę, co mi przez to chce powiedzieć.

- Znaczenie? Co masz na myśli, detektywie? - zapytała nieco sarkastycznie.

- Że jest w stanie niezauważony wszędzie wejść! To psychopata, ale cholernie inteligentny psychopata. Równie dobrze mógł tu czekać na ciebie.

Odwróciła się przerażona intensywnością jego spojrzenia i słowami, które wypowiadał. Złapał ją za rękę.

- Wysłuchaj mnie uważnie. Odkąd go wypuścili, dzieją się same dziwne rzeczy. Zaczął od drobnych incydentów, ale ich kaliber wciąż rośnie... - Cody zawiesił głos.

- O czym ty mówisz? Jakie incydenty? - W jej oczach widoczne było przerażenie.

- Na przykład przynoszą mi do domu pizzę, której nie zamawiałem, albo ten przypadek z benzyną... Wróciłem któregoś dnia bardzo późno i bak w samochodzie był kompletnie pusty, a następnego dnia rano okazało się, że jest wypełniony po brzegi.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi? - Dana udawała zdziwienie, dobrze jednak wiedziała, że Fontenot jest niepoczytalny, a dzięki swej chorej inteligencji potrafił być wręcz diaboliczny. Wiele razy mówił o tym Cody, który wręcz obsesyjnie pragnął zamknąć tego faceta. I wyglądało na to, że miał rację. Po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz.

- A wczoraj rano-kontynuował-gdy wsiadałem do samochodu, znalazłem właśnie to - powiedział

52 Mallory Kane

dobitnie i uniósł do góry rękę z kolczykiem. - Leżał na siedzeniu kierowcy.

Czy wtedy właśnie Fontenot go także postrzelił?

- zastanawiała się Dana. Nie, nie zapyta o to, nic nie chce o tym wiedzieć.

Przez chwilę walczyła z sobą, w końcu jednak nie wytrzymała:

- To on strzelał do ciebie... Jak to się stało?

- Przez ułamek sekundy widziała w jego oczach strach. Coś takiego jeszcze nigdy się dotąd nie zdarzyło. Zaczęła ogarniać ją panika. Serce poczęło walić z przerażenia jak młot. - Cody! Mów!

Potrząsną"! z wściekłością głową.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Mogę się założyć, że tak naprawdę nie chcesz tego wiedzieć.

- Ale coś mi się zdaje, że powinnam...

- Wiesz, jestem już spóźniony. - Spojrzał nerwowo na zegarek. - Muszę się jakoś stąd wydostać. Masz może jakąś moją starą bluzę albo koszulę? Przez moment wahała się, czy nie wyciągnąć z niego tych informacji, lecz po chwili doszła do wniosku, że skoro nie chce opowiedzieć jej o tym wydarzeniu, to na pewno nie bez przyczyny.

Zrozumiała, że Cody ma rację. Nie chciała wiedzieć, jak to się stało. Bała się.

Podeszła do szafy i wyciągnęła jego koszulkę z Akademii Policyjnej, tę, w której zwykle spała. Przycisnęła ją do piersi i ukradkiem pocałowała.

Dopiero potem odwróciła się i wyciągnęła w jego stronę rękę. Zrobiło jej się strasznie smutno. **Przespala** w tej koszulce tyle samotnych nocy.

Wierzyła

Bez skrupułów 53

podświadomie, że chroni ją przed wszystkim, co złe, że jest w niej bezpieczna...

Ależ ze mnie sentymentalna idiotka, pomyślała ze złością.

- O rany! - wykrzyknął Cody z radością. - Moja koszulka z Akademii! A myślałem, że ją gdzieś posiałem. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że jest u ciebie? - Uśmiechnął się rozbrajająco, kiedy wciągał ją przez głowę.

- Masz może jścześnie jakąś miłą niespodziankę?

Dana zaczerwieniła się.

- Nie - odparowała czym prędzej. - To już wszystko. - Tylko ona wiedziała, jak bardzo jest jej z tego powodu przykro. Zaraz wyjdzie i zabierze ze sobą kubek i koszulkę. W ten oto sposób nie będzie miała już niczego, co kiedyś należało do mężczyzny, którego tak bardzo kochała. - Nie patrz tak na mnie, nie mam już nic, - absolutnie nic! Jesteś gotowy? Możesz już iść? Mam pewne plany na weekend.

- Jasne, wiem, masz zaplanowaną niemal każdą minutę swego życia - mruknął szorstko, poprawiając nieco krzywo włożoną koszulkę.

-Odwróciła wzrok. Przez moment czuła się tak, jakby to ona miała na sobie tę bluzkę, i że to jej spragnionego miłości ciała dotykają duże, silne ręce Cody'ego.

Z utęsknieniem pomyślała o czasach, kiedy tak właśnie było.

Wspomnienia te okazały się bardziej bolesne, niż się tego spodziewała.

Zwilżyła zaschnięte usta i podniosła wzrok.

54 Mallory Kane

- Nie zajmę ci już dużo czasu. Zamierzam jedynie rozejrzeć się trochę po twoim mieszkaniu, a potem przejdę się po okolicy.

- Go takiego?

- Muszę się tu trochę rozejrzeć, co w tym dziwnego?

Udawiała, że szuka czegoś w szafie. Naprawdę marzyła o tym, by już sobie poszedł. Nie chciała, żeby teraz na nią patrzył, gdyż dobrze wiedziała, że potrafi wyczytać z jej oczu wszystko, o czym myślała i co działo się w jej sercu.

- Nic, wynoś się wreszcie! Zapomniałeś, że masz do uratowania nie tylko mnie, ale i cały świat?

- rzuciła z sarkazmem. Przeraziło ją to, co powiedziała, ale nie można było cofnąć słów. - Lepiej by było, gdybyś znalazł chwilę i poszedł do lekarza. Będziesz miał paskudną bliznę. Nie martwi cię to?

- Jedna więcej czy mniej, co za różnica. Wiesz, jesteś okrutnie zimna... - Potrząsał z niedowierzaniem głową, a na jego twarzy malował się smutek i zawód. Zrobił krok w jej kierunku, ale Dana w obronie wyciągnęła przed siebie rękę.

- Po prostu odejdz.

- W porządku - szepnął niemal niesłyszalnie.

- Wyślij mi rachunek za sprzątanie. - Odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Po chwili jednak zawrócił. - Dana...

- Co jeszcze? - rzuciła z irytacją.

- Bądź ostrożna. Gdy tylko zauważysz coś niepokojącego, dzwoń do mnie. Nie wolno lekceważyć Fontenota, rozumiesz? A tak w ogóle, mogłabyś

Bez skrupułów 55

odwiedzić swoją siostrę. Najlepiej byłoby, gdybyś wyjechała z miasta na dzień lub dwa.

- Mówiłam ci już, mam inne plany. Nie interesują mnie twoi przestępcy ani ich uczynki. Kiedy to wreszcie zrozumiesz?

- Świetnie. Wiem tylko jedno, że kiedy ja zginę, to przynajmniej będzie jasne z jakiego powodu i dla jakiej sprawy - warknął i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dana przymknęła oczy. Cały Cody, superman W dzinsach. Naprawdę wierzył, że może naprawić ten świat, i że dobro zwycięża. Wierzył, że jest nie do pokonania i nigdy się nie poddawał.

Miała nadzieję, że kiedy wreszcie zniknie, poczuje ulgę. Tymczasem wciąż wypełniały ją tylko pustka i poczucie straty. Tak było od dnia, w którym odeszła od Cody'ego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dana była wkurzająca jak zawsze. Czasami zastanawiał się, jak udało mu się wytrzymać z nią te dwa lata. Kiedy się poznali, była tak bardzo skoncentrowana na swoich studiach, że musiał ją niemal na kolanach błagać, by mu poświęciła choć jedno popołudnie. W jej życiu nie było miejsca na spontaniczność, wszystko musiało być zaplanowane, począwszy od toalety porannej, a skończywszy na wspólnych wakacjach. Jedynym miejscem, gdzie przejmował kontrolę, było łóżko. Na samo wspomnienie tych cudownych przeżyć niemal spadł ze schodów. A jak reagowała, kiedy ją pieścił... jak żadna inna kobieta w jego życiu. Choć przecież wcale nie było ich tak wiele, zwłaszcza że ostatnio w ogóle żył jak mnich.

Bez skrupułów 57

Gdy dotarł wreszcie na zewnątrz i poczuł powiew świeżego powietrza, udało mu się trochę otrząsnąć. Co też ten łajdak mógł dla niej wymyślić? Nie wybaczyłby sobie, gdyby przytrafiło jej się coś złego. Rozejrzał się dokoła i postanowił w pierwszej kolejności sprawdzić samochód Dany. W piątkowy poranek ulica była raczej pusta. Któż miałby kręcić się tu o tak wczesnej porze? Chyba tylko ten, kto spieszył się do pracy. Raz i drugi obszedł wkoło jej wóz, ale nie udało mu się dostrzec wewnątrz niczego podejrzanego. Klnąc z bólu, położył się na ziemi i zajrzał pod spód. Wsunął się głębiej, ale i tam niczego nie znalazł. Namacał w kieszeni dżinsów kluczyki, których nigdy nie oddał Danie, i otworzył drzwiczki. Poruszał się niezwykle ostrożnie, bacząc na każdy szczegół, przyglądał się i nasłuchiwał. Ten cholerny drań nie dopadnie go drugi raz, zaklinał się w duchu. Co to, to nie.

Od momentu, kiedy Cody zatrasnął za sobą drzwi, osłupiała Dana tępo się w nie wpatrywała. Była do głębi wstrząśnięta tym, co powiedział, i nie ulżyło jej nic a nic, mimo że Cody już wyszedł i miała go z głowy. Wreszcie ocknęła się jak ze złego snu, odgarnęła włosy i weszła do kuchni. Przecież jeszcze nie wszystko stracone, wciąż jeszcze może jechać nad jezioro i spędzić kilka spokojnych dni. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że są jej potrzebne, a tu, pośród niby dorosłych chłopców bawiących się w podchody, nie było na to szans. Umyła kubki po kawie i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że trzyma

58 Mallory Kane

w ręku kubek Cody'ego. Omal nie wysliznął się jej z palców. Cholera, dlaczego nie zabrał go ze sobą? Uznała, że to głupie, tyle lat przechowywać stary wyszczerbiony kubek. Dawno już powinna była go wyrzucić. Jeżeli Cody upiera się, żeby mieć tę bezwartościową skorupę, może mu ją wysłać. Zerknęła na zegar, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę sypialni. W pośpiechu włożyła kilka ubrań do torby. Nie potrzebowała nic specjalnego, nie zamierzała się przecież z nikim spotykać.

Weszła do łazienki, by trochę się podmalować - i omal się nie przewróciła o stertę zakrwawionych ubrań i ręczników. Zrobiło jej się niedobrze, ale mimo to schyliła się i wrzuciła je do kosza na brudną bieliznę. Na samym spodzie leżała skórzana kurtka Cody'ego. Cała była obdrapana, a w kilku miejscach podarta. Każde z tych cięć miało swoją historię. Świetnie je pamiętała. O, na przykład to powstało w czasie pościgu, gdy Cody wypadł z samochodu... Cisnęła kurtkę ze złością na podłogę. Nie takich wspomnień pragnęła, z pewnością nie takich. Nic jej nie obchodziło, czy znowu go postrzelą, ani nawet fakt, że Fontenot wyszedł z więzienia. Nie pozwoli, by Cody znowu ją zastraszał swoimi makabrycznymi opowieściami, a o kolczyku starała się po prostu nie myśleć. Po drodze wpadnie do niego i odda mu kurtkę i kubek, dzięki czemu nie będzie musiała go już więcej oglądać.

Jeszcze raz upewniła się, że wszystko stoi na swoim miejscu, potem wyłączyła z kontaktu ekspres do kawy, wieżę i telewizor. Tak na wszelki wypadek.

Bez skrupułów 59

Samochód Dany był czysty, jednak Cody nie dał za wygraną. Przetawiał swoje auto tak, by dokładnie widzieć wejście do domu byłej żony, ale jednocześnie by nikt go nie zauważył, potem usiadł za kierownicą i rozprostował na chwilę kości, a na koniec wyjął telefon i wystukał numer Dave'a.

- Cześć, stary, gdzie się podziewasz? - usłyszał głos przyjaciela. - Sześć się zapienił na ciebie, musiałem ratować ci tyłek. Ale raport i tak cię nie ominie.

- Wiem, będę za jakieś pół godziny. Poczekam tylko, aż Dana wyjdzie do pracy i upewnię się, że nikt jej nie śledzi.

- Cody, ta mała pułapka u ciebie jest całkiem, całkiem...

- Zawsze wam mówiłem, że ten Fontenot to popieprzony geniusz. Coś znalazłeś?

- To, czego się spodziewałeś, czyli nic. Zwykła trzydziestka ósemka. Można ją kupić wszędzie.

- I jak zwykle nie ma odcisków palców, a linkę wyciągnął z mojej kuchennej szuflady.

- Bingo, stary! Trafiony, zatopiony. Cody poruszył ramieniem i jęknął.

- Słuchaj, będę musiał jeszcze pójść do lekarza, ale najpierw upewnię się, że z Daną wszystko w porządku.

- Dobra, tylko pośpiesz się, stary.

- Jasne, do zobaczenia.

Tym razem naprawdę poważnie myślał o tym, czy nie pójść do lekarza. Ramię bolało jak diabli, do tego krwawiło. Pewnie trzeba będzie to zszyć. Dana miała rację. No właśnie, jeśli tylko nie zmieniła

60 *Mallory Kane*

swoich przyzwyczajzeń, zaraz powinna wyjść do pracy. W zasadzie chwilowo nic nie powinno jej zagrażać. Fontenot nie jest w końcu głupcem, nie pojawi się dziś ani tutaj, ani w jego mieszkaniu. Nie będzie chciał ryzykować. Ale póki co, nie powinna poruszać się bez obstawy. Zastanawiał się właśnie, kogo ściągnąć, żeby miał ją na oku, gdy drzwi wejściowe otworzyły się i ukazała się w nich Dana. Pod pachą trzymała jakieś zawiniątko, a w ręku torbę podróżną.

Co ona wyprawia? Z tym przecież nie wybiera się do pracy! - obruszył się w duchu. Może postanowiła odwiedzić siostrę? Nawet się nie przebrała, nadal miała na sobie sprane dzinsy, które zgrabnie opinały jej biodra.

Pięknie wyglądała w porannym słońcu... Cody'emu chodziło jednak tylko o to, żeby bezpiecznie stąd odjechała. Postanowił, że zaraz potem pojedzie do siebie i jeszcze trochę powęszy. A nuż na coś natrafi. Wtem zauważył, że tym zawiniątkiem, który niosła Dana, była jego kurtka. Jak mógł o niej zapomnieć? Ciekaw był, co zamierzała z nią zrobić. A, pewnie odda do pralni, to bardzo do niej podobne. Co za groteska...

Jechał za nią w bezpieczniejszej odległości, aby nie mogła go zauważyć. Obserwował też bacznie, czy nie mają za sobą jeszcze kogoś.

Ku zdziwieniu Cody'ego, zaparkowała pod jego domem.

Danę ogarnęła nostalgia. Tutaj mieszkali, kiedy byli razem, a Cody, jak zawsze podkreślał, bardzo

Bez skrupułów 61

kochał to miejsce. Powoli wchodziła po schodach, a przed jej oczami przelatywały obrazy z dawnych lat: jak spieszyła się do domu, by zobaczyć go wreszcie po całym dniu, jak cudownie kończyły się ich wspólne wieczory...

Po tym jednak, jak dostał pierwszy postrzał, radość przemieniła się w niepokój. Dla niego praca w policji była życiowym wyzwaniem. Z przerażeniem patrzyła, jak podejmuje coraz większe ryzyko, jak bezustannie się naraża. Dobrze wiedziała, że kiedyś może nadejść dzień, kiedy Cody w ogóle nie wróci.

Wtedy zaczęła się wycofywać. Nie potrafiła udźwignąć takiego ciężaru. Za każdym razem, gdy Cody się spóźniał lub dzwonił telefon o nietypowej porze, umierała z przerażenia.

Kiedy dotarła na trzecie piętro, ze zdziwieniem stwierdziła, że jego drzwi pilnuje dwóch mundurowych. Ugięły się pod nią kolana, a serce podskoczyło do gardła. Chwyciła się poręczy, żeby nie upaść. Podniosła wzrok i dokładniej przyjrzała się dwóm mężczyznom. W jednym z nich poznała Dave'a Gautiera. Był najlepszym przyjacielem Cody'ego i zarazem jego partnerem. On także ją poznał i ruszył w jej kierunku.

- Dana! Witaj! Co ty tutaj robisz? - Zdobył się na wymuszony uśmiech. Nie dała się jednak zwiść.

- Dave, co tu się dzieje? Może ty mi coś wyjaśnisz? - zapytała, ignorując jego pytanie. - Gdzie jest Cody? No, powiedz coś! - Szarpnęła go za ramię, nie mogąc znieść jego milczenia.

62 Mallory Karte

Dave nie nie odpowiedział, tylko objął ją delikatnie ramieniem i zaczął sprowadzać po schodach, jak najdalej od drzwi wejściowych mieszkania jej byłego męża.

- Dave, odpowiedz mi, gdzie jest Cody? Nie żyje? - Drżąc na całym ciele, wpatrywała się w jego ciemne oczy. To niemożliwe, przecież nie dłużej niż godzinę temu jeszcze u niej był.

- Nie martw się, z Codym wszystko w porządku. Dostał wprawdzie postrzał, ale przecież go znasz, to twardziel.

- Jak to, znowu dostał?! - Dana zacisnęła palce na kurtce, którą wciąż trzymała w rękach.

- Co znaczy znowu? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Więc powiedział ci o tej pułapce z pistoletem?

- Pułapce z pistoletem? - Wysunęła się z jego objęć i ruszyła w stronę mieszkania Cody'ego. To co zobaczyła, odebrało jej mowę. Naprzeciw drzwi stało krzesło z przymocowanym do oparcia rewolwerem. Na podłodze widoczne były ciemne, przyschnięte już plamy krwi.

- Miał chłopak szczęście, co? - Dave wskazał ręką na pułapkę. - Gdy otwierał drzwi, poczuł, że coś jest nie tak i w ostatniej chwili zdążył odskoczyć.

- Nie dość szybko... - wyszeptała zszokowana.

- Masz rację, ale z drugiej strony wystarczająco szybko. Gdyby nie to... Może akurat myślał o czymś intensywnie.

- Myślał o czymś...?

Dana spojrzała na niego z przerażeniem i nagle

Bez skrupułów 63

zaczęła się śmiać. Ale był to jakiś dziwny i nieprzyjemny śmiech. Kolczyk... Nogi się pod nią ugięły i gdyby nie to, że zdążyła w ostatniej chwili złapać się Dave'a, runęłaby na podłogę.

- Dana? Usiądź...

- Boże, wiedziałam, że Cody dostał. Przyszedł do mnie wczoraj w nocy, ale ani słowem nie wspomniał o pułapce.

- W takim razie zaraz powinien tu być.

- Nie, dlaczego? Zresztą nie wiem... - Nie mogła oderwać oczu od krzesła z pistoletem. - Nie mówił mi, dokąd idzie. - Rozejrzała się nerwowo wokół siebie. - Mówił, że słyszał, jak pocisk uderza tuż za nim w ścianę. - Faktycznie, w ścianie widniała spora, czarna dziura zbryzgana krwią. Znowu się zachwiała.

- Olsen, chodź na chwilę. Tu masz swój pocisk

- wskazał głową na ścianę. Potem odwrócił się do Dany. - Spędziłaś z Codym całą noc? - Jego oczy przepełnione były zdziwieniem.

- Chyba twoje myśli pobiegły w niewłaściwym kierunku. Wyszedł wcześniej rano i był wściekły.

- Kiedy wy wreszcie przestaniecie ze sobą walczyć? Jesteście przecież dla siebie stworzeni...

- Przestań. - Nie chciała tego słuchać. - Sądysz...

- Przełknęła z trudem. - Sądysz, że to Fontenot?

Dave wzruszył ramionami.

- Cody jest o tym przekonany, a to mi całkowicie wystarcza-

- Pomóż mu, Dave! - Dana chwyciła go za ramię.

- Pomóż mu złapać tego szaleńca. Nie pozwól, żeby Fontenot go zabił!

64 *Mallory Kane*

- Zrobię, co tylko będę mógł, to chyba jasne. - Ponownie objął ją ramieniem i przytulił.

- Cody myśli, że jest nieśmiertelny... Boję się... boję się, że pewnego dnia...

- No proszę, kto tu idzie! O wilku mowa. Gdzieś ty przepadł bez wieści? - rzucił Dave w stronę Cody'ego.

- A wy co? Co sobie tu tak gruchacie? - warknął. Dana zmieszała się nieco. Cofnęła się o krok i wyciągnęła do niego rękę.

- Twoja kurtka... - Czowała w sobie chaos, przedziwną mieszaninę uczuć: wściekłość i ulga, pretensje i wyrzuty sumienia. - Chciałam ci tylko oddać kurtkę. Do głowy mi nie przyszło, że znowu natknę się na coś takiego... Teraz rozumiem, dlaczego nic nie chciałeś powiedzieć. Boże, Cody... niecała sekunda dzieliła cię od śmierci. - Zrobiło jej się słabo, cały świat począł zatracać kontury. Słyszała jakieś głosy, ale były bardzo, ale to bardzo odległe.

- Siadaj, Dana, siadaj... głowa niżej... tak... Docierały do niej tylko strzępki słów. Czyj to był głos? Zna go przecież. A, to Cody, tak, to on.

- Oddychaj głęboko. Dobrze, bardzo ładnie. Powoli dochodziła do siebie.

- Dlatego właśnie ci nie powiedziałem. Wiedziałem, jak bardzo to przeżyjesz. - Stał nad nią i uśmiechał się. - Trochę lepiej?

- Już mogę wstać. To wszystko twoja wina! Cody w dalszym ciągu uśmiechał się. Uśmiechał się, mimo że cierpiał.

- Jasne, wiem. I co, zadzwoniłaś do siostry, jak ci radziłem? Pojedziesz do niej?

Bez skrupułów 65

Spojrzała na niego, starając się pozbierać myśli.

- Mówiłam ci przecież, że mam inne plany - zaczęła niepewnie. - Miałeś rację ä propos Fontenota. To jego sprawka.

- Nie powinienem dać się postrzelić... Więc gdzie się wybierasz? -

Podszedł bliżej i objął ją ramieniem.

Dana zeszywniała i natychmiast wyśliznęła się z jego objęć.

Cofnął się i oparł o ścianę.

- Stary, wyglądasz jak żywy trup - powiedział Dave, przyglądając mu się badawczo. - Jak bardzo dostałeś?

- Już ci mówiłem. - Wzruszył ramionami. - Powierzchowna sprawa.

- Jesteś zielony jak niedojrzały pomidor...

- Proszę bardzo, więc tutaj jesteś! - usłyszeli za sobą ostry głos. - Może mi powiesz, gdzieś się podziewał?

- Cześć, szefie. - Cody wyprostował się, choć Dana dobrze wiedziała, ile go to kosztowało. - Ja tylko... miałem jeszcze sprawdzić, co z żoną...

- Była żoną - mruknęła pod nosem Dana, choć nikt nie zwrócił na to uwagi.

- A możesz mi wyjaśnić, z jakiej to przyczyny oddaliłeś się z miejsca przestępstwa?

- Moja żona była w niebezpieczeństwie. Kapitan Hamilton zmierzył ją badawczym spojrzeniem i odwrócił się w stronę Cody'ego.

Dana zauważyła jakiś dziwny grymas na twarzy kapitana.

66 Mallory Kane

- Proponuję zatem, żebyś wraz ze swoją żoną natychmiast udał się na posterunek.

Chciała zaprotestować, ale Hamilton uciszył ją surowym spojrzeniem i znaczącym gestem.

- Tak jest, szefie - uśmiechnął się z trudem Cody, zerkając pytająco na Danę.

- Jestem gotowa. - Mówiąc to, uniosła podbródek i wyprostowała się na znak, że może już iść.

- W takim razie chodź - zwrócił się do niej Cody.

- Pojedziemy moim samochodem.

- O nie, co to, to nie! - zaprotestowała ostro.

- Pojadę swoim.

- Nie powinnaś teraz prowadzić - starał się jej wyperswadować ten pomysł.

- Ty tym bardziej. Nie mam ochoty być od ciebie zależna.

- Jak chcesz. - Cody ruszył przed siebie.

- Jeśli upiera się pani jechać swoim samochodem, proszę trzymać się blisko męża - usłyszała za sobą.

Odwróciła się. Był to kapitan Hamilton. Znowu zamierzała przypomnieć wszystkim, że Cody jest jej byłym mężem, lecz miała wrażenie, iż nikogo to nie interesuje.

Spojrzała na Hamiltona i zasalutowała.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedziała, wyraźnie kpiąc sobie z całej sytuacji.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Fontenot siedział w barze przy ulicy Świętego Piotra i popijał kawę. W rękę trzymał gazetę. Machinalnie sięgnął do kieszeni marynarki i poklepał ją tak, jak poklepuje się pracowitego konia albo wiernego psa. Wszystko, czego potrzebował, aby odpalić swój najnowszy wynalazek, znajdowało się właśnie w niej.

Był całkowicie rozluźniony, a kiedy zobaczył zamieszanie przy drzwiach wejściowych budynku, w którym mieszkał Maxwell, uśmiechnął się z zadowoleniem. A więc czas na przedstawienie, pomyślał. Po jego plecach przebiegł dreszczyk podniecenia. Jednak pełną satysfakcję poczuł dopiero wówczas, gdy zobaczył Maxwella wraz ze swoją byłą małżonką. Miał więc rację, wiedział, że będą się teraz trzymali razem. Znowu jego przewidywania okazały

68 *Mallory Kane*

się prawidłowe. Był nieomylny i nikt nie mógł temu zaprzeczyć. No cóż, już za kilka sekund będzie mógł czerwonym pisakiem skreślić z listy kolejny punkt swego genialnego planu. Co za cudowne uczucie... Siedział bez ruchu i bacznie obserwował scenkę rozgrywającą się na ulicy. Pani Maxwell wyglądała naprawdę mizernie, lecz bez wahania, energicznie podeszła do swojego samochodu. Maxwell szedł dość wolno i cały czas bacznie przypatrywał się żonie, zaś kapitan wraz z tym drugim detektywem, którego nazwiska Fontenot nie pamiętał, stali na chodniku i rozmawiali.

Rozkoszował się tym widokiem. Po jego ciele rozlewało się dobrze znane, błogie ciepło, sygnalizujące poczucie władzy, oznajmiające, że Fontenot znowu panuje nad życiem i śmiercią innych ludzi.

Kiedy pani Maxwell otworzyła wreszcie drzwiczki swego auta, zamarł na moment w bezruchu. Za chwilę i oni się dowiedzą, kto tutaj pociąga za sznurki.

Dana wsiadła do samochodu. Starła się nie zerkać w stronę Cody'ego i zignorować jego baczne spojrzenie, śledzące każdy jej ruch. W tym momencie jednak zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku kurtkę byłego męża. Rzuciła ją na tylne siedzenie i ciężko westchnęła. Dlaczego nie zostawią jej wreszcie w spokoju? Tak bardzo chciała wyjechać z miasta.

Wsunęła kluczyk do stacyjki, uruchomiła silnik - i nad jej głową rozpętało się piekło. Odruchowo

Bez skrpułów 69

skuliła się w fotelu, przerażona głośnym jazgotem i osaczającymi ją wściekle migocącymi kolorowymi światłami. Poczowała, jak jakaś mocna dłoń chwyta ją za ramię i wyciąga z samochodu, a potem popycha do przodu i przewraca na ziemię. Zrobiło się ciemno. Jakaś ogromna postać przygniotła ją do podłoża, a po chwili Dana poczęła turlać się z nią, byle jak najdalej od auta. Kamienie wrzynały się w plecy, a głowa obijała o asfalt. Po chwili Dana usłyszała głośny jęk. To był Cody. Wreszcie skończyła się ta szaleńcza akcja. Uznała, że może się podnieść. On także już stał. Jeszcze tylko padło krótkie:

- Wiejemy!

Zaraz potem Cody znikł jej z oczu. Kręciło się jej w głowie i za nic nie mogła utrzymać równowagi. Niemal co krok potykała się o własne nogi. Wtedy poczuła znowu czyjąś rękę, znowu rękę Cody'ego. Przyciągnął Danę do siebie, a kiedy byli już w bezpiecznej odległości, Cody z całych sił przytulił ją. Ich serca waliły jak oszalałe.

- Wszystko w porządku? - szepnął jej do ucha, ciężko dysząc.

- Tak... - odparła po chwili. - Co to było?

- Sądziłem, że to bomba. Boże, Dana, myślałem, że tym razem to już naprawdę koniec - powiedział z przejęciem, nie wypuszczając jej z uścisku.

Była w szoku. Patrzyła na Cody'ego nieprzytomnym wzrokiem, jakby dopiero teraz do niej dotarło, co mogło się wydarzyć.

- Bomba? No tak, bomba... Podbiegł do nich Dave.

70 *Mallory Kane*

- Wszystko OK, stary? - wykrzyknął zasapany. - Cholera, myślałem, że...

- Wiesz, co to było? - zapytał Cody, uwalniając Dane.

W pierwszym momencie zachwiała się, ale wzięła kilka głębokich oddechów i zdawało się, że odzyskuje równowagę. Wtedy zobaczyła, że Cody z Da-ve'em podchodzą do jej samochodu.

- Cody, wracaj! - zawołała słabym głosem, lecz nikt jej nie słuchał.

Ruszyła więc za nimi, starając się zachować bezpieczny dystans.

Cody był blady jak śmierć. Przeczesał włosy palcami i wytarł rękawem twarz. Dave, mimo ciemnego zarostu, także wydawał się biały jak prześcieradło. Wkoło samochodu zgromadziło się już kilku policjantów.

- Tutaj, mam coś! - krzyknął jeden z nich.

- Zobacz, Cody - odezwał się Dave - to były tylko światełka. Kilka głupich światełek. - Pod nosem zmęł porażającą wiązkę przekleństw.

- A to pieprzony sukinsyn - syknął Cody i zacisnął ręce w pięści.

- Cody...

Usłyszał tuż za sobą głos Dany. Odwrócił się i wyciągnął do niej otwarte ramiona, a ona skryła się w nich i zamknęła oczy. Mimo że czuła się bezpiecznie, wciąż miała przed oczami jarzące się światełka. Oparła głowę na zdrowym ramieniu Cody'ego i zapytała cicho:

- Co to w końcu było? - Wtuliła się w niego Jeszcze mocniej. Przemknęło je przez myśl, że chciałaby zostać w jego ramionach na zawsze.

Bez skrupułów 71

- To ten łajdak Fontenot. - Pogłaskał ją delikatnie po włosach. - Zamontował ci światełka w samochodzie.

- Światełka? Poważnie? - Odchyliła głowę i spojrzała z niedowierzaniem na Cody'ego. - Ale jakim cudem? Przecież zostawiłam samochód tylko na kilka minut...

- To prawda, stary. Dana przyjechała najwyżej, dziesięć minut przed tobą - stwierdził Dave, - Nie ma takiej możliwości, teraz nie mógł tego zrobić. Przecież ktoś by go zauważył.

Cody zacisnął zęby.

- Ale jednak jakoś to zrobił. Bawi się z nami, na oczach wszystkich robi z nas idiotów, rozumiesz? Śmieje się nam prosto w nos. Równie dobrze mogła to być bomba. Rozerwałaby Danę na kawałki. - Objął ją mocniej. - To właśnie chciał nam przekazać.

- Ale nie była - powiedziała niepewnie Dana. Zadrzała na samą myśl, co się mogło wydarzyć. Dotarło do niej wreszcie, z jakiego kalibru szaleńcem mają do czynienia, na co go stać. - Zamiast tych światełek w moim samochodzie mogła być bomba... Ale dlaczego? Cody, przecież ja mu nic nie zrobiłam!

Chwycił ją za ramiona i delikatnie potrząsnął.

- Zrozum, to chory facet i żadne logiczne argumenty nie mają dla niego sensu. Chce mnie jak najbardziej zranić, a ponieważ uważa, że jesteś dla mnie ważna, zamierza, dopaść ciebie. To najprostszy sposób. To moja wina...

Dana poczuła się jak przedmiot. Przedmiot, którego Fontenot chciał użyć, by zemścić się na Codym.

72 Mallory Kane

Ale... to oznaczałoby, że faktycznie jest dla Cody'ego kimś więcej niż tylko była żoną. Inaczej plan Fontenota nie miał racji bytu. Słowa Cody'ego rozbrzmiewały echem w jej uszach: „Uważa, że jesteś dla mnie ważna”. Czy jednak była to prawda? Nie, to niemożliwe, dla niego nie liczyło się nic poza pracą. W końcu przekonała się o tym na własnym ciele i nie potrafiła zapomnieć.

Gdy ona rozmyślała, Cody i Dave oddalili się. Raz jeszcze przyglądali się uważnie, w jaki sposób Fontenot zamontował to cacko, dyskutowali, sprzecznali się... Dana poczuła się nagle bardzo osamotniona. Spojrzała na swój samochód i zadrżała. A może to faktycznie dobry pomysł, by odwiedzić siostrę w Pensacoli. Tam będzie przynajmniej bezpieczna. Ona tak, ale co będzie z Codym? To bez znaczenia, upomniała samą siebie. Przecież nie mają już ze sobą nic wspólnego. Koniecznie chciał takiego życia, to je ma, i nie do niej już należy wyperswadowanie mu tych nieustających pogoni i perypetii.

Jeden z policjantów wygramolił się spod samochodu, trzymając pęk kabli, które udało mu się zdemontować. Cody włożył lateksowe rękawiczki i zaczął uważnie, choć zarazem z pewną rezygnacją, przyglądać się kolejnemu dziełu Fontenota.

- Maxwell! - Powietrze przeciął ostry, niecierpiący sprzeciwu głos. Szef Cody'ego wychylił się z nieoznakowanego samochodu. - Rusz swój tyłek i chodź tutaj! I pani również, pani Maxwell. - Przywołując ją, spuścił nieco z tonu. - Proszę wsiąść do środka.

Bez skrupułów 73

Dana bezzwłocznie wykonała polecenie kapitana. Cody po chwili usadowił się obok niej, z tyłu.

Na posterunku odmówiła lurowatej kawy, którą jej zaproponowano, ale już wkrótce tego pożałowała. Było coraz goręcej i chciało jej się strasznie pić. Od godziny siedziała na twardej, drewnianej ławce i zaczynała powoli tracić cierpliwość. Oficer dyżurny wystukiwał jej zeznania jednym palcem na starej, rozklekotanej maszynie do pisania. Miała ochotę krzyczeć. Zamiast opalać się nad brzegiem jeziora i rozkoszować się chłodną wodą, siedziała tu i pozwalała się maltretować. Policjant zakończył wreszcie zapisywać jej zeznania, wyszarpnął kartkę z maszyny i podał Danie do podpisania.

- Proszę to przeczytać i podpisać - wyjaśnił. Ale ona nie miała ochoty tego czytać i jeszcze raz

przeżywać wydarzeń ostatniej nocy. Zmuszana była dziś do tego wystarczająco często. Rzuciła więc tylko okiem na tekst, złapała długopis i złożyła swój podpis.

- Czy wreszcie mogę już iść? - zapytała bez ceregieli.

Oficer odwrócił się, kiedy do pomieszczenia wszedł Cody. Rękę miał na temblaku, w ogóle wyglądał bardzo mizernie. Był obolały i wyczerpany. Podeszedł do Dany, z trudem się uśmiechając.

- Cześć, kochanie. Czyżby przypiekali cię tu rozgrzanym żelazem? - zapytał, widząc, jak bardzo jest rozdrażniona.

Już chciała mu się odgryźć, ale usłyszała za sobą głośne wołanie:

- Maxwell, skoro tu jesteś, chodź do mnie z żoną!

74 *Mallory Kane*

Czy żaden z gliniarzy nie został poinformowany, że od kilku lat nie są małżeństwem?

Cody objął ją ramieniem i poprowadził do biura szefa. Dave też tam był i beztrząsco siedział na parapecie.

- Pozszywali cię?

- Tak jest, szefie.

- Zatem wszystko w porządku. - Kapitan Hamilton opadł na krzesło. -

Proszę usiąść, pani Maxwell - powiedział już całkiem spokojnie. - Po tym, co zaszło wczoraj i dzisiaj, myślę, Maxwell, że powinniście z żoną gdzieś zniknąć aż do chwili, kiedy przymkniemy Fontenota.

Cody zeszywniał.

- Kapitanie...

- Zamknij się, Maxwell. Umieścimy was w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Ja na pewno zostanę... - zaproponował Cody.

- Stary, bądź poważny - wtrącił się zniecierpliwiony Dave. - Jesteś ranny, nie zauważyłeś?

- To tylko powierzchowne draśnięcie. Wywieźcie Danę z miasta, ale ja zostaję...

- Dość tego! Sprawa postanowiona! - ryknął kapitan.

- Ale... szefie...

- Maxwell, ostrzegam cię! - Hamilton spojrział na Dave'a. - Gautier, gdzie możemy ich umieścić?

Nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo uprzedziła go Dana.

- Kapitanie, przepraszam, ale czy ja nie mam nic do powiedzenia?

Bez skrupułów 75

Hamilton zmroził ją wzrokiem, lecz widocznie za mało przeraził Danę, bo ta ciągnęła dalej:

- , Mogłabym pojechać do Pensacoli, do mojej siostry.

- W żadnym wypadku - warknął Hamilton. Cody objął ją ramieniem.

Zrobiło jej się ciepło

i przyjemnie.

- Dana, to zbyt niebezpieczne. Fontenot na pewno wie o twojej siostrze...

- Ale powiedziałaś przecież...

- Myliłem się. Nie doceniłem jego inwencji twórczej. - Niemal się uśmiechnął, wypowiadając te słowa.

- Ale wyjechać musicie - powiedział Dave. - Fontenot całe życie spędził w Nowym Orleanie, schodził miasto wzdłuż i wszerz. A bawiąc się z nami w kotka i myszkę, zapewne poznał wszystkie nasze tajne lokale. Cholera, ten szaleniec musi mieć szósty zmysł.

- A co z domkiem nad jeziorem? - spytała Dana, kładąc rękę na dłoni Cody'ego.

Spojrzał na nią, a potem na Dave'a.

- To mogłoby zadziałać. Chata należy do przyjaciela jej dziadka, który od kilku lat mieszka w domu starców. Nie ma szans, żeby Fontenot powiązał to miejsce z nami. Znajduje się na północnym brzegu jeziora

Pontchartrain.

- Musicie liczyć się z tym, że będziecie śledzeni - mruknął kapitan w momencie, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. - Hamilton. -

Na jakiś czas zapadła cisza. Przysłuchiwał się uważnie, a potem zapytał: - Czy to potwierdzona wiadomość?

76 *Mallory Kane*

Wszyscy troje siedzieli bez ruchu i wpatrywali się z niepokojem w kapitana. Dana zwilżyła spierzchnięte wargi.

Hamilton odłożył słuchawkę i spojrzał na Cody'ego.

- Mamy potwierdzoną wiadomość, że Fontenot wypożyczył samochód.

- A jak się wam to udało ustalić? - Zaskoczony Gody spojrzał na kapitana.

- Sprawdziliśmy listy pasażerów wszystkich samolotów i wszystkie firmy zajmujące się wypożyczaniem aut. A teraz posłuchaj uważnie: będąc w wypożyczalni, Fontenot poprosił o mapę Pensacoli.

- Angie! - wykrzyknęła Dana. - O Boże, Cody, tam mieszka Angie! On zrobi jej krzywdę!

Cody pogłodził ją po plecach.

- Nie bój się, kochanie. Zaraz powiadomimy policję w Pensacoli.

- Dobra, Maxwell, wy w każdym razie znikajcie stąd - zakomenderował Hamilton. - Weź nieoznakowany samochód i zostaw dokładne zamiary na ten domek nad jeziorem, jasne? - Rzucił im jeszcze jedno stanowcze spojrzenie, zmarszczył brwi, a potem podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z policją w Pensacoli.

W dwie godziny później Cody i Dana byli już nad jeziorem. Ona zajęła się rozpakowywaniem zakupów, a on sprawdzał dom.

- Wciąż myślę o Angie - powiedziała z zatroskaną miną Dana, z siatkami przeciskając się obok Cody'ego przez wąski korytarz wiodący do kuchni.

Bez skrupułów 77

Po chwili zaczęła powoli wykladać na stół mleko, kawę, pomarańcze i inne wiktuły. Mimo że w końcu tu dotarła, na pewno nie o takim wypoczynku marzyła.

- Daj spokój, przecież Hamilton poinformował policję w Pensacoli, a Dave pojechał do twojej siostry. Nie martw się, zajmą się tą sprawą.

- Tak jak zajęli się tobą? Gdzieś wywiozą Angie, by beczynn timer czekała, aż dzielni nowoorleańscy gliniarze wreszcie dopadną pewnego psychologa, który bawi się z nimi w kotka i myszkę. - Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale złość przeważyła. - Naprawdę nie wiem, po co cię tutaj wysłali.

- Jeśli o mnie chodzi, wcale się nie cieszę, że tu jestem - powiedział łagodnie, jakby się usprawiedliwiał. Chciał nieco uspokoić Danę. - Wiem, że powinienem wrócić do Nowego Orleanu i pomóc w śledztwie. Nikt nie zna tak dobrze Fontenota jak ja. Cholera... - Cody położył ostatnią torbę z zakupami na blacie i ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Rozejrzę się trochę po okolicy.

- Lekarz zalecił ci odpoczynek, a nie piesze wycieczki. Poza tym masz dużo pić. Straciłeś przecież tyle krwi...

- Dana, gdzieś tam jest szaleniec, który postanowił mnie zabić - tłumaczył jak dziecku. - Nie zawaha się także zastrzelić ciebie, więc muszę się trochę rozejrzeć, by zyskać pewność, że nikt nas nie śledzi.

- Żartujesz sobie ze mnie? - zaśmiała się Dana.

78 *Mallory Kane*

- Śledzi? Nas? A kto by nas dogonił? Jestem przekonana, że ta szaleńcza jazda wyeliminowała wszystkich przeciwników, więc problem mamy z głowy. Fontenot nie ma jak się dowiedzieć, że jesteśmy akurat tutaj. Niby kto miałby mu o tym powiedzieć?

- No dobra, przyjmijmy zatem, że idę po chrust...

- Aha, chrust, towar pierwszej potrzeby - skomentowała zgryźliwie, machając na pożegnanie pęczkiem marchewek. - W takim razie idź sobie. Nic mnie nie obchodzi, czy ramię znów zaczniesz ci krwawić. Masz rację, pobaw się w detektywa, bo najwyraźniej wciąż ci jeszcze za mało. Natomiast ja zajmę się czymś tak przyziemnym jak lunch. Nie wystarczą mi wielkie czyny, jak inni prostaczkowie muszą jeść, a jestem piekielnie głodna...

Już go nie było, uciekł przed dziamoleniem Dany, natomiast ona przestała dziamolić i zabrała się do roboty.

Była naprawdę wściekła. Wcale jej się nie podobało, że spędzi tu z Codym nie wiedzieć ile dni. Jak ona z nim wytrzyma? Z tym facetem, który zawsze wszystko wiedział najlepiej? A do tego ten błogi uśmiech na jego zbolalej twarzy i diabelskie ogniki w oczach... Dlaczego Hamilton nie wysłał tu ze mną innego oficera? - pomyślała ze złością. Co za pech! Otrząsnęła się. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że jednak był w tym jakiś sens. To przede wszystkim Cody musiał wyjechać z miasta, a ona, choć niechętnie to przyznała, właśnie w jego towarzystwie czuła się najbezpieczniej. Poza tym, żeby przyskrzynić Fontenota, trzeba było pozbyć się na

Bez skrupułów 79

jakiś czas Cody'ego. Zresztą w takim stanie i tak nie mógłby uczestniczyć w akcji, w każdym razie nie powinien. Ale kapitan znał przecież jej męża... byłego męża... i dobrze wiedział, że trudno go będzie powstrzymać. Zatem wysłał podwładnego za miasto, licząc pewnie w duchu, że Dana okaże się dobrym stróżem dla niesubordynowanego gliniarza... Cholera!

Wytarła pomidory i zaczęła je kroić w plastry. Co najmniej trzy dni z Codym sam na sam. Całe szczęście, że jego czar już na nią nie działa. Skutecznie udało jej się z tej przypadłości wyleczyć.

Wytarła ręce i wyszła z kuchni. Wszystko prezentowało się całkiem nieźle. Świeżo powleczone pościel, wygodne łóżka, czyste powietrze, chłodna woda i nieskażona niczym przyroda. Westchnęła głęboko i wygładziła poszewkę na poduszce. Kiedy byli tu z Codym po raz ostatni, zaszła w ciążę. Poczowała ostry, przejmujący ból. Opadła na brzeg łóżka i przycisnęła do siebie poduszkę, którą przed chwilą starała się ułożyć równo na kołdrze. Przycisnęła ją do siebie, jakby obejmowała ich wspólne dziecko, które nigdy się nie narodziło. Zawładnął ją nie tylko ból, ale i niewyobrażalne poczucie straty.

Uświadomiła sobie, że towarzyszyły jej przez długie lata, od nocy, w której poroniła. Gdzieś w środku, głęboko w sercu wiedziała, że nie fair było obwiniać za to Cody'ego. Każdemu mogło się to przytrafić, po prostu nieszczęśliwy przypadek, zbieg różnych okoliczności. Dokładnie pamiętała jeszcze słowa lekarza: „Poronienie może nastąpić z bardzo wielu powodów, pani Maxwell. - Mówiąc to, gładził

80 *Mallory Kane*

ją po dłoni. - Występują bardzo często w. pierwszym miesiącu i czasami kobiety nawet nie wiedzą, że były w ciąży". Potem jej spokojnie i delikatnie wyjaśnił, że tak zdecydowała natura, że trzeba być jej wdzięcznym, bo być może płód rozwijał się nieprawidłowo.

Płód, właśnie, płód! Pamięta do dziś, co wtedy poczuła. Chciało jej się krzyczeć. To nie był jakiś tam płód, ale jej dziecko. Maleńkie... miało dopiero cztery tygodnie. Nawet nie odczuła żadnej zmiany w swoim organizmie... Ale je kochała i do dziś pozostał ból; ból straty, samotności i zniweczonych marzeń.

Zbyt wiele zbiegło się wtedy w czasie. Strata dziecka, niemal śmiertelna raria męża... stanowczo za dużo jak na jeden raz. Nie potrafiła udźwignąć tak olbrzymiego ciężaru. A i dziś było jej z tym niełatwo. Jakoś zapomniała, że w tych ścianach zachowały się te wszystkie wspomnienia.

- Kochanie, co się dzieje, wszystko w porządku?

Głos Cody'ego przedarł się przez chmurę wspomnień, która zawisła nad jej głową. Wypuściła z objęć poduszkę i położyła ją na łóżku, a potem odkaszlnęła, jakby chciała wyrzucić z siebie cały stres.

- Jasne, że w porządku - odparła, starając się zachować twarz. Spojrzała na Cody'ego. Stał oparty o framugę drzwi. Usta miał ściągnięte i pociemniałe oczy, Jakby nękał go silny, trudny do przewyciężenia ból. - Chcesz coś zjeść?

Pokręcił głową.

Bez skrupułów 81

- Nie teraz. Może później... Naprawdę wszystko w porządku?
- Nie żartuj, powinieneś coś zjeść - odparła, jakby nie słysząc pytania, które powtórzył z takim niedowierzaniem.
- Zrobił w jej kierunku kilka kroków, rzucił okiem na łóżko, potem na twarz Dany... i wszystko zrozumiał.
- Co się dzieje, Dana?
- Nic, sprawdzałam tylko, czy pościel jest powleczone.
- Nieprawda, że nic. - Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia. Usunęła się, czując, jak ogarnia ją panika. - Tak, tak, jasne, nic się dzieje... - Popatrzył jej prosto w oczy. - Wspominałaś, jak byliśmy tu po raz ostatni?
- Nie, nie, ja... - Pokręciła nerwowo głową. Czułym gestem odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.
- Dana, też to pamiętam. Jest mi bardzo przykro, kochanie, i jeśli tylko zechcesz porozmawiać, wiesz, że w każdej chwili możesz na mnie liczyć.
- Jego oczy rozbłysły, lecz już po chwili zgasły.
- Naprawdę? - rzuciła agresywnie. - To bardzo zabawne...
- Przestań, Dana, nie rób mi tego! Sobie również tego nie rób...
- Czego mam nie robić? Sprawdzałam tylko pościel, a teraz wracam do kuchni. Zastanów się, co ty robisz! Wyglądasz, jakbyś już nie żył.
- Nic mi nie jest - powiedział przygaszonym głosem. - Wokół domu panuje cisza i spokój. Zamierzam przejść się w stronę jeziora.

82 *Mallory Kane*

- Cody, czy ty nigdy już nie będziesz normalny? Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz przewrócić, od dwóch dni nie myjesz się i nie zmieniasz ubrania. Dlaczego nie możesz wykapać się i odpocząć? Potrzebujesz tego!

Stał tuż przed nią z założonymi ramionami, z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Daruj sobie, naprawdę nie musisz mi mówić, co powinienem zrobić.

Jestem już wystarczająco duży, by zadbać o siebie.

Wypełniła ją niepojęta wściekłość, która desperacko szukała ujścia. Nie mogła już dłużej powstrzymać tej koszarnej mieszanki uczuć, którą dusiła w sobie od momentu, kiedy ranny Cody przekroczył próg jej mieszkania.

- Duży? Dorosły? Ty, Cody Maxwell? Żartujesz sobie ze mnie! Jak zwykle zresztą! Wciąż ci się wydaje, że twoje życie jest jak opera mydlana, gdzie dobro zawsze zwycięża! - Wyprostowała się i założyła przed sobą ręce.

- Mam dość twoich... głupich oskarżeń, że traktuję swoją pracę jak grę czy zabawę! - wybuchnął. - Jestem gliniarzem, dobrym gliniarzem i w miarę dobrym facetem. I to nie jest żadna gra, tylko walka często na śmierć i życie. Pomagam ludziom, chronię ofiary i bronię niewinnych. I cieszę się, cieszę się jak jasna cholera, kiedy wygrywam.

- Ale to nie ty wygrywasz! Popatrz tylko na siebie, ile razy już dostałeś? Ile razy można dostać kulę i przeżyć? A jeśli już wyczerpałeś cały kredyt? I następna kula... robisz wszystko, by cię nie ominę-

Bez skrupułów 83

ła... okaże się ostatnia? - Czuła, jak łyzy zaciskają jej gardło. Łzy strachu i niewyobrażalnego bólu. Zacisnęła mocno oczy i zaczęła liczyć w duchu choćby do nieskończoności. Nie będzie płakać, nie przy nim. Nie musi wiedzieć, jak bardzo jest zrozpaczona, widząc go w takim stanie. Taka samotna walka pozbawiona była według niej sensu. Chyba tylko on wierzył, że jest nie do pokonania. Zdławiła łyzy i to był jej sukces na teraz.

- Dlaczego nie możesz normalnie żyć, Cody? Czemu nie wystarcza ci zwykłe, spokojne życie, jak innym ludziom? Czemu?

Jego twarz pozostawała nieruchoma, nie wyrażała żadnych uczuć. Stał bez słowa, słuchał jej wyrzutów i przyglądał się jej. W końcu, kiedy na moment zamilkła, odezwał się:

- Idę się przejść... Wysłuchałem cię, Dana, nie przerywałem ci. Od długich czterech lat nie miałaś okazji wyrzucić tego z siebie. A teraz posłuchaj: jestem tu, wciąż tu jestem. Niech będzie jak dawniej, ty krzyczysz, a ja słucham. - Jego głos był bardzo szorstki.

- A zatem uważasz, że nie mam racji? Co, myślisz, że masz niewidoczną tarczę, która cię ochrania, że pociski zawsze będą się od ciebie odbijać? - Była bliska hysterii. - Popatrz na swoją bliznę na głowie, na swoje ramię! Czy nic ci to nie mówi? Gdzie była twoja tarcza?

- Może popękała w potyczce z twoim ostrym językiem? - Jeszcze raz spojrział na nią, ale tak jakoś dziwnie, nie z pogardą, ale z wyrzutem, a potem wyszedł.

84 *Mallory Kane*

Dana wbiegła do łazienki, odkręciła zimną wodę i spryskała twarz. Stała, przyciskając chłodne dłonie do twarzy. Przez jakiś czas sapała ciężko, jak po ogromnym wysiłku, ale w końcu uspokoiła się i zaczęła równo oddychać. Łzy znikły bez śladu i powrócił zwykły bunt.

Cody nie postępował fair. Gdyby choć na moment się zatrzymał i przejrzał na oczy. Gdyby mógł dojrzeć, co ta kruczata robi z nim i z nią, wszystko stałoby się prostsze. Kiedyś był rycerzem w lśniącej zbroi, gotowym w każdej chwili zabić dla niej smoka. A ona? Ona była dla niego piękną księżniczką. Wówczas wystarczyła mu tylko miłość. Jakże bolesne jest takie rozczarowanie.

Cody stał na brzegu i beznamiętnie rzucał kamienie do wody. Wokół panowała cisza, żadnych miejskich odgłosów. Tylko wiatr hulał po okolicy i wzburzał fale na jeziorze, które ciągnęło się aż po horyzont. Idealna kryjówka, pomyślał, a następnie obrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu. Usiadł na schodach i oparł się o barierkę. Z niechęcią musiał przyznać, że od kiedy założono mu szwy, ramię doskwierało znacznie mniej.

Zamyślił się. Z głębi domku dobiegały odgłosy kuchennej krzątaniny. Uśmiechnął się do siebie. Mimo że Dana wiele razy doprowadzała go do furii, w głębi serca czuł się z nią mocno związany, czy mu się to podobało, czy nie. Brakowało mu ciepłego kąta, bezpiecznej przystani, w której mógłby skryć Kię po burzy, kiedy świat wydawał się zbyt chaotyczny. Brakowało mu tego lekko słodkiego, różanego

Bez skrupułów 85

zapachu jej włosów, jedwabistości skóry, tej mgły, która napływała do jej oczu, kiedy się kochali. Ciało Cody'ego spięło się, jakby w odpowiedzi na niedające spokoju wspomnienia.

Przypomnił sobie ich pierwszą wspólną noc. Miało to miejsce wkrótce po tym, jak się poznali. Ciało Dany drżało pod dotykiem jego rąk... i zauroczenie przemieniło się w dozgonną, szaleńczą miłość. Czy może raczej ta miłość, która już go przepelniała, wreszcie przemówiła pełnym głosem. Pamiętał również, jak zawsze dokuczał Danie, że musi zaplanować każdą sekundę swego życia, i jak wpisał jej do kalendarza, wśród innych zadań na określony dzień, następującą dyrektywę: „21.00 - 23.00 - Kochać się z Codym”.

Ze złością cisnął przed siebie kamień. Dlaczego nie potrafiła go zaakceptować takim, jakim był? Zastanawiał się, choć znał odpowiedź. Byli po prostu zbyt różni. Nigdy nie brała jego pracy poważnie, co więcej, w ogóle nie rozumiała, jak można być gliną.

A dla niego to było całkiem oczywiste: jego ojciec był gliną, jego dziadek był gliną, więc miał to we krwi. Trochę jak chorobę dziedziczną, od której nie da się uciec. Od ojca nauczył się, co to jest powinność, ale jego matka też to dobrze rozumiała, zawsze czekała, bez utyskiwania i wyrzutów.

Czekała aż do dnia, w którym zmarła, na rok przed ojcem.

Natomiast Dana bardziej niż Cody'ego pragnęła ładu, porządku i bezpieczeństwa. Kochała go pod warunkiem, że będzie pasował do jej planu, a tego nie mógł obiecać. Postawiła go przed wyborem, którego nie był w stanie dokonać: albo praca i jego

86 *Mallory Kane*

honor, albo ona. Nie potrafił zapewnić jej takiego bezpieczeństwa, jakiego pragnęła. Dobrze wiedziała, że to po prostu niemożliwe. Boże, dlaczego tak to się musiało ułożyć? Boże, jak ona przytulała tę poduszkę... Gdy zobaczył straszny smutek na jej twarzy, myślał, że mu serce pęknie. Świetnie ją rozumiał i wiedział, co przywołało jej cierpienia. Aby to odgadnąć, nie trzeba być naukowcem. Też dobrze o tym pamiętał, że kiedy byli tu ostatnio razem, Dana zaszła w ciążę, a wkrótce potem straciła dziecko.

Przyjechali tu wtedy, by dać sobie szansę, by wyjaśnić dręczące ich nieporozumienia, a zamiast tego cały czas się kłócili i dokuczali sobie nawzajem. No, może poza krótkimi chwilkami, kiedy się kochali.

Najpierw przed kominkiem, na podłodze, potem na sofie...

A kiedy Dana poroniła wkrótce potem, jak dostał postrzał w głowę, naturalnie za wszystko obwiniła jego. Zresztą on sam też się obwiniął. Był do tego przyzwyczajony...

Cody oparł się wygodnie o poręcz, próbując odegnać natrętne myśli. Zamknął oczy i na moment udało mu się oddalić bolesne wspomnienia, kiedy nagle z kuchni dobiegł go krzyk Dany i głośnie przekleństwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cody zerwał się na równe nogi i wbiegł do środka. Dana stała przy kuchennym blacie z ogromnym nożem w ręku. Spojrzała w jego stronę oczami pełnymi łez.

- Pozwól mi zobaczyć, kochanie - powiedział spokojnie, po czym wyjął jej z dłoni nóż, a skaleczony palec wsadził pod zimną wodę. - Nie martw się, to tylko drobne skaleczenie, wszystko będzie w porządku. Zaraz zakleimy plastrem.

Głośno jęknęła, a po jej policzkach potoczyły się łzy. Wyglądała jak małe, bezradne dziecko. Cody przytulił ją do siebie i pogładził po głowie.

- Nie płacz, wszystko będzie dobrze, to drobiazg.

- Wcale nie płacę, to przez cebulę - odparła nadąsanym głosem.

- To nic złego, że płaczesz. Żadna hańba. Ulżyj

88 *Mallory Kane*

sobie, masz za sobą ciężki dzień. - Wciąż głaskał ją po włosach.

- Nie płaczę - upierała się.

- No dobrze, nie płaczesz. Ale oddychaj, po prostu równo oddychaj. -

Trzymał ją w objęciach i kołysał raz w jedną, raz w drugą stronę, gładząc jednocześnie po plecach. Po chwili poczuł, że się rozluźniła, a jej oddech stał się znowu miarowy

- i spokojny. Mówił wszystko, co wpadło mu do głowy, żeby ją tylko uciszyć, ukoić. Wiedział, że nie chodzi

o tę ranę, ale o to, co wydarzyło się dziś, wczoraj, przed laty.

Opanowana, zdyscyplinowana Dana wreszcie się rozkleiła. Udawała jednak, że to nieprawda, bo nie znosiła, gdy ktoś widział ją w takim stanie. Mój problem, moje łzy... - Zaraz wywietrzymy

1 cebula przestanie cię piec w oczy. Jesteś przecież taka dzielna, taka silna... - Właśnie, skąd pochodziła ta jej siła, a może raczej ta nienawiść do słabości? Jakie to było dla niej nietypowe, że stała przytulona do niego, płakała i pozwoliła się kołysać w ramionach. To fakt, że miała za sobą trudne dni, ale czy to wystarczający powód? Niepotrzebnie wynikła ta sprawa z Fontenotem. - Już niedługo - szeptał, zatapiając twarz w jej włosach. - Nie martw się, złapią tego drania, a ja osobiście zawiozę cię do siostry. Trochę się więc jeszcze ze mną pomęczysz. W porządku, kochanie? Tutaj jesteś bezpieczna, nie musisz się zamartwiać. - Czuł, jak Dana relaksuje się w jego ramionach.

Zaniepokoiło go jednak coś innego. Ten różany zapach przywołał w jego pamięci wszystkie ciepłe

Bez skrupułów 89

wspomnienia i ekscytujące przeżycia. Poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Zaprażył całować, pieścić Danę. Jego ruchy stały się mocniejsze, bardziej zmysłowe.

Szybko odsunęła się od niego i wytarła oczy.

- Poszukam plastra - powiedziała cicho.

- A ja dokończę potyczkę z cebulą. - Uśmiechnął się trochę zażenowany.

- To miło z twojej strony. Dziękuję. - Odwzajemniła uśmiech.

Jak dawno już nie uśmiechała się do niego. Z pewnością nie wczorajszego wieczoru i nie dziś. Wziął w rękę nóż i próbował uporać się z cebulą. Nie było to jego ulubione zajęcie, prawdę mówiąc, chyba nigdy tego nie robił. Ale ten uśmiech nastroił go pozytywnie do wszystkiego, co było w jakikolwiek sposób związane z Daną.

Natomiast ona, zakładając plaster, robiła sobie wyrzuty. Głupio zaciąć się w palec, a potem płakać. Trudno, stało się. Wprawdzie nienawidziła płakać przy kimś, bo wydawało się jej to zbyt obnażające, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wcale nie chodziło o tę ranę. Zadrzała.

Dopóki nie płakała, wszystko miała pod kontrolą; dopóki się nie rozkleiła, trzymała bolesne wspomnienia na dystans. Tak łatwiej się żyło.

Gdy była z Codym, często pozwalała sobie na słabość. To fakt, że było jej z tym wygodnie, ale czuła, jak popada w zależność. A tego nie znosiła.

Wiedziała, że kiedy Cody odejdzie, będzie jeszcze bardziej cierpiała.

Świetnie rozumiał, że jej łez nie spowodowała mała

90 *Mallory Kane*

ranka na palcu. Ta świadomość trochę ją paraliżowała. Całe szczęście, że nie zaczął z niej żartować. Kochała tę jego słodką dobroć, drzemającą pod skorupą szorstkości i kpiarstwa. Poczwała ucisk w krtani. Kiedyś ufała mu jak nikomu na świecie. Czasami czuła się przy nim jak mała, bezradna dziewczynka. Miał przy tym specyficzne, lekko uszczypliwe poczucie humoru, więc nie mogła przy nim traktować wielu spraw, - a przede wszystkim siebie, z nadmierną powagą.

W ogóle kiedy się spotkali, była przekonana, że odnalazła swoją drugą połowę, że idealnie do siebie pasują. Uwielbiała niefrasobliwą spontaniczność Cody'ego, lecz z drugiej strony świecie wierzyła, że u jego boku będzie zawsze bezpieczna. Aż do tej chwili, gdy zagrożenie stało się zbyt bliskie, kiedy zaczęła je odczuwać na własnej skórze. Ulotniła się gdzieś ślepa wiara, że Cody zawsze będzie blisko niej, przestała wierzyć, że żyje tylko dla niej.

Spojrzała w lustro. Wyglądała okropnie: miała potargane włosy i czerwone, podpuchnięte oczy. No cóż, ostatnia doba dała jej się we znaki. W końcu ratowała swego wykrwawiającego się eksmałżonka, mało brakowało, a wyleciałaby w powietrze w swoim samochodzie, na koniec zaś musiała uciekać ze swojego miasta i przepaść bez wieści. Marzyła o spokojnym, cichym weekendzie, to się właśnie doczekała...

Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech, zaraz jednak zgasł. Musiała zgłupieć do reszty, skoro uważa, że to śmieszne. Czarny humor był specjalnością Cody'ego, nie jej.

Bez skrupułów 91

Obmyła twarz wodą, przeczesała włosy i wróciła do kuchni.

Gdy ona zastanawiała się nad swoim życiem, Cody doprawił już sałatkę i zrobił grzanki. Jak za dawnych czasów usiedli razem przy stole i zjedli w spokoju, bez niepotrzebnych słów, bez utarczek. A potem wspólnie zmyli naczynia, jak znajomi, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności znaleźli się o tej samej porze w tym samym miejscu. Po dwóch kieliszkach wina Dana poczuła wszechogarniające zmęczenie.

- Padam z nóg. Idę do łóżka. - Wypowiadając te słowa, poczuła zażenowanie. Powróciły kuszące wspomnienia: ich dwoje połączonych w miłosnym uścisku w łóżku, które zresztą wciąż jeszcze stało w sypialni.

Otrząsnęła się. - To znaczy idę spać...

- Spojrzała niepewnie na Cody'ego. Na jego twarzy malował się filuterny uśmiech.

W końcu powiedział:

- Weź sypialnię, ja położę się na kanapie.

- A co z twoim ramieniem? - zaprotestowała.

- Poza tym jesteś ode mnie dużo większy. Będzie mi tu dobrze.

- Nieważne, gdzie się położę, i tak nie będę dzisiaj dobrze spał, więc szkoda dla mnie dużego, wygodnego łóżka. Zostanę tutaj, dzięki temu będę miał wszystko na oku. No, idź już.

- Przecież nie możesz całą noc czuwać! Musisz wypocząć, dojść do siebie. Dostałeś kulę, zapomniałeś?

- Jest dobrze. To ty padasz z nóg, ja sobie poradzę. Idź, proszę.

92 *Mallory Kane*

Dana spojrzała raz jeszcze na jego bladą twarz i zapadnięte oczy.

- Do diabła, Cody...

- Tak będzie - stwierdził dobitnie. - Nie zamierzam dłużej na ten temat dyskutować.

Znała ten ton. Nie miało sensu dalej się upierać. Rzadko, i tylko w szczególnych okolicznościach, uciekał się do tak zamordystycznej metody. Dana wiedziała, że dalsze wiercenie dziury w brzuchu nic nie da, oczywiście poza bezsensowną awanturą. Cóż, Cody powiedział, sprawa zakończona.

- Rozkaz, sir! - Zasalutowała. Odwdzieczył się jej anielskim uśmiechem.

Dana weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Cały czas miała przed oczami błogi uśmiech Co-dy'ego. Jej myśli krążyły wokół wydarzeń dzisiejszego dnia. Jaki był dla niej kochany, gdy skaleczyła się w palec, i jakie cudownie mocne i ciepłe były jego ramiona, kiedy ją przytulał. Do tego ta dobrze jej znana ekscytacja, która powróciła, gdy tylko jej dotknął...

Przestań, strofowała samą siebie, przestań o nim myśleć. Ona i on... nie, to nie miało najmniejszego sensu. Już od czterech lat nie istniało ich małżeństwo. Tylko przez przypadek znaleźli się pod jednym dachem. To naturalne, że naszyły ją wspomnienia, ale niczego nie mogły zmienić - należały do przeszłości, albowiem ten etap jej życia był nieodwracalnie zamknięty.

Wiedziała, co po jakimś czasie znów by się stało. Dobre cechy charakteru Cody'ego okazałyby się nie

Bez skrupułów 93

na tyle dobre, by mogły zrekompensować te złe. Zwinęła się w kłębek jak kot, marząc tylko o jednym, żeby w końcu zasnąć i przestać myśleć. Cody siedział do późna, sącząc wino. Z każdym kieliszkiem czuł się bardziej odprężony, a ramię mniej dokuczało. Miał chęć otworzyć następną butelkę, ale zrezygnował. W końcu nie byli tu na wczasach, lecz ukrywali się przed szalenie niebezpiecznym przestępcą, musiał więc zachować przytomność umysłu. Leżał w ciemności wyciągnięty na kanapie i przez szklane drzwi przyglądał się błyszczącej w świetle księżycy tafli jeziora. Uwielbiał ten widok, działał na niego kojąco, a kumkanie żab brzmiało jak najpiękniejsza kołysanka. Przymknął oczy... Nagle rozległ się potworny huk, a zaraz potem rozbłysnął płonący samochód. Cody zaczął krzyczeć, patrząc na płomienie, które błyskawicznie pochłaniały czarny kształt. Dana, tam jest Dana! Otworzył oczy i usiadł oszołomiony.

- Cholera - zaklął pod nosem. Spokojnie, to były przecież tylko głupie światełka, nie bomba, uspokajał się w duchu. Przetarł spocone czoło i upił łyk wody z butelki stojącej przy kanapie. Ten Fontenot to wcielony diabeł i geniusz zarazem, pomyślał. Psychopata, którego ogromną inteligencję przewyższał jedynie kompletny brak uczuć wyższych. Emocje małego, puszczonego samopas dziecka wcielone w niezwykle groźną maszynę do zabijania. Liczy się tylko: „Ja chcę”. A jeśli nie może czegoś zyskać, w ogóle jeśli coś idzie nie po jego myśli, morduje tych, których o to obwinia, czerpiąc z tego jedyną

94 *Mallory Kane*

znaną sobie radość: sadystyczną satysfakcję. Tacy ludzie są szczególnie groźni, jeśli posiadają wysoki iloraz inteligencji. Często robią kariery, wzbudzają respekt i podziw, działając bowiem z zimną perfekcją, potrafią w bezwzględny, choć dla wielu niewidoczny sposób podporządkować sobie rodzinę, podwładnych czy wyborców. Gdy jednak ktoś próbuje im się przeciwstawić, niszczą go, oczywiście w taki sposób, by nie wyszło to na jaw.

Gdy żona - czyli jego własność — odeszła od Fontenota i odmówiła powrotu, oczywiście ją zabił. Policja była pewna, że kobieta została zamordowana, i że zrobił to Fontenot, ale była bezradna, nie miała bowiem żadnych dowodów. Lekarz sądowy jako przyczynę zgonu podał atak serca. Śmierć z przyczyn naturalnych, nie ma powodu, by wszczynać śledztwo.

Ale Cody się zaparł i udowodnił, że to jednak była zbrodnia. Lecz na tym się nie skończyło, był to zaledwie początek niemożliwych do przewidzenia zdarzeń. Zamieniony w ściganą zwierzynę Fontenot postrzelił Cody'ego, a będąca strzępką nerwów, przerażona Dana poroniła i wystąpiła o rozwód. Gdyby nie to, byłiby teraz szczęśliwą rodziną. Tata, mama, dziecko... może więcej dzieci...

Lecz ich małżeństwo nie tylko się rozpadło, ale znów żyli w koszmarze. Po Fontenocie można się było spodziewać absolutnie wszystkiego. Cody wziął butelkę z wodą i wyszedł na taras. Księżyc był blisko pełni i jasno świecił, a od wschodu zasnuwała niebo delikatna mgła. Co za widok! Usiadł na schodach i znowu dopadły go czarne myśli.

Bez skrupułów

95

Fontenotowi udało się podłączyć te lampki do zapłonu w przeciągu niecałych dziesięciu minut. Niepojęte... Poczul, jak drżą mu dłonie. Ukrył w nich twarz, licząc na to, że przysłonią wciąż majaczący obraz pochłanianej przez płomień Dany. Dana z potarganymi włosami i zmaconymi przez sen oczami popijająca kawę; Dana wyłaniająca się z wody, o lśniącej skórze pokrytej drobnymi, mieniącymi się w świetle kropelkami wody; Dana z oczami przepelnionymi łzami, wtulona w jego ramię, śmiertelnie przerażona widmem bomby podłożonej w jej samochodzie, patrząca na niego z ufnością małego dziecka, za wszelką cenę pragnąca wierzyć Cody'emu, że wszystko jest w porządku.. gdy nic nie było w porządku i wiedziała, że ją okłamuje... Dana, Dana, Dana... Oczy paliły go żywym ogniem. Zamknął je, próbując się odprężyć. Ten strach, ten porażający strach. Nie bał się o siebie, ale o nią. Jedno przekręcenie kluczyka w stacyjce i koniec... koniec wszystkiego.

Poczul niechciane łzy na policzkach... i nagle zdał sobie sprawę, że Dana przeżywała to samo niemal każdego dnia, kiedy byli razem. Bezsenne, niekończące się noce przepelnione nieznośnym oczekiwaniem i dławiącymi łzami bezradności. Po raz pierwszy Cody zrozumiał, dlaczego Dana od niego odeszła. Zrozumiał też, dlaczego tak bardzo nie lubiła płakać. Płacz powodował, że człowiek czuł się zagubiony i bezsilny.

Czas jakiś siedział jeszcze pogrążony w roz-

Bez skrupułów 96

paczy, aż nagle poczuł, że natychmiast musi ujrzeć Dane. Wszedł do domu, na palcach zbliżył się do sypialni, po cichu uchylił drzwi i zajrzał do środka. Chciał się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku. I było. Spała spokojnie z podkulonymi nogami. Wszedł do środka i po cichutku, powoli położył się obok niej. Jakby to było najnormalniejsze w świecie, odwróciła się na drugi bok i przytuliła do niego. Tak zawsze robiła we śnie dawno temu, gdy jeszcze trwało ich małżeństwo. Była całkowicie zrelaksowana i rozluźniona, jakby wierzyła, że w jego obecności nic złego nie może jej spotkać. Przeraziło go to, bo przecież w ich sytuacji mówienie o pełnym bezpieczeństwie byłoby karygodną lekkomyślnością.

Rozgrzane, pachnące różami ciało Dany wzbudziło w nim pożądanie. Delikatnie objął ją w talii... Wciąż jednak wyrzucał sobie, że tak bardzo lekceważył lęki i obawy Dany. Boże, jak mu jej brakowało. Po raz pierwszy od czterech lat znalazł się tak blisko niej. Wreszcie poczuł w sobie spokój. Gdyby tylko potrafił pozbyć się natrętnej myśli, ile czasu zajmie temu psychopacie pochwycenie ich tropu, gotów byłby nawet zasnąć.

Śpiew ptaków za oknem obudził Danę. Przeciągnęła się słodko i ziewnęła, a następnie obróciła się i zaplotła na karku Cody'ego drobne dłonie. Dopiero po chwili zorientowała się, że coś jest nie tak. Otworzyła oczy - i wszystko do niej wróciło.

Zaskoczona usiadła na łóżku.

- Cody, co ty tutaj robisz?

Zerwał się, a zaraz potem zaklął z bólu.

- Co się stało? - zapytał półprzytomnie. Spojrzała na jego wciąż bladą i wymęczoną twarz.

Zupełnie zapomniała o tym postrzale... i o wielu innych rzeczach, kiedy przytuliła się przez sen do jego muskularnego, ciepłego ciała. Teraz dopiero zaczęła budzić się na dobre.

- Chciałabym wiedzieć - rzuciła niezbyt uprzejmie - co robisz w moim łóżku?

Zaczerwienił się, odrzucił kołdrę i wstał.

- Przyszedłem tylko na chwilę, by się upewnić, czy wszystko w porządku. Stał tuż przed nią w bokserkach i z trudem docierało do niej, co mówił.

- Niby co miałeś sprawdzić? Na którym boku śpię? - rzuciła zgryźliwie i nagle ostatnie wydarzenia wróciły do niej głuchym echem. Serce zaczęło jej szybciej bić. - Czy coś się stało? Coś słyszałeś?

- Spojrzała mu w oczy; w te cudowne, niebieskie oczy, które kiedyś przyprawiały ją o zawrót głowy.

- Nie, zajrzałem tylko i na chwilę położyłem się przy tobie... no i zasnąłem. Wybacz mi, proszę.

- Odwrócił się i wyszedł do salonu, zostawiając ją w osłupieniu.

Był boski. Wciąż pociągał ją jak kiedyś. Otrząsnęła się. Nie, nie chciała o nim w ten sposób myśleć. Nic ich nie łączy, są przecież po rozwodzie.

Wyskoczyła z łóżka, włożyła szorty i podkoszulek. Wcale nie ułatwi sprawy, jeśli będzie paradował przed nią półnagi i wślizgiwał się do jej łóżka. Zwłaszcza że nie mogła oderwać od niego oczu...

98 *Mal lory Kane*

Umyła się i rozczesała włosy. Nie mogę tu dłużej zostać, zdecydowała. Dave wspominał o innej kryjówce. Zaraz zapyta o to Gody'ego. Chciała znaleźć się w neutralnym miejscu, gdzie nie byłaby bezustannie bombardowana przeszłością.

Wzięła głęboki oddech i poszła do kuchni. Niestety Cody wciąż jeszcze nie włożył podkoszulka. Wbiła wzrok w jego szeroki tors i nie mogła wydusić z siebie ani słowa. On natomiast zapytał spokojnie:

- Kawy?

Dana zmarszczyła brwi.

- Tak, poproszę. Szkoda, że nie pozwoliłeś mi kupić świeżo zmielonej. - Wzięła od niego kubek z parującą kawą i usiadła przy starym, drewnianym stole.

- Nie było już na to czasu, przecież o tym wiesz. Upiła łyk i skrzywiła się.

- E tam, świeża jest o niebo lepsza. A do tego miałam kupony na tę nową, o czekoladowym smaku. Trzeba wiedzieć, jak gospodarzyć.

- Ależ oczywiście - rzucił sarkastycznie. - Oszczędzać nie każdy potrafi. Poza tym szkoda kuponu...

- Oho, jak widzę, zebrało ci się na złościwości. Miły początek dnia. A wracając do tematu, jestem po prostu praktyczna. Mogłam oszczędzić dwa dolary.

- Cholera, Dana! Dwa dolary, jakieś kupony, o czym ty mówisz? Przecież my walczymy o życie, nie rozumiesz?! - Z impetem postawił kubek na stole. Jego twarz pociemniała ze złości. - Och, rozumiesz, tylko... Do diabła, dlaczego nie pomyś-

bez skrupułów 99

łałaś, co nagrać na sekretarce. Czy całe miasto musi wiedzieć, że nie będzie cię przez dwa dni w domu?

Dana mocno zagryzła usta. Cody potrafił być nieprzyjemny.

- Jestem adwokatem, zapomniałaś? - rzuciła równie niemiłym tonem. - Moi klienci muszą wiedzieć, kiedy można się ze mną skontaktować. Więc odczep się wreszcie od tej sekretarki.

- Ty i ci twoi klienci... Przede wszystkim musisz być ostrożna, a ty na talerzu podałaś Fontenotowi bezcenne informacje. Wiedział, że nie ma cię w mieście, więc spokojnie wszedł do twojego mieszkania, nawet się nie zestresował, i wziął ten cholerny kolczyk. - Jego twarz była tak blisko jej, że czuła na sobie jego oddech. - Pomyśl tylko, ten psychol, który zabił swoją żonę i ranił mnie, chodził po twoim mieszkaniu, dotykał twoich rzeczy... Facet, który pała żądzą mordy, a ty jesteś na jego liście! - Nie przejął się, że Dana zbladła śmiertelnie. - I co, nadal uważasz, że najważniejsi są twoi klienci? No i te dwa dolary... Pani mecenas, odnoszę wrażenie, że wyznawana przez panią hierarchia wartości jest nieco ekstrawagancka... a mówiąc wprost, zdrowo walnięta.

Mimo że słowa Cody'ego o Fontenocie mocno ją poruszyły, wcale nie zamierzała kwilić ze strachu. Co to, to nie.

- To mi popieprzyła się hierarchia? To ja jestem walnięta?! I kto to mówi? A może porozmawiamy o tym, dlaczego ten psychol ma nas na swojej liście? Dlaczego poluje na nas? Odpowiedź

100 Mallory Kane

jest prosta: błędny rycerz Cody Maxwell nie tylko ; zebrał dowody na Fontenota, ale sam postanowił go schwytać. Rozpocząłeś prywatną wojnę, chciałeś być jego sędzią i katem, stałeś się osobistym wrogiem tego psychologa. Efekt jest taki, że Fontenot postrzelił cię na twoje własne życzenie, a teraz zamierza dokończyć dzieła, przy okazji postanowił też zapolować na mnie. I to jest twoja wina, rozumiesz! Twoja i tylko twoja. Jak zwykle uznałeś, że jesteś najspryt- 1 niejszy i najmądrzejszy na całym świecie, co tam procedury śledztwa, co tam sąd i prokuratura. Cody Maxwell, niezłomny pogromca zła... Gdybyś chociaż " robił to na własny rachunek... ale nie, oczywiście -musiałeś wciągnąć w to również mnie!

- Tego nie mogłem przewidzieć. A potem j uż nie mogłem czekać. Na co miałem czekać? Aż zabije moją żonę?

- Byłą żonę - syknęła jadowicie. < Złapał kubek z kawą i wypił ją jednym haustem.

Dana miała nadzieję, że za chwilę wyjdzie. Wzięła do ręki swój kubek i trzymała go przed sobą, jakby był tarczą obronną.

- Nie masz prawa rozmawiać ze mną w ten sposób - zaczęła. - Przerażasz mnie, kiedy jesteś wściekły.

- Nie jestem wściekły! - krzyknął i walnął kubkiem o stół. - Wiesz przecież, że nigdy bym cię nie skrzywdził - dodał już nieco spokojniej.

- Wiem o tym, ale swoim postępowaniem sprowadzasz na mnie zagrożenie. Nie rozumiesz tego?

We wszystko wkładasz tyle energii i uczucia...

- Urwała, bo nagle jej myśli pomknęły w zupełnie innym kierunku.

Jego gniew znikł bez śladu. Spojrzał jej prosto w oczy.

- No powiedz, w co jeszcze wkładam tyle uczucia? - Zdawał się czytać w jej myślach.

- Przestań - powiedziała ostro. - Nie wykorzystuj sytuacji.

W jednej chwili jego spojrzenie stało się wyblakłe, a oczy zmatowiały.

- Idę wziąć prysznic.

- To dobrze. Najwyższy czas, żebyś się wreszcie umył. A kiedy skończysz, zadzwoń do kapitana i powiedz mu, że chcę, by przeniósł mnie w inne miejsce. Samą, bez ciebie, żebyś nie musiał się już o mnie martwić ani decydować, co jest dla mnie ważne.

Cody spojrzał na nią chłodno, spod oka.

- A co jest dla pani ważne, pani mecenas? Dana zmierzyła wzrokiem mężczyznę, którego

kiedyś kochała. Boże, jak mogła tak zapędzić się w kozi róg? Dlaczego Cody nie rozumie, jak bardzo jej go brakowało... i jego, i ich wspólnego życia. Dlaczego był jednym z tych nawiedzonych szaleńców, którzy o każdej porze dnia i nocy wypełniają misję ratowania świata, zapominając o własnym życiu i osobistym szczęściu. Dom i rodzina, to było dla maluczkich, dla zwykłych zjadaczy chleba...

A przecież czy ciepły, pełen miłości dom to coś złego? Danę przeszył dobrze znany ból. Zerknęła na Cody'ego. Musiał wyczytać coś z jej twarzy. Był

102 *Mallory Kane*

poruszony, ale ona nie chciała ciągnąć tej dyskusji. Jakby nigdy nie popijała kawę. Jednak Gody wciąż patrzył na nią pytająco. Machnęła więc w końcu ręką i powiedziała:

- Idź i weź ten prysznic, może to cię trochę ochłodzi.

- W porządku. - Głośno odetchnął i ruszył w stronę drzwi.

Dlaczego zawsze musieli się ranić? Żałowała swoich słów, to było poniżej pasa i dobrze o tym wiedziała. Gdyby Gody mógł żyć jak normalny gliniarz, może ich małżeństwo by się nie rozpadło. Albo gdyby nie pracował w sekcji zabójstw. Miał przecież inne propozycje. Nie da się ukryć, że jest świetnym oficerem policji, nadzwyczaj inteligentnym i błyskotliwym detektywem, człowiekiem czynu. To wszystko prawda... Kiedyś rozmawiali o tym, by przenieść się w jakieś ciche i spokojne miejsce, kupić dom i stworzyć rodzinę z prawdziwego zdarzenia. Tak, był taki czas, że rozmawiali o swoich nadziejach i marzeniach, czas, kiedy wystarczała im tylko miłość.

Wspomnienia... wszystko przez te bolesne wspomnienia. Tutaj przecież spędzili swój miodowy miesiąc, właśnie w tym domku nad jeziorem, bo nie mogli sobie na nic więcej pozwolić. Ale jakie to miało znaczenie? Cody skombinował butelkę szampana i złowił całe wiadro raków.

Wspólnie je przyrządzili, a wieczorem zjedli przy szampanie. Był to jeden z bardziej ekscytujących i zaskakujących dni w całym jej życiu. Szampan, raki, miłość... Miłość, która nie znała wówczas jeszcze ani zawodu, ani bólu, ani strachu.

Wtuliła twarz w poduszkę. Tak bardzo pachniała Codym... Znowu poczuła w oczach łzy. Boże, miała nadzieję, że nigdy go więcej nie zobaczy. To zbyt bolesne. Lecz z drugiej strony była pewna, że nie potrafi tak bardzo pokochać żadnego innego mężczyzny. Cały czas docierały do niej odgłosy z łazienki. Chłupot wody przeplatany głuchym stukotem upadającego na podłogę mydła i stuknięciami o drzwi kabiny. Gdy

usłyszała, jak Cody klnie pod nosem, uśmiechnęła się. Kiedyś mieścili się tam razem i nie tylko zażywali kąpieli... Nagle stanął jej przed oczami obraz całkiem nagiego Cody'ego. Muskularne ciało pokryte było tysiącem drobnych kropelek wody, a włosy miał zaczesane do tyłu...

Otrząsnęła się. Odrzuciła poduszkę, jakby chciała odrzucić wszystkie wspomnienia. Lepiej będzie, jeśli zajmie się czymś konkretnym. Nie ma sensu zagłębiać się w to wszystko jeszcze raz. Tym bardziej, że dziś stąd wyjedzie.

Gdy ruszyła w stronę kuchni, dobiegły ją głośne przekleństwa Cody'ego. Z trudem opanowała wybuch śmiechu.

- Cody, wszystko w porządku?

W tym momencie drzwi z hukiem otworzyły się i ukazał się w nich Cody z ręcznikiem niedbale okręconym wokół bioder i z włosami pniącymi się od szamponu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dana próbowała zachować powagę, ale widok Cody'ego tak bardzo ją rozbawił, że wybuchnęła śmiechem.

- Coś ty zrobił? - wydusiła z siebie z trudem. Starł spływającą do oka pianę i spojrzał na Danę bezradny jak dziecko.

- To cholerne ramię... W żaden sposób nie mogę umyć sobie włosów.

- Aha... - Starła się choć trochę pohamować śmiech.

- Cieszę się, że cię to bawi - syknął, podtrzymując ręką ręcznik, który wciąż się zsuwał. - Nie chciałbym psuć zabawy, ale jak już ci trochę minie, czy mogłabyś podać mi džinsy?

Zrobiło jej się trochę głupio, ale naprawdę roz-

Bez skrupułów 105

bawił ją do łez. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się śmiała. Chyba tylko przy nim...

Gdy wróciła, wciąż stał w drzwiach łazienki. Rzuciła mu dżinsy i znowu mało nie pękła ze śmiechu, gdy patrzyła, jak desperacko próbuje złapać spodnie, jednocześnie przytrzymując coraz niżej zjeżdżający ręcznik.

- Jak już ci się uda włożyć dżinsy, przyjdź na werandę, to opłuczę ci włosy. - Odwróciła się i na wszelki wypadek szybko odeszła, by uchronić samą siebie przed zaproponowaniem Cody'emu czegoś innego...

Weszła na werandę, podłączyła wąż do kranu, postawiła plastikowe krzesło przy barierce i opłukała je. W tym momencie na werandzie pojawił się Cody. Wokół szyi miał zawinięty ręcznik, na który skapywała piana z włosów.

- Przecież krzesło jest mokre - stwierdził z pretensją w głosie.

Wzruszyła ramionami.

- A wolałbyś siedzieć na pajęczynach? Chcesz, żebym ci opłukała te włosy czy nie?

- To moje jedyne spodnie...

O mało co znowu nie wybuchnęła śmiechem. Co za dziecko, pomyślała.

- Więc zdejmij je!

Cody spojrzał na Danę i dostrzegł wesołe ogniki w jej oczach.

- Nie ma mowy.

- Jak pan sobie życzy.

Wreszcie na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

106 Mallory Kane

- No dobra. Postaraj się mnie nie zmoczyć.
 - Jasne. Głowa do tyłu.
 - Już się robi. - Spojrzał na nią tymi swoimi niebiańskimi oczami.
 - Cholera, Cody - mruknęła, przeczesując palcami jego włosy - znowu zużyłeś pół butelki szamponu?
 - A co, za dużo? Pokręciła głową i westchnęła.
 - Matko, wy faceci... - wyrwało jej się. - Na czym wy się w ogóle znacie? Zawsze używałeś za dużo szamponu. Trudno było nastarczyć...
 - Tak? - zachnął się. - Jeszcze więcej niż ty tego twojego różanego paskudztwa? Wiesz, ile razy szedłem na służbę, pachnąc różami?
 - Dobra, dobra, nie zmieniaj tematu. Co to ma teraz do rzeczy? To głupota zużywać tyle szamponu. Tego nie sposób splukać! Odchyl bardziej głowę.
- Nawet nie drgnął.
- Odchyl głowę! - Nagle zdała sobie sprawę, że czuje oddech Cody'ego na swoim dekolcie. Jedna z jej piersi niemal dotykała jego policzka.
 - Cała pachniesz różami - szepnął, ale już nie było pretensji w jego głosie.
 - Myślałem, że nie pamiętam tego zapachu, a tymczasem... - Usta Cody'ego dotknęły jej piersi.
- Westchnęła, a zaraz potem puściła strumień wody na jego twarz.
- Hej! - Zerwał się z krzesła. Dana odskoczyła.
 - Co? - Z trudem powstrzymywała drżenie nóg.

Bez skrupułów 107

- Ja to co? Oblałaś mnie! - Uśmiechnął się szatańsko i ruszył w jej kierunku.

Trzymała przed sobą wąż jak broń.

- Cody, lepiej usiądź. Masz jeszcze szampon we włosach. - Odsuwała się powoli. - Ostrzegam cię, Cody, jeszcze jeden krok i...

Nie dokończyła, gdyż podskoczył do niej i odebrał wąż. Nie miała innego wyjścia, jak tylko pognać przed siebie co tchu w piersiach. Serce biło jej jak oszalałe.

On zaś skierował strumień wody na jej stopy.

- Cody! - krzyknęła. - W tej chwili przestań!

- Ku swemu zdziwieniu stwierdziła jednak, że całkiem dobrze się bawi. Skrupulatna i pedantyczna Dana Maxwell baraszkowała jak dziecko. Nie chciała, by Cody to zauważył. Zagryzła więc wargę i pogroziła mu palcem. - Jak mnie oblejesz, to...

- To co? - uśmiechnął się szelmowsko. - Co mi zrobisz? - Szedł w jej stronę. - Pozwiesz do sądu, obijesz, wsadzisz do lochu? No, pani mecenas?

- Skierował na nią strumień.

- Cody! - krzyknęła bezradnie, gdy oblał ją całą. Próbowwała zasłaniać się rękami, jeszcze bardziej rozpryskując wodę. - Gody, przestań! Bo tak oberwiesz, że... no, pożałujesz!

Rechotał radośnie, a po chwili Dana mu zawtórowała. Śmiali się jak psotne dzieci. Jak zaraz po ślubie. W końcu Cody, czując się zwycięzcą, rozluźnił się. Wtedy wyrwała mu wąż i z dziką satysfakcją zafundowała zimny prysznic. Przez chwilę szamotali się, śmiejąc i przekomarzając.

Byli

108 Mallory Kane

całkiem mokrzy, więc nie miało już znaczenia, kto kogo polewa. Na twarzy Cody'ego pojawił się grymas bólu. Na znak pokoju uniósł ręce do góry, a wąż upadł na ziemię.

Objął ją zdrowym ramieniem i przycisnął do siebie. Wciąż jeszcze nie mogli pohamować się od śmiechu. Dana odgarnęła z twarzy mokre włosy i odrzuciła je do tyłu. Drżała w porannym chłodzie. Gdy Cody przycisnął ją mocniej, wróciły wszystkie wspomnienia. Przypomniała sobie, jak kochali się w jeziorze...

Wyprostowała się i spojrzała na niego. Przez te wszystkie niekończące się noce, które nastąpiły po rozwodzie, pragnęła ponad wszystko bliskości Cody'ego. Czasami zdawało jej się, że dłużej tego nie wytrzyma, że samotność ją zabije. Każdy nadchodzący dzień przerażał ją.

- Kochanie... - szepnął.

Czuła, jak jego dłoń wędruje po jej ciele, dotyka szyi, policzka. Podniosła głowę, przekonując samą siebie, że to drobiazg, nic właściwie, co najwyżej jeden pocałunek. Potem i tak wróci do normalnego uporządkowanego życia. Ale kiedy dotknął jej warg, miała wrażenie, że się rozplącze.

- Cody... nie, nie wiem, czy... - Chciała zaprotestować, ale było już za późno. Słodki, intensywny dreszcz rozszedł się po jej ciele.

Potem pocałował ją jeszcze raz i spojrzał na nią tymi swoimi oczami; oczami, w których krył się cały błękit nieba; oczami przepelnionymi namiętnością. Uniósł dłoń i dotknął palcem ust Dany.

Bez skrupułów 109

- Jesteś taka cudowna... jak zawsze. Na jej twarzy malowała się niepewność.
- Nigdy mi nie wierzyłaś, prawda? Czy twoje lustro nie mówi ci takich rzeczy? Na przykład jakie cudowne są twoje zielone oczy? - Pochylił się i musnął ustami jej powieki. - Nigdy ci nie mówi, jak cudownie rzeźbione są twoje policzki? - Poczwała, jak ich dotyka swoimi rozpalonymi wargami. A zaraz potem jego dłoń na piersi. - Nie gwizdzą za tobą na ulicy?
- Cody - szepnęła ledwo słyszalnym głosem - co ty robisz?
- Próbuję ci pokazać, jaka jesteś cudowna... Dana zadrżała. Jej podniecenie rosło z każdą chwilą i z każdą pieśszczotą.
- Nie jestem pewna, czy powinniśmy to robić. Znowu ją pocałował, odbierając resztki zdrowego rozsądku.
- A co powinniśmy robić? - szeptał namiętnie. Czwała jego gorący oddech na swojej twarzy. - Klócić się? To cię bardziej rajcuje?
- I nagle pocwała strach. W jednej chwili czar prysł. Przypomniała sobie, co oznaczało życie u boku Cody'ego, przypomniała sobie ciągłą niepewność i łzy. Wyrwała się z jego objęć.
- Dana? - Chciał ją zatrzymać, ale odwróciła się do niego tyłem i mocno zacisnęła powieki.
- Jesteśmy całkiem mokrzy.
- Wiem... - Jego głos przepełniała gorycz. Pochyliła się i zakręciła wodę.
- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdę się wykapać.

110 *Mallory Kane*

Ty miałaś zadzwonić. To naprawdę jakaś pomyłka, że znaleźliśmy się pod jednym dachem.

- W porządku, wykąp się, a ja zadzwonię. - Pokiwał głową. Jego cudowne, niebieskie oczy były bez wyrazu.

Wiedziała, że zrobiła mu przykrość, ale nie miała innego wyjścia.

- Gody, ja...

- Wiem, idziesz się wykąpać. - Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku jeziora. Unosiły się nad nim małe obłoczki, których jeszcze nie przepłoszyło słońce. Wyglądało to dziwnie nierealnie, jak z kreskówki. Za to jego sytuacja okazała się boleśnie realna. Myślał, że się wyleczył z Dany, uwolnił od niej... Miał przecież swoją pracę, życiowy cel, misję, i właśnie to było najważniejsze. Chciał być gliną i był gliną. Nie mógł tego zmienić, jak nie można zmienić swej skóry.

Lecz jaką cenę jeszcze za to zapłaci? Stracił już ukochaną kobietę, stracił szansę na ojcostwo... Czyżby łudził się, że jakoś zdołała się z tym pogodzić? Tylko tak to sobie wmawiał. Gdy tylko zbliżał się do Dany, wszystko natychmiast ożywało. Była taka rozkoszna, podniecająca, i ten jej śmiech... Jakże rzadko go słyszał w ostatnich miesiącach ich małżeństwa. A dziś rano, gdy bawili się jak dzieci, znowu się śmiała. Czy to nie cudowne? I choć na chwilę przestała się kontrolować.

Ogarnęła go wściekłość. Zaciśnął dłoń w pięść i z całą siłą uderzył w drzewo. Nigdy więcej, pomyślał, nigdy więcej! Wszystko wróci do normy, gdy tylko Dana zniknie mu z oczu. Dlaczego tak bardzo pragnął jej dotykać i całować? Dlaczego nie udało mu się powstrzymać? Mógł się przecież spodziewać, jaka będzie jej reakcja. Wcześniej dała mu to wyraźnie do zrozumienia. Przeczesał mokre włosy palcami.

To naprawdę nie miało sensu. Powinien zająć się tym, co do niego należało. Zaraz zadzwoni na posterunek i dowie się, czy mają coś nowego. Takie siedzenie na miejscu nie było w jego stylu. Nie lubił, gdy ktoś za niego rozwiązywał problemy. Czuł się wtedy jak ostatni dupek.

Szybkim krokiem wrócił do domu. Wziął komórkę i wystukał numer posterunku.

- Cześć, Olsen, tu Maxwell. Jest tam gdzieś Gautier?

- O, detektyw Maxwell. Jak tam pańskie ramię?

- W porządku.

- To dobrze. Robimy, co w naszej mocy. Cody zaklął pod nosem.

- To oznacza, że nie macie jeszcze Fontenota?

- Niestety. Ale lepiej będzie, jeśli porozmawia pan z kapitanem Hamiltonem.

- Gdzie jest Dave?

- Tego nie wiem, proszę pana. Połączę pana z kapitanem.

Cody uderzył dłonią w stół i opadł na krzesło. A więc jeszcze nie udało się namierzyć tego sukinsyna. Sam musi się za to wziąć.

Dana słyszała, że Cody rozmawia przez telefon. Zdążyła się już umyć i przebrać. Miała na sobie

112 *Mallory Kane*

dżinsy i obcisłą koszulkę bez rękawów. Rozczesywała włosy, gdy nagle padło z ust Cody'ego słowo „Pensacola”. Serce zaczęło jej szybciej bić. Weszła do pokoju w momencie, gdy się rozłączył.

- Stało się coś z Angie? - spytała przerażona. - Mówiłeś coś o Pensacoli... Obiecaliście, że nic jej się nie stanie!

- Nic jej nie jest. Rozmawiałem z Hamiltonem. Dave sprawdził tę agencję, z której Fontenot wypożyczył samochód. Zostawił kilka ważnych dla nas informacji, inaczej by mu go nie dali. Chodzi o formalności związane z ubezpieczeniem.

- I co z tym samochodem?

- Poprosił o mapę Pensacoli, ale nikt go tam nie widział.

- Jesteś pewien, że z moją siostrą wszystko w porządku? - Gdy Cody niespokojnie przetarł twarz, chwyciła go za ramię. - Mów! Pojechał tam? Co z dziećmi Angie?

Jej siostra miała dwoje dzieci. Od tragicznej śmierci męża wychowywała je sama.

- Już ci przecież powiedziałem, że nic im się nie stało. Policja z Pensacoli zajęła się tą sprawą.

- To faktycznie bardzo uspokajające. Jeszcze więcej policji! Cholera, Cody! — Ogarnęło ją przerażenie. - Tylko tego brakuje, żeby moja rodzina została w to zamieszana. Dlaczego go jeszcze nie złapali?

- Angie, Chrissy i Ben są w drodze do bezpieczniejszego miejsca.

Fontenot myśli i tak tylko o jednym: jak dorwać mnie. Gdy zrozumie, że już ich tam

Bez skrupułów 113

nie ma, wróci do miasta. - Wpatrywał się w telefon, jakby w nim kryły się odpowiedzi na wszystkie pytania. - Jeśli w ogóle z niego wyjechał.

Dana nie lubiła, gdy w jego oczach czaił się niepokój, a twarz nabierała specyficznego wyrazu.

- O co chodzi, Cody? Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Przecież mogą namierzyć samochód. Czemu więc nie aresztują Fontenota?

Cody spojrział na nią ze złością.

- Po pierwsze mówiłem już, że nikt nie widział tego samochodu. A po drugie... cholera, patrząc na to od strony prawa, to on właściwie nic nie zrobił.

- Jak to nic nie zrobił? A ta pułapka w twoim mieszkaniu to nic? Niewiele brakowało, a byś już nie żył. Do mnie też się włamał. Przecież ukradł mój kolczyk... A później te światełka w samochodzie...

- Problem w tym, że jak dotąd nie ma na niego żadnych dowodów. Uwierz, to wcielony diabeł, inteligentny, przewidujący. Dobrze wie, że nigdy nie pojechalibyśmy do twojej siostry. Jest też zbyt sprytny, by policja wytropiła wypożyczony przez niego samochód.

- Nie podoba mi się to wszystko! Czegoś w tym brakuje... Zachowujesz się tak, jakby ten facet był absolutnym geniuszem zła. Ogarnia mnie panika, kiedy cię słucham.

- Nigdy nie wierzysz w to, co mówię. Nie słuchasz mnie. Pamiętasz, co zrobił? Wiedział, że jego żona ma chore serce i że panicznie boi się węży.

- Głos Cody'ego był bardzo oschły. - Zawiesił więc nad jej łóżkiem martwego węża, kiedy spała. Krew

114 *Mallory Kane*

kapiała prosto na jej poduszkę. Zbudziła się dopiero wtedy, gdy poczuła, że poduszka jest lepka i mokra.

- Och, Cody, przestań...

- A potem wpakował jej węże do lodówki. Kiedy ją otworzyła, wszystkie wysypały się na podłogę, z przerażenia zmarła na atak serca. Ale to on ją zamordował. Popatrz na to! - Uniósł zabandażowane ramię, potem chwycił Danę za rękę i przyciągnął do siebie. - Bawi się ze mną.

Poprzysiągł, że mnie dorwie. To na razie zwykły postrzał.

- Wiem, co to jest. Cody, musisz wreszcie zrozumieć, że nie jesteś niezwykły ani nieśmiertelny. Nie jesteś supermanem, a to, co się dzieje, nie jest zabawą ani komputerową grą. - Pamiętała, jakie było jej pierwsze skojarzenie, kiedy zobaczyła pułapkę: Cody okazał się za wolny. - Gdyby tak było, to nie ustawiłby pistoletu w tej pozycji; w pozycji, z której mógł cię zabić.

- Wcale nie chciał mnie zabić. Nie powinno mnie nawet drasnąć.

Skonstruował to tak, żebym podczas otwierania drzwi poczuł opór linki.

Drugim ostrzeżeniem było charakterystyczne kliknięcie.

- Więc dlaczego...?

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie poczułeś oporu linki ani nie usłyszałeś tego kliknięcia?

Dlaczego dałeś się postrzelić? - Natychmiast pożałowała swoich słów.

- Straciłem czujność. Byłem zdekoncentrowany, myślałem o czymś... innym.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Słowa Cody'ego wciąż dźwięczały jej w uszach. Przycisnęła do nich dłonie, licząc na to, że uda jej się uciszyć bezustannie powracające:

„Myślałem o czymś innym... myślałem o czymś innym”.

- Myślałeś o mnie i o moim kolczyku? - Pochyliła głowę i zacisnęła oczy.

A więc jednak powiedziała to na głos. Boże, tak długo się z tym męczyła.

Po chwili przełamała się i spojrzała na Cody'ego. Patrzył na nią matowym wzrokiem. Już wiedział, że cały czas zdawała sobie z tego sprawę.

Nigdy nie powinni byli zaczynać tej dyskusji i tak bardzo się przed sobą odsłaniać. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu.

Dana tępo patrzyła przed siebie. Czuła ogromną żalność i straszny ból.

Cody omal nie zginął, bo myślał

116 Mallory Kane

o niej. Co za beznadzieja... Desperacko rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby się skupić. Zaczęła wyjmować z lodówki wszystko, co jej wpadło w ręce. Muszą się przecież spakować, myślała gorączkowo. Ale czarne wizje nie opuszczały jej ani na moment. Do diabła, nie mogła przecież wciąż martwić się o Cody'ego. Tyle było innych spraw... Choćby jej siostra. Dlaczego nie złapali jeszcze tego psychopaty? Tak bardzo zapragnęła powrócić do swojego normalnego, choć może trochę nudnego życia.

Przygotowała kanapki i opakowała je folią, potem wraz z napojami i kilkoma pomarańczami włożyła do przenośnej lodówki. Szybko przebrała się w kostium kąpielowy, wsunęła pod pachę parasol przeciwsłoneczny i wyszła z domu. Ruszyła przed siebie w ślad za Codym.

Z kwaśną miną Fontenot położył małą, wędzoną rybę na tylnym siedzeniu wypożyczonego samochodu. Nie był zadowolony. Nie dość, że sporo czasu zabrało mu znalezienie śledzia, to na dodatek był wędzony. Zdecydowanie wolałby świeżego. No cóż, jak się nie ma, co się lubi... Zatarł ręce i uśmiechnął się pod nosem.

- Dobra nasza, nie jest źle - mruknął. Zamknął drzwiczki i zaczął dokładnie oglądać auto. Napawał oczy swoim dziełem.

- Cacuszko - powiedział z podziwem, patrząc na przerobione tablice rejestracyjne. Dzięki farbie akrylowej jedyńka zamieniła się w czwórkę, a B w E. Sprawa nie do wykrycia.

Bez skrupułów 117

Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Fontenot schylił się i zaczął zdrapywać wyschniętą farbę, przywracając tablicę do jej oryginalnego stanu. Nagle mały odłamek farby utkwiał mu pod paznokciem. Skrzywił się z obrzydzeniem i energicznie otrzepał dłonie o spodnie.

Ale najważniejsze, że był wreszcie gotowy. Kiedy ci durni gliniarze zaczną węszyć wokół samochodu, próbując zrozumieć, co znaczy ten śledź, on dokończy swój najnowszy projekt i odwiedzi Maxwella nad jeziorem.

Jacyż oni byli naiwni, myśląc, że ich tam nie znajdzie. Co to w ogóle był za problem? Powiązania Dany Maxwell z tym domkiem były naprawdę proste do ustalenia.

Włożył skórzane rękawiczki i wsunął się za kierownicę. Przedtem jednak na siedzeniu położył chusteczkę. Nie jego wina, że samochód był taki brudny. Poprzednia właścicielka nie dbała o niego ani trochę.

Zaproponował jej dobrą cenę, ale zaprotestowała, twierdząc, że nie może sprzedać samochodu za tak małe pieniądze. Wkrótce przekonała się, że szyja ludzka to bardzo wrażliwe miejsce. Wystarczyło, że ją trochę przekreślił, a już było po wszystkim. Fontenot westchnął i spojrzał na zegarek. Idealnie mieścił się w czasie. Musiał jeszcze tylko dopracować bombę.

Tafla wody w jeziorze przypominała lustro. Cody siedział w łódce i łowił ryby. Próbował się w ten sposób uspokoić. Co i rusz, klnąc pod nosem,

118 *Mallory Kane*

wyciągał z wody haczyk i zarzucał go trochę bliżej łodzi, obok zwałonego drzewa. Zrobiło się naprawdę gorąco i wiedział, że powinien włożyć koszulkę, zwłaszcza że spiekł się już na raka.

Po co w ogóle podejmował tę bzdurną dyskusję z Daną? Przecież nie miał zamiaru mówić jej, jak bardzo się o nią martwił. Co mu strzeliło do głowy? Ale to fakt, że czasem była diabelnie irytująca, więc przestał się kontrolować. Jakie to głupie: „Myślałem o czymś innym...”.

Jasne, że myślał o czymś innym! O tym, że ten bydlak Fontenot dobrze wiedział, jak się do niego dostać. Świadomość, że nie ma takiej siły, która mogłaby powstrzymać tego psychopata, była nie do zniesienia.

Nie martwił się rzecz jasna o siebie, ale o swoją żonę. Przerazała go myśl o tym, jakie koszmary mógł zafundować Danie. Cody syknął ze złością. Wydawało mu się, że zrozumiał, dlaczego Dana tak bardzo nienawidziła jego stylu życia. Nie umiała sobie poradzić z ciągłym strachem i niepewnością. Wiedziała, że każda kolejna sprawa może zakończyć się tragicznie. Dla niego balansowanie na krawędzi stanowiło wspaniałą podniecie, kochał ten dreszczyk emocji i niebezpieczeństwo.

Ale teraz, gdy wiązało się to z Daną, jej poukładane życie wydało mu się nagle czymś bardzo wartościowym i pociągającym. Przez niego popadła w kłopoty, i musiała się ukrywać. To oczywiste, że ten psychopata nie zawaha się jej zamordować, by mu udowodnić, że stać go na wszystko.

Bez skrupułów 119

Rozejrzał się dookoła, by skontrolować okolicę. Robił to co parę godzin. Było cicho i bezpiecznie. Choć wiedział, że chłopcy śledzą niemal każdy ruch Fontenota i gdyby zjawił się w tej okolicy, zrobiliby swoje, czuł niepokój. Było tu zbyt spokojnie, podejrzanie spokojnie.

A może chodziło tylko o to, że siedzenie na miejscu i bezczynność doprowadzały go do furii i dlatego wszędzie węszył zło? Wiele by dał, by uczestniczyć w obławie na tego szaleńca.

Nagle serce zabiło mu szybciej. Przypomnił sobie, co powiedziała Dana. To nie zabawa ani komputerowa gra... I on dobrze o tym wiedział.

Oddałby prawie wszystko, żeby posadzić Fontenota. No właśnie, czasami po prostu nienawidził swojej pracy. Kosztowała go już małżeństwo, a mogła kosztować czyjeś życie... życie Dany.

Przezesął energicznie palcami włosy, jakby chciał w ten sposób wyrzucić z głowy wszystkie dręczące myśli. Jeszcze raz energicznie zarzucił wędkę i odwrócił się.

Dana stała tuż za nim. A zatem nie usłyszał nawet, kiedy podeszła.

Powiedziała coś, ale nie dosłyszał słów, tylko wyczuł jakby nutkę skruchy, chęć przeprosin... Ale nie chciał, by go przeproszała. Nie chciał też, by sądziła, że to przez nią został ranny. Widział ją kątem oka.

- Nie usłyszałem, co powiedziałaś.

- Zapytałam, co my teraz zrobimy? - powiedziała bezradnie. - Zostaniemy tu?

Miała na sobie kostium kąpielowy, który świetnie

120 Mallory Kane

podkreślał opływowe kształty jej ciała. Przełknął nerwowo.

- Tak, kapitan wyraźnie polecił nam tu zostać jeszcze dzień lub dwa.

- Tutaj? - Zdjęła sandały i wrzuciła je do łódki, a zaraz za nimi torbę. -

Czy jest sprawna? Wzięłam ze sobą środek przeciw owadom. Jeśli potrzebujesz, mam go w torbie.

- Środek na owady? Po co to komu? Bardziej przydałby się krem przeciwsłoneczny.

- Bardzo śmieszne. - Pokazała mu język i wsiadła do łódki, trzymając małą, podróżną lodówkę.

Cody podał jej rękę. Łódka zachybotwała się pod ciężarem jej kroków.

- Uważaj, bo wpadniemy do wody. I nie odwiązuj sznura. Nie chcesz chyba dryfować po całym jeziorze.

- Bardzo zabawne. Jeszcze coś? A krem też jest w torbie.

- Jak to się dzieje, że zawsze jesteś przygotowana na wszelkie okoliczności? - zapytał zafrasowany. - Zabierasz to wszystko ze sobą bez względu na to, dokąd jedziesz? Tak na wszelki wypadek?

- Nie - odpowiedziała lodowato. - Mówiłam ci już wiele razy, że zamierzałam przyjechać tu na weekend. Szkoda, że słuchasz tylko siebie. Byłam już spakowana.

- No tak, to wszystko wyjaśnia. Cóż, zapomniałem.

- Powinieneś mieć na sobie podkoszulek. - A po chwili namysłu dodała: - Przecież jesteś wrażliwy na słońce.

Bez skrupułów 121

- Mogłaś mi przynieść...

- Słucham? Jesteś nie tylko nieuprzejmy, ale i wredny.

- No i dobrze. - Odwrócił się do niej plecami.

- Więc jak długo tu jeszcze zostaniemy? Wzruszył ramionami.

Próbowała być miła, ale jak widać, nie wyszło. By załagodzić sytuację, podjęła neutralny temat:

- Czego używasz jako przynęty?

- Niczego.

- Niczego? A to ciekawe. Więc oczekujesz, że ryba wskoczy na ten twój haczyk sama?

Uśmiechnął się.

- Nie planowałem łowienia ryb, nie jestem więc przygotowany. Pewnie tego nie rozumiesz...

Wciąż te głupie uwagi dotyczące jej sposobu życia.

- Masz jakiś problem? To ty nie zabrałeś ze sobą podkoszulka, więc się spaliłeś, to ty nie złapałeś ani jednej ryby, bo nie masz przynęty... Co się dzieje? Coś to twoje niezaplanowane życie nie bardzo jest owocne. -

Rany, sama nie wiedziała, o co jej chodziło. Przyszła tu w pokojowych zamiarach, a już jest gotowa do kłótni. To nerwy. Nerwy i niepokój. W takiej sytuacji to nic dziwnego. Czy nie miała prawa być zdenerwowana?

- Ze mną wszystko w porządku - usłyszała. - Kocham życie pełne niespodzianek, kocham zmiany i zaskakujące sytuacje. Dopiero wtedy czuję, że żyję. Stagnacja, przewidywalność, są nieprawdziwe, sztuczne, mierzą mnie. Powiedz, po co tu przyszłaś?

122 Mallory Kane

Miałem nadzieję na trochę ciszy i spokoju. - Był zrezygnowany.

Niezależnie co zrobił, zawsze było nie tak.

- Chcesz być sam? Tak sobie zaplanowałeś? Że będziesz samotnie łowił ryby bez przynęty? - Znowu poczuła się podle. - Cody, przepraszam...

Wiem, że robisz wszystko, by mnie chronić, a właściwie nas chronić.

Przepraszam, że przeze mnie jesteś ranny...

- Nie ma sprawy, pani mecenas. Nic takiego, ryzyko zawodowe.

Powstrzymała się. Nie chciała przecież znowu się z nim kłócić.

- Przyniosłam ze sobą kanapki i coś do picia. Chcesz? - zapytała pojednawczo.

Odwrócił się do niej i podrapał się po czole.

- Pewnie, nie jadłem przecież śniadania. Dana otworzyła lodówkę, podała mu butelkę

zimnej wody i odwinęła kanapkę. Odgryzł kawałek, a potem zajrzał do środka.

- Samo mięcho i ser... Ani odrobiny majonezu, ani pomidorka...

- Faktycznie, zapomniałam. Ale nie planowałam na dziś żadnego pikniku

- zaczęła się tłumaczyć. - Co jest? Co się recholisz? - burknęła.

Cody zanosił się od śmiechu.

- Nie planowałeś, że będziemy urządzać sobie pikniki? - zapytał z niewinną miną.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Po prostu wrzuciłam parę rzeczy do lodówki...

- Wzruszyła ramionami.

Bez skrupułów 123

Nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć, ale musiała tu przyjść i go zobaczyć.

- Spontanicznie? - wykrzyknął. - Dana Maxwell zrobiła coś spontanicznie? To należy uczcić. - Pogładził ją po twarzy.

Zanim się zorientowała, pocałował ją gorąco. Drżała na całym ciele.

- Nie przejmuj się - rzucił po chwili. - Z majonezem czy bez, z radością je zjem. Umieram z głodu.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Dana wydobyła z lodówki pomarańcze.

- Chcesz?

- Nie, dzięki... Kochanie, nie zmieniaj tematu. Już nawet nie pamiętam, kiedy zrobiłaś coś całkiem spontanicznie. No dobra, daj... - Wyciągnął do niej rękę i uśmiechnął się szeroko.

- Wcale nie byłam spontaniczna. Trzeba jeść, nie chciałam umrzeć z głodu.

- Nie tłumacz się, spontaniczność to wcale nie jest jakaś paskudna choroba. Miałabyś dużo więcej radości z życia, gdybyś co jakiś czas pozwoliła sobie na odrobinę luzu.

Cody obrał pomarańczę, rozdzielił ją na kawałki i jeden wepchnął sobie do ust.

- Wcale nie uważam, że spontaniczność jest chorobą. - Wpatrywała się w swoją kanapkę. Nie mogła teraz patrzeć na Cody'ego.

- To bardzo ważna dla mnie informacja, bo muszę wiedzieć, czy nadal jesteś przewidywalna, kochanie.

Wcale nie była głodna. Zawinęła z powrotem

124 *Mallory Kane*

kanapkę i już miała ją wsadzić do lodówki, kiedy znowu odezwał się Cody:

- Daj, jeżeli już nie chcesz, nakarmimy ryby.
- Wyciągnął w jej stronę rękę. - O, mogę użyć szynki jako przynęty. Podała mu ją bez słowa, a on wyjął szynkę, a resztę wyrzucił za burtę.
- Mogłam ją zjeść później...
- Możesz wziąć następną.

Chciała go jakoś przywołać do porządku, ale kompletnie ją zignorował. Ponownie zarzucił wędkę. Powoli skończył pomarańczę i wytarł palce o spodenki.

- Zastanawiam się często, dlaczego poczucie, że wszystko masz pod kontrolą, jest dla ciebie takie ważne.

Dana czuła się coraz bardziej nieswojo. Ta ławeczka w łodzi była naprawdę diabelnie twarda i bardzo niewygodna.

- Powinnam była włożyć dzinsy - mruknęła.
- Zapytałem cię o coś, odpowiedz mi.
- Żadna rewelacja. Po prostu nie lubię niespodzianek, to wszystko. Więc proszę, nie zaskakuj mnie ciągle czymś nowym.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Już mi to kiedyś mówiłaś, ale wciąż tego nie rozumiem. Powiedz, co złego jest w niespodziankach? Przecież są fajne! Dlaczego musisz wszystko kalkulować, planować, wpisywać w kalendarz? Nie lepiej zdać się na los i dobrze się bawić? Oczywiście nie zawsze i nie wszędzie...

Bez skrupułów 125

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. Zdała sobie sprawę, że jest bardzo wiele rzeczy, których Cody o niej nie wie. A były także i te, o których nie chciała, żeby wiedział. To wyłącznie jej wina, bo nigdy o sobie nie mówiła. Jakby się obawiała, że ktoś, kto pozna jej słabe punkty, potem ją zrani. Nosila więc maskę ochronną. W zasadzie dobrze sobie z tym radziła, zawsze znalazła jakiś wykręt, wymówkę lub zmieniała temat. - Odpowiem ci pytaniem na pytanie - rzekła po namyśle. - A dlaczego dla ciebie ważniejsze jest łapanie jakichś zbirów niż chronienie samego siebie?

- O czym ty mówisz? Przecież dbam o swoje bezpieczeństwo... - Spojrzał na nią zdziwiony. - Gdybym nie był ostrożny, dawno bym już nie żył.

- Kiepski żart. - Skrzywiła się. - Gdyby ci naprawdę zależało na ludziach, nie narażałbyś się na takie niebezpieczeństwa.

- Kochana, aż tak bardzo nie zależy mi na ludziach...

Wiedziała, że zrozumiał, o co jej chodziło. Znowu przemilczała tę najważniejszą część. Powinna była powiedzieć: „Gdyby ci zależało na mnie”.

- Mam ich chronić, a nie kochać. I jeśli to mnie naraża na niebezpieczeństwo, no cóż, taka jest moja praca. - Wzruszył ramionami. - Dobrze wiedziałem, co mnie czeka, i nie mogę do nikogo mieć pretensji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Uniosła się, wsparta łokciami o jego boski tors. Boże, jak trudno było jej oderwać usta od jego rozpalonych warg. Odrzuciła głowę i głęboko westchnęła. Pozwolił, by na moment się wycofała, ale tylko na kilka centymetrów. Cały czas trzymał ją mocno w ramionach, dając Danie do zrozumienia, jak bardzo jest bezsilna, i że gdyby tylko chciał, mógłby ją znowu pocałować.

- Kochanie - szepnął - odpręż się. W obrębie kilku kilometrów nie ma żywej duszy. Jesteśmy tylko my i aligatory. - Na jego twarzy malował się słodki uśmiech.

Chciała mu go odwzajemnić, ale w jej głowie wciąż dudnił ten podstępny głos: „Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo”.

Bez skrupułów 127

- Proszę, przestań... - Była rozdrażniona. Wiedziała, że ciało ją zdradziło. Pragnęła Cody'ego ponad wszystko.

Wyczuł to, dlatego przyciągnął ją jeszcze bliżej. Czowała jego gorący oddech na swojej twarzy. Wiedziała, że żadna siła go nie powstrzyma.

- Kochanie, dlaczego nie? Nie możemy żyć normalnie, jak inni ludzie? - Delikatnie dotknął wargami jej ucha.

Normalnie, jak inni ludzie, pomyślała z goryczą, lecz nie stłumiło to jej pożądania.

- Po prostu żyjmy - szeptał rozogniony - żyjmy... - Jego ręce i usta nie dawały za wygraną.

Nie mogła dłużej się opierać. Czowała, jak pod jej dłońmi ciało Cody'ego zaczyna się prężyć i falować.

- To zły pomysł - szepnęła półprzytomnie, ale nie starczyło jej sił, by odepchnąć byłego męża, wstać i wyjść.

Drżała, oczekując tego, co nieuchronne. Czowała dłonie Cody'ego, pochłaniał ją całym sobą. Nie chciała się bronić. A jednak gdy jego ręka zsunęła się wzdłuż jej brzucha, ogarnęła ją panika. Próbowwała się uwolnić z jego uścisku, lecz on spojrzał jej w oczy i szepnął:

- Przecież jest nam ze sobą tak cudownie. Odpręż się, zapomnij, że musisz walczyć, przecież jest ci dobrze.

- Tak, ale... - Zacisnęła powieki i, jakby wbrew swej woli, odepchnęła go. Boże dlaczego to zrobiła? Przecież dałaby wszystko, żeby pieścił ją i całował bez końca. Lecz co będzie potem? Płacz i rozpacz,

128 Mallory Kane

jak kiedyś... Nie, za nic nie chciała przeżywać tego raz jeszcze. - Przestań, przestań, Cody - powiedziała szorstko. Lata rozczarowań nauczyły ją, że nie należy kierować się uczuciami. - O czym ty mówisz? Mam się odprężyć, zapomnieć, co się dzieje? Najpierw pomyśl, zanim coś powiesz! Przecież ten maniak może już tu się skrada. A tobie w głowie tylko...

Cody wypuścił ją wreszcie z uścisku. - - Przepraszam, pani mecenas, zagalopowałem się trochę. - Przesesał palcami włosy i przysiadł na rufie łodzi. - Na chwilę się zapomniałem, a to nie jest wskazane, wiem. Przez moment miałem wrażenie, że wróciły dawne czasy...

- Nie rób mi tego, Cody... - Nie pozwól mu się zranić, upominała samą siebie.

Schyliła się niby to w poszukiwaniu swoich sandałów, ale zdążył zauważyć, że jej oczy wypełniły się łzami.

- Już nie jestem tą samą osobą, którą byłem kiedyś. Bardzo się mylisz - powiedziała po chwili.

- To zadziwiające, bo mógłbym przysiąc, że to moja żona. Do złudzenia mi ją przypominasz. Twoje reakcje na dotyk moich rąk też są zadziwiająco podobne. - Uniósł jej brodę, lecz odwróciła wzrok, nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- To wcale nie jest śmieszne. - Odtrąciła jego dłoń. Ratowała się poszukiwaniem sandałów, które jak na złość chyba wyparowały.

- Kochanie...

Poczuła na policzku jego dłoń.

Podniosła wzrok na tyle, że dostrzegła twarz

Bez skrupułów 129

Cody'ego. Malował się na niej ból. Zraniły go jej słowa. No cóż, wiedziała, że jest w tym dobra. Mogłaby siebie za to znienawidzić. A przecież kochała Cody'ego mimo wszystko. Tak, bała się i tych uczuć, i grożącego im niebezpieczeństwa. Ale co z tego? Może jednak powinna spróbować?

Zapomniawszy, że łódź dawno już odbiła od brzegu, wstała i chciała wysiąść. O mały włos nie wpadła do wody, uratowała ją tylko przytomność umysłu Cody'ego. W ostatniej chwili schwycił ją za rękę.

- Dana, co ty wyprawiasz? Siadaj! Jak na kobietę, która twierdzi, że wszystko skrupulatnie planuje, to dość nietypowe zagranie, sama przyznasz?

- Trzeba było nie odpływać od brzegu. Skąd miałam niby wiedzieć?

- Ja? Ja nic nie zrobiłem, to ty ją odcumowałaś.

- Chyba żartujesz! Nawet nie dotykałam liny. Ta gra była nie fair. Oboje dobrze wiedzieli, jak

do tego doszło. Tak bardzo byli pochłonięci sobą, że nie zauważyli, kiedy łódka zaczęła oddalać się od brzegu. Ale żadne z nich nie chciało się do tego przyznać.

Kiedy zdała sobie sprawę, że mało brakowało, a kochaliby się w biały dzień na środku jeziora, ogarnęła ją fala gorąca. Gdy spojrzała na Gody'ego, zrozumiała, że myśli o tym samym.

- Co? - wyrwało się jej i natychmiast miała ochotę odgryźć sobie język.

- Nic... - Wpatrywał się w nią tymi swoimi niebieskimi oczami.

130 *Mallory Kane*

- W tej chwili przestań patrzeć na mnie w ten sposób. - Poprawiła kostium, upewniając się, czy wszystko jest w porządku.
 - No i co teraz?
 - Teraz popłyniemy do brzegu - stwierdziła sucho.
 - Chodzi mi o to, co było przed chwilą. I co z tym zrobimy.
 - No właśnie, co z tym zrobimy? - Spojrzała na niego spod oka. - Fontenot jest na wolności i poluje na nas, a ty się wyłączyłeś. - Odchrząknęła nerwowo.
 - Wyłączyłeś się, Cody...
 - A ty może nie?
 - No, może i tak. - Poczowała, jak się czerwieni.
 - Ale nie myśl sobie, że rhi na tobie zależy...
 - skłamała. - A w ogóle to przestań, Cody...
 - Co mam przestać? Mam nie zadawać ci niewygodnych pytań? Mam nie mówić o nas, choć nie potrafię sobie z tym poradzić? A może mam nie oddychać?
 - Czy mógłbyś wysadzić mnie na brzeg?
 - I co, i zostawić cię w spokoju? - Zaczął nerwowo wiosłować w stronę przystani.
- Gdy tylko czoło łodzi dotknęło piasku, Dana wyskoczyła i pobiegła do domu. Przeraziło ją to zajście. Nie rozumiała, jakim cudem po tak wielu latach od rozstania jeden pocałunek Cody'ego mógł wywołać w niej to całe zamieszanie. Jeszcze trochę i w ogóle by się zapomniała. Czyżby postradała rozum? A przecież świetnie wiedziała, czym to pachnie... Znowu przez długie miesiące musiałyby się z niego leczyć. Skąd miała wziąć na to siły?

Bez skrupułów 131

Cody zaklął pod nosem, wyskoczył z łodzi i ze złością cisnął wiosło na piach. Boże, jakim był głupcem. Tak tracić głowę dla byłej żony! Już słyszał, co powiedzą jego koledzy... Wystarczy przecież jeden rzut oka, by wiedzieć, że zupełnie się nie zmieniła. O rany, dlaczego go tak pociągała? Trzymać ją w ramionach, całować, patrzeć jej w oczy... Czuł się tak, jakby po latach wrócił do domu.

Na litość Boską, za nic nie chciał przeżywać tego jeszcze raz. Poza tym zachowywał się nieprofesjonalnie. Był tu tylko i wyłącznie po to, by chronić Danę. Jak jednak miał to robić, gdy miotła nim burza uczuć? W żadnym wypadku nie powinien tu zostać. Znajdzie kogoś na swoje miejsce, a sam zajmie się schwytaniem Fontenota. Mimo że ten szaleniec jest prawdziwym diabłem wcielonym, tak będzie bezpieczniej zarówno dla Dany, jak i dla Cody'ego.

Doszedł do pomostu, który dawno temu wybudował dziadek Dany. Rozejrzał się, ale nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy. Przykląkł na brzegu i sięgnął do wody po metalowy koszyk. Już po ciężarze domyślił się, że jest pełen, a gdy wyciągnął go na powierzchnię z zadowoleniem stwierdził, że kłębi się w nim sporo raków i kilka krabów. Nie było jednak żadnej ryby. Uśmiechnął się na myśl o tym, co powiedziała Dana o jego przynęcie na ryby. Faktycznie żadna nie dała się na nią złapać. Szkoda, że nie mają szampana... jak wtedy, podczas miodowego miesiąca, który spędzili właśnie tu, w tym domku. Niemal co wieczór jedli na kolację raki

132 *Mallory Kane*

i popijali szampana, a potem... potem kochali się do utraty tchu. Poczuł, jak przeszywa go ból. Nie powinien był tu przyjeżdżać. Tyle czasu zabrało mu, nim pogodził się z rozwodem... Pomylił się co do własnych uczuć. Sądził, że już się wyleczył z Dany. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Zaczęło padać. Cody skulił ramiona i ruszył w stronę domu. Postanowił, że jeszcze dzisiaj zadzwoni do kapitana i zajmie się wreszcie tym, czym powinien. Skoro Fontenot wyszedł z więzienia, należy ponownie go zapuszkować, a jest to zadanie dla detektywa Maxwella. Siedział tu beczynnie i do głowy przychodziły mu same głupie rzeczy. Musiał jeszcze tylko przetrwać tę ostatnią noc.

Wszedł do domu, gdy Dana rozpałała w kominku. Zachwycił go ten widok.

- Nadciąga burza - powiedziała, spoglądając w jego kierunku.

- Już leje. Mam mnóstwo raków i kilka krabów. Wstała i otrzepała ubranie. Jej włosy były jeszcze

wilgotne, bo niedawno brała prysznic. Bez makijażu wyglądała jeszcze ładniej, jak przed laty: młoda, niewinna, trochę zawstydzona.

- Wspaniale.

Cody włożył koszyk do zlewu i puścił zimną wodę.

- Pamiętasz, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy, poszliśmy do tego dziadka, który mieszkał za wzgórzem, żeby pożyczyć jakieś przyprawy do raków... - Już miał się ugryźć w język, ale gdy zerknął na

Bez skrupułów 133

Danę, zobaczył, jak uśmiecha się pod nosem. Zrobiło mu się ciepło wokół serca.

- Pamiętam nawet, co nam odpowiedział. - Spojrzała na niego rozbawiona. - „Wydaje mi się, że nie potrzebujecie żadnych przypraw, i tak jesteście niezłą mieszanką wybuchową”. - Urwała nagle. Po chwili, rozglądając się po kuchni, zapytała: - Ciekawe, gdzie jest ten duży garnek?

Cody dobrze wiedział, co czuła. Nic dziwnego, że szybko zmieniła temat. W powietrzu aż iskrzyło od nierozładowanych emocji, tak jak podczas letniej burzy. Czy potrafią zachować dystans choćby podczas tej jednej, jedynej nocy?

Dana znalazła wreszcie garnek, a zaraz potem z okrzykiem radości odwróciła się do Cody'ego:

- Spójrz, zdarzył się cud! Stara puszka z przyprawami!

- Świetnie. - Ustawił na kuchence garnek z wodą. - Zamierzam zadzwonić do kapitana i poprosić, żeby ktoś mnie zmienił. Muszę wracać do Nowego Orleanu.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Chcesz wrócić do Nowego Orleanu? Rewelacyjny pomysł - rzuciła z sarkazmem.

- A co w tym złego? Sądziłem, że się ucieszysz, kiedy zniknę ci z oczu.

Podparła się dłońmi pod boki i wycodziła:

- A żebyś wiedział!

- Więc w czym problem?

- Nie ma żadnego problemu - rzuciła przez zęby, odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

134 Mallory Kane

Nie rozumiał, o co jej chodzi. Wyglądało na to, że czego by nie zrobił, i tak będzie źle. Skąd on to zna? Tak, wyjechać stąd i już więcej nie myśleć, wyjechać stąd jak najprędzej. Za dużo wspomnień z czasów, kiedy wszystko było proste, piękne i radosne. Dla Dany też byłoby lepiej, gdyby opuściła to miejsce i przeniosła się na jakiś czas do innego miasta, ale wydawało mu się to zbyt ryzykowne. Boże, kiedy byli młodzi, życie wydawało się mało skomplikowane, takie oczywiste i proste.

Otrząsnął się, gdy woda w garnku zaczęła wrzeć. Zaczepnął garść przyprawy z puszki i wrzucił ją do środka.

Dana siedziała skulona przed kominkiem i wsłuchiwała się w krople deszcz uderzające rytmicznie w metalowy dach. Zadrżała na myśl o chłodzie panującym na zewnątrz. A więc Cody zamierzał wrócić do Nowego Orleanu... Dreszcze nie ustawały. Nie chciał z nią zostać... Jak zwykle musiał pędzić tam, gdzie było niebezpiecznie, gdzie coś się działo, gdzie byli jacyś bandyci, których należało schwytać. Co za pyszna zabawa... Czuła jak wypełnia ją wściekłość i żal. Sięgnęła po kilka polan i zaczęła jedno po drugim ciskać do kominka.

- Uważaj, nie wrzucaj tyle naraz, chyba że chcesz nas upiec.

- Nie ma sprawy, najlepiej zrób to sam, przecież jesteś najlepszy...

- O co znowu chodzi?

- O nic nie chodzi, po prostu w ogóle się nie zmieniłeś, nic a nic! Nawet na krztynę! - Usiadła na

Bez skrupułów 135

sofie, podkurczyła nogi i objęła je ramionami. - Jesteśmy tutaj bezpieczni od wszystkich szaleńców tego świata, ale ty nie możesz tego znieść.

Musisz wrócić do Nowego Orleanu i rzucić się w wir obłądnej pogoni za jakimś wariatem. - Boże, jaki on jest potwornie chudy, nawet przez koszulę sterczały mu żebra. Tyle razy czuła je, kiedy leżeli przytuleni do siebie. Odwróciła wzrok. Musi wreszcie się pozbyć tych wspomnień.

- Czyżbyś naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zły jest ten człowiek!? Pozwól sobie coś wytłuma...

- Znowu chcesz mnie pouczać? - sarknęła ze złością.

- Nie pouczam, ale tak się składa, że mam największe szanse, by pokonać Fontenota!

- Jasne, tylko ty - syknęła. - Cała amerykańska policja to są głupcy i partacze, za to Cody Maxwell...

- Jezu, Dana... Posłuchaj mnie choć przez chwilę. Kiedy ściga się drobnego złodziejaska, a nawet zawodowego kasiarza, który przypadkiem kogoś zabił podczas włamania, to jest to rutyna i gdy nie ma jakichś nadzwyczajnych okoliczności, nie ma znaczenia, kto prowadzi śledztwo, bo w każdym przypadku przebiegnie ono podobnie. Procedury, rutyna, wyniki badań laboratoryjnych, informacje od tajnych informatorów...

- Dzięki za wykład - rzuciła zgryźliwie.

- Chwileczkę... Gdy jednak ma się do czynienia z kimś takim jak Fontenot, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Dochodzi specyficzny aspekt

136 Mallory Kane

psychologiczny. Między mną a Fontenotem wytworzyła się specyficzna więź.

- Więż? Jaka więź? - Mimo że pytała, wiedziała już, co Cody chce jej przekazać.

- Tak, więź. Dlatego właśnie mam największe szanse, by go pokonać. Jestem pewien, że Fontenot przewiduje moje ruchy i reakcje, a ja wczuwam się w tok jego myślenia. Rozumiem, jakie informacje chce mi przekazać poprzez swoje pokrętne sztuczki. Wiesz, co oznaczał twój kolczyk w moim aucie?

Tylko skinęła głową. Cody obnażał przed nią prawdę, którą-dotąd odpychała od siebie, by nie oszaleć z przerażenia.

- Powiedział mi: „Mogę dorwać twoją żonę, kiedy tylko zechcę. Wiem, gdzie mieszka, znam jej rozkład dnia. I zawsze mogę złożyć jej wizytę”.

- Intensywnie wpatrywał się w Danę. - Czy wiesz, co czułem, kiedy zobaczyłem ten kolczyk?

Nadal milcząc, przytaknęła. Strach zaciskał jej krtań.

- Nigdy dotąd nie byłem tak przerażony. Wyobraziłem sobie, co mógłby z tobą zrobić. Wziął kolczyk, ale przecież równie dobrze mógłby wziąć ciebie! - Głos mu się załamał.

- Cody, nic już nie mów, proszę. Boję się.

- Powinnaś się bać, bo to żądny krwi szaleniec, a przy tym wyjątkowo sprawny i perfidny umysł. Też się boję, Dana. Bardzo się boję. -

Zdesperowany przeczesał palcami włosy. - I co, uważasz, że powinienem siedzieć tu i czekać, aż cię dopadnie? Kto mi zagwarantuje, że będę w stanie zawsze cię

Bez skrupułów 137

ochronić? Co mam zrobić? Powiedz, co twoim zdaniem mam zrobić? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to żeby ją mocno do siebie przytulił, a potem kochał się z nią. I już nigdy więcej jej nie zranił. Oraz by obiecał, że nic złego im się już nigdy nie przytrafi. I żeby chronił ją i kochał...

Ale nie mogła mu tego powiedzieć, bo już na zawsze straciłaby kontrolę nad swoimi uczuciami, no i Cody dowiedziałby się, jak bardzo go zawsze potrzebowała, jak pragnęła... Nie mogła sobie na to pozwolić, zwłaszcza że i tak potrafił czytać w jej myślach. Wstała nagle, pragnąc się gdzieś przed nim ukryć. Ale Cody chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Wszystko w porządku? Wyrwała się i odparła szorstko:

- Oczywiście, chciałam tylko sprawdzić, co z rakami. Pewnie są już gotowe. - Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kuchni, z której rozchodził się smakowity zapach... który niósł tak piękne wspomnienia.

Bezradnie wpatrywała się w wodę bulgoczącą w garnku. Boże, jak ma siedzieć tu z tym facetem i wcinać raki? Taka powtórka z miesiąca miodowego czy co? Jakim cudem mają przetrwać ten wieczór? Raki nieodmiennie kojarzyły się im z upojną nocą... Jak wywabić takie skojarzenia z pamięci?

Stała zatopiona w myślach, kiedy do kuchni wszedł Cody. Gdy ich spojrzenia spotkały się, już wiedziała, że w jego błękitnych oczach odbijają się

138 *Mallory Kane*

jej myśli. Przez moment nie mogła się poruszyć. I wtedy on zrobił krok do przodu, ona krok do tyłu... i czar przysł.

- Wystarczy odlać wodę i możemy siadać do stołu - powiedziała oschle.

Po chwili nadszedł moment, którego oboje obawiali się najbardziej: siedzieli przy stole i jedli raki. Jak dawniej. Ale oprócz tego wszystko było inaczej. Sztywna i zdenerwowana Dana tylko udawała, że je, bo całkiem straciła apetyt, zaś Cody po kilku minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, zaklął pod nosem, wstał i wyszedł.

Uprzątnęła stół, a prawie nieruszoną kolację włożyła do lodówki. Kiedy wróciła do salonu, ogień w kominku wciąż się palił, afe Cody'ego nigdzie nie było.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dana mocniej związała włosy. Wiedziała, że nie może mieć żalu do Cody'ego o dzisiejszy wieczór. Dla nich obojga był trudny do zniesienia. To zadziwiające, jak wiele powodów do kłótni może znaleźć dwoje ludzi, którzy kiedyś się kochali.

Kiedyś? Nadal przyciągała ich do siebie magiczna siła, a pocałunki wydawały się tak naturalne, tak autentyczne jak dawniej. Poczowała, że jej twarz płonie. Wziąwszy pod uwagę, jak krótko byli małżeństwem, to naprawdę zadziwiająca historia.

Weszła do sypialni i przebrała się w nocną koszulę, a potem zawiesiła wzrok na kilku rzeczach należących do Cody'ego. Nieśmiertelna koszulka Akademii Policyjnej leżała na samym wierzchu jego torby. Bez namysłu zrzuciła z siebie nocną koszulę

140 Mallory Kane

i naciągnęła spraną bluzkę na nagie ciało. Dawniej zawsze w niej sypiała... Wśliznęła się pod kołdrę i próbowała zasnąć, była jednak zbyt niespokojna. Gdzie on się włóczy? Przy najmniejszym szeleście unosiła się na łóżku, nasłuchiwała i zastanawiała się, czy to Cody.

W końcu zapaliła lampkę, wstała i poszła do salonu. Po drodze wzięła ze sobą koc. Otuliła się nim i opadła na podłogę przed kominkiem. Ostatnio, kiedy byli tu razem, kochali się właśnie w tym miejscu i na tym kocu.

Westchnęła, chcąc odpędzić natrętne wspomnienia. Nie dawały jednak za wygraną, więc w końcu się poddała i przestała walczyć. Tak, to prawda, zawsze się kłócili, zarazem jednak zawsze się kochali. Wci[^]ż się kochali, na kanapie, na podłodze przed kominkiem, w łazience... Aż wreszcie któraś z szalonych nocy przyniosła najwspanialszy dar: ciążę.

Szczelniej otuliła się kocem. Przyjechali wtedy nad jezioro, żeby wypocząć i uczcić pierwszy rok małżeństwa. Wszystko było w ich życiu w porządku, byli ze sobą szczęśliwi, dopóki Cody nie dostał pierwszego postrzału. Nie wiedziała jeszcze o tym, że w porównaniu z postrzałami, które zdarzą się w przyszłości, ten był zaledwie draśnięciem. Ale wtedy nie miała pojęcia, co tak naprawdę ją czeka. Przeżyła wówczas koszmar przerażenia, lęku o życie Cody'ego, strachu, że go straci. Nigdy wcześniej nie brała tego pod uwagę, aż wreszcie zrozumiała, jak naiwnie wyobrażała sobie pracę męża, mimo że była adwokatem i z policją miała wiele do czynienia.

Przeważył jednak obraz płynący z hollywoodzkich filmów, które z zasady kończą się happy endem.

Kiedy Cody zjawił się z zabandażowaną i ubrudzoną krwią ręką, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczna jest jego praca. A także że ten silny, pewny siebie mężczyzna, jak wszyscy inni ludzie, też jest śmiertelny.

Ogarnęła ją panika, nad którą nie była w stanie zapanować. Jedyne ratunek ujrzała w ucieczce, dlatego zaczęła się wycofywać ze związku, który, o czym była pewna, musi zakończyć się tragicznie. Wtedy też przestała lubić swoją pracę. Nie chciała być już obrońcą z urzędu, bo dotarło do niej, że też nieustannie styka się ze złem, choć przetworzonym w sformalizowane protokoły, notatki służbowe, w ogóle w cały ten biurokratyczny uniform. Również Cody'ego próbowała skłonić, by znalazł sobie jakąś spokojniejszą i bezpieczniejszą pracę.

No i rozpętało się piekło, zaczęły się nieustanne kłótnie i awantury. Ponieważ coraz trudniej było im z tym żyć, przyjechali do domku nad jeziorem, żeby przypomnieć sobie, co ich kiedyś połączyło, dlaczego się pobrali.

Byli wprost nieopisanie podekscytowani, gdy zaszła w ciążę. Cody znowu był dla niej cudowny - czuły i opiekuńczy. Oczekiwanie na dziecko sprawiło im ogromną radość, był to chyba najwspanialszy okres ich małżeństwa. Cody nawet zaczął przebąkiwać o zmianie pracy, ale zamieszał się w tę historię z Fontenotem. I znowu był ranny, tym razem dużo poważniej. Dana wpadła w rozpacz, nie

142 *Mal lory Kane*

potrafiła sobie z tym poradzić. Strata dziecka była ostatnim gwoździem do trumny dla ich związku. Wtedy stało się dla niej jasne, że Cody nigdy się nie zmieni, że zawsze będzie ładował się w samo oko cyklonu, a ona już zawsze będzie umierać ze strachu.

Gdy dotknęła twarzy, ze zdziwieniem poczuła pod palcami łyzy. Boże, jak dawno już nie płakała... Starła się trzymać nawet wtedy, kiedy wydawało się to w ogóle niemożliwe^ Bała się, że jak raz się rozklei, już nigdy nie powróci do normalnego życia. Lecz ku swojemu zaskoczeniu poczuła jakby ulgę. Nie potrafiła wprawdzie powstrzymać potoku łez, ale było jej lżej na duszy. Zrozumiała, że nawet ona nie jest w stanie zawsze wszystkiego kontrolować. Warowne mury, które przez lata wybudowała wokół siebie, zaczęły kruszeć.

Nagle zrozumiała, że Cody stoi za nią. Nie usłyszała, kiedy wszedł, ale poczuła deszcz i wiatr, które wdarły się wraz z nim do pokoju. Usiadł w ciemności i milczał.

Odezwał się, dopiero gdy Dana przestała łkać i wytarła oczy:

- Trochę ci lepiej? - Podszedł do niej i objął czule.

Nie była w stanie go odepchnąć. Pozwoliła sobie na chwilę zapomnienia i z rozkoszą zatopiła się w jego ramionach.

- Nie wiem, co mi się stało... - szepnęła.

- Wreszcie wyrzuciłaś z siebie to, co od lat się w tobie kłębi. Tak jest o wiele prościej... No właśnie, nigdy nie widziałem, jak płaczesz...

Bez skrupułów 143

- Bo nigdy nie płaczę...

Jeszcze mocniej przytulił ją do siebie.

- To niedobrze. Nie ma w tym nic złego. Nie musisz być tak surowa dla siebie. Czasami trzeba trochę odpuścić.

Zesztywniała.

- Odpuścić? - szepnęła. - Mam odpuścić, skoro życie nie odpuszcza? Jest nieprzewidywalne, trzeba być zawsze gotowym, pełnym mobilizacji. Jak można sobie odpuścić?

Roześmiał się i pogłaskał ją po policzku.

- To takie proste... Wyobraź sobie, że leżysz na materacu i dajesz ponieść się morskim falom. Nie ma nic łatwiejszego, po prostu leżysz i nie wykonujesz żadnych ruchów. Rozumiesz? Żadnych, a mimo to posuwasz się naprzód.

- Niby tak, ale nie zawsze można sobie na to pozwolić. Gdybyś tak postępował, nie schwytałbyś żadnego przestępcy.

- Zgadza się, ale to dotyczy pracy. A rozmawiamy o życiu.

- Twoje życie to twoja praca...

- Nieprawda. To ty nigdy nie potrafiłaś rozdzielić tych dwóch rzeczy.

Moja praca polega na wykonaniu zadań, które mi przydzielono, i nie ma to nic wspólnego moim życiem.

- Słucham? Przecież dobrze wiesz, że to nieprawda. Gliniarz to nie zawód, ale sposób na życie.

Zamruczał jak kot i wtulił twarz w jej puszyste włosy.

- To nie tak. Jestem gliną, ale także jestem... nie,

144 Mallory Kane

przepraszam, byłem twoim mężem. A teraz jestem samotnym facetem, który wieczorami wciąż od nowa wspomina dawne czasy. - Nagle spojrzał na nią inaczej i uniósł jej podbródek. - Czy wiesz, że to chyba najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziliśmy?

- Jak możesz tak mówić? - Jednak w głębi serca wiedziała, że Cody ma rację. Wtuliła się w jego wilgotną od deszczu koszulę.

- Zawsze wiedziałem, że jest taka Dana, której nie znam.

- To nieprawda...

- Chciałbym, żeby tak było, ale wiem, że nigdy nie zdobyłem na tyle twego zaufania, byś się przede mną otworzyła.

- Cody... - Próbowwała się wyrwać jego objęć, ale bezskutecznie.

- Już dobrze, daj spokój, po prostu się wyluzuj. Jak wtedy, kiedy się kochaliśmy. Tylko w takich chwilach oddawałaś się w moje ręce i ufałaś mi. Wierz mi, jesteśmy tu bezpieczni, tylko ja i ty. Czy potrafisz mi zaufać?

Dana zadrżała i poczuła, jak serce podchodzi jej do krtani. Czy potrafi mu zaufać, czy potrafi się przed nim otworzyć? Był przecież jedyną osobą na świecie, wobec której miało to sens... Zapragnęła, by dowiedział się o tym, o czym dotąd nikomu nie powiedziała. Dlaczego zawsze się ukrywała, nawet przed nim?

- Co powiedziałbyś, gdybym wyjawiała ci pewien sekret, którego jeszcze nikt nie poznał? To znaczy to nie jest jakiś bardzo duży sekret...

Bez skrupułów 145

- Taki malutki sekrecik?

Zamilkła. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, by się ukryć przed nim i przed całym światem.

- Dana...? Dana...

- Myślisz, że jestem głupia...

- Nie, kochanie, jak mógłbym tak pomyśleć?

- Choćby wtedy, kiedy staram się zaplanować każdą minutę.

- No, może wtedy... - Roześmiał się, lecz zaraz spoważniał. - Nigdy nie chciałaś zbyt wiele o sobie mówić. Zawsze udawało ci się zmienić temat. Najczęściej zaczynałaś mnie całować...

- Odkryłam, że wystarczy jeden pocałunek, byś przestał myśleć o czymkolwiek innym.

- To prawda, nigdy nie potrafiłem ci się oprzeć. Poczula, jak jej ciałem wstrząsnął rozkoszny dreszcz.

- Musisz przyznać, że nieźle dawałam sobie radę.

- Nieźle? - Znowu się roześmiał. - Po prostu fantastycznie!

Nim zdążyła się zastanowić, jej dłoń wylądowała na torsie Cody'ego i poczęła go gładzić. Mruknął przeciągle, a zaraz potem dodał:

- To nie fair... Zwilżyła usta.

- O, przepraszam. Tak mi się jakoś wyrwało...

- Oszustka! - Jego ręka posuwała się delikatnie to w górę, to w dół wzdłuż jej pleców. - No, Dana, powiedz mi w końcu, dlaczego nie możesz się nigdy zapomnieć...

- To chyba przez mojego ojca...

146 Mallory Kane

Ledwie ją usłyszał.

- Przez ojca? Nigdy o nim nie opowiadałaś.

- Bo nigdy go nie było. Znikał na całe miesiące. Mama mówiła, że ma cygańską duszę. - Zamarła na moment, jakby zawstydzona własnymi słowami. - Kiedy podrosłam, to ja stałam się za wszystko i wszystkich odpowiedzialna. Tak przynajmniej twierdził ojciec. Przyjeżdżał na chwilę i znów znikał. Wciąż obiecywał, że wkrótce odmieni swoje życie i na stałe zostanie z nami... - Poczula, że jej oczy wilgotnieją, a kolejne słowa z coraz większym trudem przeciskają się przez krtań.

Mocniej ją przytulił i pogładził po głowie.

- I co?

- Aż wreszcie któregoś razu nie wrócił. - Przed oczami ujrzała twarz swojej matki: przerażoną, zrezygnowaną, zrozpaczoną...

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Myślałem, że twój ojciec nie żyje...

- Bo nie żyje, ale o jego śmierci dowiedziałyśmy się dopiero po roku. Biedna, mała Dana czekająca na ojca, który nigdy nie miał już wrócić do domu.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dwanaście.

- Naprawdę bardzo mi przykro, to musiało być dla ciebie okropne.

- Ufałam mu, bo przedtem zawsze wracał. Obiecywał i wracał do nas. A rym razem zawiódł, złamał obietnicę.

Teraz dopiero stało się dla Cody'ego jasne, dla-

Bez skrupułów 147

czego tak bardzo nienawidziła na niego czekać wieczorami.

- Dana... - Cóż mógł powiedzieć więcej? Czy w ogóle istniały odpowiednie słowa dla tej sytuacji? Schylił głowę i delikatnie dotknął jej ust.

Na zewnątrz rozszalała się burza. Raz po raz niebo przeszywały błyskawice, a powietrze rozdzierał potężny huk. Ciężkie krople deszczu z łoskotem roztrzaskiwały się o blaszany dach i łącząc się w szerokie strugi, spływały na ziemię.

Lecz oni nie słyszeli ani huku, ani bębniącego o dach deszczu. Ich pocałunki stawały się coraz bardziej płomiennie i coraz gorętsze. Zatracali się pomiędzy niebem i ziemią, które zdawały się staczać między sobą najważniejszą bitwę.

- Nie odejdę od ciebie - szeptał rozogniony - nie odejdę, chyba że będziesz tego chciała, że tego zażadasz.

Jego ręce i usta były zawłaszczające, wszechobecne. Wiedziała, że to jeszcze jeden błąd, że to być może największy błąd jej życia, ale nie chciała się bronić ani myśleć o tym, co wydarzy się jutro. Pragnęła zapomnienia.

- Powiedz, że tego pragniesz - szepnął Cody. - I przyrzeknij mi, że nie wycofasz się w ostatniej chwili, bo jeśli tak, to lepiej zrób to teraz.

Spuściła głowę, ale uniósł ją, obejmując twarz Dany.

- Przysięgnij - zażądał.

- Nie wycofam się... - szepnęła cicho.

- Dana, kochanie... Dana, moja jedyna... Tak cudownie pachniesz różami. Uwielbiam ten zapach.

148 *Mallory Kane*

Całe jej ciało wypełniło nieopisane ciepło. Wiedziała już, że przez te wszystkie lata tęskniła do tej chwili, kiedy będą znowu razem. Tak bardzo go potrzebowała, tylko przy nim czuła się bezpieczna, silna i spełniona. Boże, dlaczego tak długo się ociągała...

Zrzucali z siebie ubrania. Kiedy była już naga, szepnął:

- Jesteś piękna jak zawsze... - Wprost pożerał ją wzrokiem.

- Kochaj mnie - szepnęła gorąco. - Kochaj mnie... - Z całych sił przywarła do niego.

Po dłuższym czasie, kiedy wreszcie umilkł już ich szalony miłosny taniec, Cody uniósł głowę i spojrzał Danie prosto w oczy. Jego wzrok przepelniony był czułością.

- To cudowne, czuć cię znowu tak blisko - wyszeptał namiętnie i pocałował ją raz jeszcze.

Nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzi, kiedy skończy się ta historia; ze swoim lękiem i obawami, z życiem codziennym... Ale nie chciała teraz o tym myśleć. Udało jej się zapomnieć, nie miała ochoty wracać do rzeczywistości. Pragnęła... żyć chwilą...

- Żyć chwilą - wyrwało jej się mimowiednie.

- Co powiedziałaś?

- Nic... - Przyciągnęła do siebie jego twarz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dana obudziła się w środku nocy zlana potem. Nie pamiętała nawet, czy coś złego jej się śniło. Jedno było pewne, że bardzo chciało jej się pić. Cody spał spokojnie koło niej. W świetle płomieni migocących w kominku wyglądał wprost fascynująco. Pełne, zmysłowe usta zdawały się Danie bardziej ponętne niż kiedykolwiek, a duży nos i szerokie brwi szalenie męskie. Przez moment miała wrażenie, że Cody patrzy na nią tymi swoimi uwodzicielskimi, błękitnymi oczami, które zwykle przyprawiały ją o zawrót głowy. Chciała dotknąć jego ust, ale się powstrzymała, by go nie zbudzić. Cicho wyśliznęła się spod koca. Jej nagie ciało pokryła natychmiast gęsia skórka, więc naciągnęła

150 Mallory Kane

na siebie koszulkę. Poszła do kuchni, gdzie napiła się wody.

Wyjrzała przez okno. Burza minęła, przez uchylone okno wlatywało cudownie czyste powietrze. Otworzyła drzwi i wychyliła głowę na zewnątrz. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Umilkły nawet, zwykle tak hałaśliwe, chóry żab. Przeciągnęła się i zaczerpnęła kilka razy do płuc czystego, nocnego powietrza. Skrzyżowała ramiona i otuliła się nimi, próbując chronić się przed chłodem.

I wtedy poczuła na szyi jego gorące usta, które przypomniały jej o niedawnych upojnych chwilach. Przebiegł jej po plecach słodki, rozkoszny dreszcz.

Go będzie, kiedy nastanie dzień i wróci do realnego życia? Jak poradzi sobie ze złymi myślami, gdy odjedzie Gody, żeby być może już nigdy do niej nie powrócić? I znowu pojawi się koszmar oczekiwania, przerażenie i mur... za którym ukrywała się przez tyle lat. Boże, naprawdę nie chciała tego wszystkiego przywoływać, ale myśli były tak natrętne, że nie potrafiła ich odepchnąć. Pragnęła udawać, że czas się cofnął, że są tuż po ślubie i bardzo się kochają. Pragnęła wtulić się w tors Cody'ego, by znaleźć spokój i ukojenie. Mogłaby przecież zajść w ciążę, a on mógłby znaleźć pracę, w której nie narażałby bezustannie swego życia. Mogłoby być tak pięknie...

Dlaczego życie musi być skomplikowane? Dlaczego właśnie ona musiała swe losy związać z gliną, ona, która nie potrafiła zaakceptować tej ciągłej niepewności? Przecież wiele kobiet było w podobnej sytuacji... Ukryła twarz w dłoniach.

Bez skrupułów 151

- Kochanie, co się dzieje? Mam za zadanie cię chronić, a oto stoisz tu sama pośród nocy, jakby nie istniało najmniejsze zagrożenie.

Odwróciła się i zatępnęła w jego ramionach. Tak, w nich czuła się najbezpieczniej w świecie, nie powinna była nigdy ich opuszczać.

- Dzisiejszej nocy nie ma żadnych zagrożeń

- szepnęła.

- To nie jest dobry moment na spontaniczność

- powiedział nieco oschle. - Czyżbyś wciąż nie rozumiała, czym to pachnie? Nie teraz, Dana, kiedy jakiś szalenciec dybie na twoje życie.

- Dzięki, że mnie sprowadzasz na ziemię - odgryzła się, po czym odwróciła się i weszła do środka.

- No i kto tutaj psuje nastrój? - rzuciła ze zjadliwym uśmiechem.

Cody pokręcił głową.

- Zaraz, zaraz, przecież tylko próbuję cię chronić. Nie ma powodu, żebyś się na mnie obrażała. - Odgarnął jej za ucho włosy i cmoknął czule w policzek.

- Lepiej wracajmy do domu i oddajmy się innym szaleństwom.

Zadrżała, widząc jego diabelski uśmieszek. Cody zatrzasnął drzwi i już trzymał Danę w objęciach, lekko unosząc do góry. Skorzystała z okazji i zaplotła nogi wokół jego talii. Ani na chwilę nie przestawał jej całować, a jego spragnione ręce nieustannie gładziły jej zgrabne pośladki. Gdy znaleźli się w sypialni, rzucił Danę na łóżko, by zaraz przygnieść ją ciężarem swego ciała. Jego usta nie mogły nasycić się jej słodyczą. Już od dawna pragnął czuć ją tak blisko.

152 Mallory Kane

Nie, nie musiał się spieszyć, mieli dużo czasu. Rozkoszował się każdym szczegółem tej cudownej sceny, jedwabistą skórą Dany, długimi, ponętnymi nogami, które raz po raz zaplatały się wokół jego ciała. Czuł, jak zaciska dłonie na jego ramionach, czuł jej paznokcie na karku i przyspieszony oddech na swojej twarzy. Rozkoszował się każdą pieczęcią, każdym pocałunkiem, aż wreszcie ich ciała połączyły się, by rozpocząć ekstatyczny, miłosny taniec.

- Nierozsądnie, bardzo nierozsądnie, panie Maxwell - mruknął Fontenot, przyglądając się, jak dwie postaci, rzucając cień na nieoznakowany samochód policyjny, znikają za drzwiami domku. - Chciałeś mnie pokonać, a tu proszę, taki brak rozwagi. - Uśmiechnął się szyderczo. Na to właśnie liczył: kochankowie po latach rozłąki odnajdują swoją miłość i zapominają o całym świecie. Był z siebie bardzo zadowolony. Przewidział to i znów się nie pomylił. Te cztery lata w niczym nie zmieniły tych dwojga ani nie osłabiły ich uczuć. Chętnie podzieliliby się tą prawdą z całym światem, chętnie wybuchnąłby gromkim śmiechem, ale był roztropny, bardzo roztropny. W odróżnieniu od Maxwella. Bezszelestnie, bacząc jak zwykle na wszelkie szczegóły, otworzył zamek samochodu i wyciągnął ze środka kalendarz Dany Maxwell, który tam nierozważnie zostawiła. Powoli go przekartkował, lecz przy dzisiejszej dacie nie znalazł nic. Cofnął się więc o kilka kartek i zaczął czytać zapiski.

Bez skrupułów 153

Piątek. Kupić niezdrowe żarcie, dobrą książkę i spędzić samotny weekend w domku nad jeziorem. Czytać i jeść.

- Szkoda, że tak właśnie się nie stało, droga pani Maxwell, wielka szkoda - mruknął, po czym wyrwał kartkę i odłożył kalendarz z powrotem na siedzenie. Dokładnie tam, gdzie leżał poprzednio. Zamknął samochód i zablokował drzwi.

Tam, wśród nocnej ciszy i ciemności, leżeli koło siebie kochankowie.

- No cóż, moi mili, rozkoszujcie się każdą chwilą, która została wam dana, albowiem już wkrótce spotka was niespodzianka. - Zachichotał.

Dana weszła pod prysznic. Była rozdrażniona. Bała się tego dnia, bała się rzeczywistości. Chwilami miała ochotę cofnąć czas i wymazać tę noc ze swojego życia! Wówczas nie musiałyby na nowo uczyć się żyć bez Cody'ego. Skierowała na siebie gorący, silny strumień, jakby liczyła na to, że spłucze wszelkie wspomnienia. Oparła się dłonią o ścianę i wsunęła głowę pod prysznic. Chciała w ten sposób przepędzić natrętne, a zarazem rozkoszne wspomnienia i nękające ją myśli.

Jak mogła liczyć na to, że coś się zmieni! Znowu pozwoliła się zaczarować. Czyżby zapomniała, czym to się musi skończyć? Chodziło przecież o pracę Cody'ego. Pracę, która pochłaniała każdą godzinę jego życia i wciąż narażała go na śmierć; pracę bohatera, który obsesyjnie zbawia świat od zła, a gdy znajdzie chwilę wolnego, szuka ukojenia w ramionach wybranej kobiety.

154 Mallory Kane

Zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik. Cóż, tacy herosi nie mają czasu dla rodziny. Wiedziała, że Cody ją kocha. I ona go kochała, a ta noc udowodniła, że nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nie kochał jej jednak na tyle, by zrezygnować z tego swojego przeklętego powołania... A jednak cudownie było się znowu z nim kochać.

Wytarła włosy i rozczesała je. Spojrzała w lustro i ku swojemu zdziwieniu zamiast spiętej i schowanej w sobie Dany Maxwell, zobaczyła szczęśliwą, rozpromienioną kobietę. Jej oczy lśniły niezwykle blaskiem, na twarzy malowały się odprężenie i satysfakcja, a lekko obrzmiałe, zaróżowione usta znów pragnęły pocałunku.

Zmieszała się nieco. A więc jednak było to widoczne i wymierzalne. Zerknęła raz jeszcze. Nieźle... Gdyby tylko mogła, z chęcią ugasiłaby ogniki w swoich oczach. Za chwilę będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Codym, z facetem, od którego przez cztery lata usiłowała się bezskutecznie uwolnić, a on natychmiast zauważy każdą, choćby najdrobniejszą zmianę na jej twarzy. Co gorsza, wiedziała, że na nic się nie zdadzą żadne ściany, mury czy fasady, bo nawet te najpotężniejsze Cody rozbijał w ciągu krótkiej chwili.

Była głupia, po prostu głupia! Jak mogła skazać się na tę udrękę, przecież dobrze знаła zakończenie tej historii, już nieraz to przerabiała. Nigdy więcej do tego nie dopuści, nigdy, przenigdy...

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi łazienki. Niemal zderzyła się z Codym. Trzymał w ręku

Bez skrupułów 155

kubek z kawą i po swojemu diabelsko uśmiechał się do niej.

- Dzień dobry, kochanie. - Postąpił krok w jej kierunku, żeby ją pocałować.

- Jak się masz? - Wyjęła mu z ręki kubek, zgrabnie unikając pocałunku. - Czy nie miałeś przypadkiem zamiaru dziś wyjechać?

- Czuję się świetnie, dzięki za zainteresowanie - odparł nieco szorstko, wyczuwając, że coś jest nie tak. - Kochanie - podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie - muszę wracać do Nowego Orleanu, nie mogę siedzieć tu beczynnienie, kiedy chłopcy robią wszystko, by przyskrzynić tego szaleńca.

- Jak to beczynnienie... - Więc to było nic? Próbowала się pozbierać, co na szczęście okazało się prostsze niż przewidywała. - Może byś się ubrał, bo chyba nie zamierzasz ruszyć w drogę w tych bokserkach - zakończyła oschle.

Przyparł ją do ściany, delikatnie gładząc dłonią szyję i pieszcząc wargami płatek ucha. To zawsze na nią działało.

Szukała w głowie słów i argumentów, które mogłyby go zatrzymać, ale wiedziała, że takie nie istnieją.

- Jeśli masz jechać - powiedziała wreszcie - to lepiej będzie, jeśli już teraz zaczniesz się zbierać.

- Może byłoby lepiej, ale nie mogę. - Nie pozwolił, by mu się wyrwała. - Musimy poczekać na posiłki, a to trochę potrwa.

- Cody, przestań! - krzyknęła.

Odsunął się nieco i przeszył ją badawczym spojrzeniem.

156 *Mallory Kane*

- O co chodzi? Nie wyspałaś się czy co?

- Powinniśmy byli porozmawiać o tym w nocy

- wycedziła przez zęby i ruszyła w stronę kuchni. Usiadła za stołem, który uznała za nieprzekraczalną obronną granicę.

Cody podążył za Daną, a potem, oparłszy się o zlewozmywak, przez przymrużone oczy podejrzliwie na nią spoglądał. Zmieszało ją to.

Zaplotła wokół kubka dłonie i głęboko westchnęła. Tak bardzo pragnęła spokoju, to wszystko zbyt wiele ją kosztowało. Próbowwała nie zwracać na Cody'ego uwagi, ale bez skutku. Miał okropny zwyczaj paradowania po domu na wpół nago i nigdy nie mogła się oprzeć, żeby na niego nie patrzeć. Wprost uwielbiała mu się przyglądać, gdy wykonywał zwykłe czynności. Miał w sobie coś z kota, niezwykłą zwinność, a zarazem zdecydowanie. Jeszcze raz spróbowała oderwać wzrok od jego umięśnionych ramion i skupić się na tym, co zamierzała powiedzieć.

- Wiem, że to wszystko właściwie samo się tak ułożyło, ale... - Zawiesiła głos. - I tak naprawdę nie ma się czemu dziwić. Trudno oczekiwać powściągliwości od dwojga ludzi, którzy kiedyś byli ze sobą szczęśliwi...

- Znowu przerwała i spojrzała w okno.

- No, że chcą przywołać dawne dobre czasy.

- Dawne czasy? Co ty znowu mówisz, do diabła? Dana, o co ci właściwie chodzi? Przestań owijać w bawełnę i powiedz, o co ci chodzi, do jasnej anielki!

- Ta wczorajsza noc to tylko efekt sprzyjających okoliczności. Dwoje ludzi, którzy kiedyś byli mał-

Bez skrupułów 157

żeństwem, nagle znaleźli się w miejscu, z którym wiąże się tyle...

- Wspomnień - dokończył za nią. - Aha, teraz rozumiem, pani mecenas, więc był to zbieg okoliczności... Przykro mi, ale tak nie uważam. Wydaje mi się, że odkryliśmy parę ważnych dla nas rzeczy. Co więcej, uznałem to za dobry punkt, by wszystko zacząć na nowo. Myślałem, że jesteśmy gotowi, żeby spróbować...

- Nie! - Dana odstawiła z impetem kubek. Nie chciała, by wypowiedział te sakramentalne słowa, nie chciała ich usłyszeć. Lecz one, mimo że niewypowiedziane, niepokojącym echem brzmiały jej w uszach. Za nic nie mogła do tego dopuścić, nie była w stanie stanąć twarzą w twarz z możliwością, by mogliby do siebie wrócić. - Nie, Cody - powtórzyła stanowczo. - To zły pomysł.

- O co ci chodzi? Dlaczego uciekasz, choć wiesz, że i tak nie uciekniesz przed czymś, co nieuniknione? Przed naszym... twoim i moim... przeznaczeniem?

Nie mogła spojrzeć mu w twarz. Cody'emu wystarczyłby jeden rzut oka, by dojrzeć w jej oczach strach i żal, które ją przepęniały. Czuła się, jakby za moment miał jej ktoś wyrwać serce. Z nikim nie była dotąd taka szczęśliwa, ale i o nikogo nie bała się tak bardzo.

- To raczej ja powinnam zapytać, o co tobie chodzi! - Zirytował ją tą uwagą, a najbardziej tym, że znowu miał rację. Tak, uciekała przed czymś, co... - Jesteśmy po rozwodzie, Cody! Czy nagle przestało mieć to znaczenie? Nieistotny szczegół, drobiazg?

158 *Mallory Kane*

- Dostrzegła na jego twarzy grymas bólu. Taki sam ból poczuła w swoim sercu.

- Wiem, że jesteśmy po rozwodzie, nie musisz mi o tym przypominać. Też tam wtedy byłem...

- Ale najwyraźniej tylko ciałem - odgryzła się sarkastycznie, lecz natychmiast pożałowała swoich słów. Zdawało jej się, że tym razem znienawidzi samą siebie do końca życia. Dlaczego w takich sytuacjach nie potrafiła milczeć, tylko na oślep raniła Cody'ego za to, co było, jest i będzie, a także za to, co nigdy się nie stanie. Gdyby nie jej upór, nigdy nie doszłoby do rozwodu, Cody nigdy z własnej woli nie rozstałby się z nią. Dobrze o tym wiedziała. - Prawdę mówiąc

- dodała sobie na przekór - milczałeś wtedy jak zaklęty, jakby cię w ogóle to wszystko nie obchodziło.

Spojrzał na nią gorejącym wzrokiem.

- A co miałem zrobić? Byłem bez szans, bo ty byłaś nieugięta!

Zapomniałaś, jak to było? Wróciłem do domu ze szpitala i co zobaczyłem? Że moja ukochana żona śpi w salonie na kanapie. Nie zwracałaś na mnie najmniejszej uwagi, zachowywałaś się, jakbym ci zabił ojca i matkę. Wiem, że straciłaś dziecko, wiem, że cię to bardzo bolało, ale czy to była na pewno moja wina? Gdy tylko się trochę podleczyłem, uciekłaś ode mnie jak od trędowatego. A potem... a potem znalazłem w skrzynce na listy papiery rozwodowe, no i zadzwonił jeszcze twój adwokat i poinformował mnie, że wszelkie sprawy nas dotyczące mam załatwiać za jego pośrednictwem. Nie obchodziło mnie? Dziwię się bardzo, że tak mówisz. Czy mnie to obchodziło? Przecież ozna-

Bez skrupułów 159

czało dla mnie koniec świata, koniec życia! Co w takiej sytuacji miałem powiedzieć?

Dana czuła, jak ogromny ciężar włacza ją w krzesło. Mocno zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie chcę o tym rozmawiać - wyszeptała. - Nie teraz... - Lecz dobrze wiedziała, że znaczyło to „nigdy”. - Przecież mógłbyś ułożyć sobie jakoś życie...

- Ułożyć życie?

- Tak. Myślę, że pora już zamknąć ten rozdział...

- Zamknąć? - Rzucił jej ostre spojrzenie.

- O co ci chodzi?

- Staram się zrozumieć, co mówisz.

- A co w tym jest trudnego do zrozumienia? To wszystko twoja wina! -

Urwała, czując, że znowu brnie w ślepą uliczkę. Odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć mu w twarz, nie chciała widzieć bólu w jego oczach. - Co noc czekałam na ciebie, co noc modliłam się, żeby ci się nic nie stało, umierałam z przerażenia, że nie wrócisz. Nie rozumiesz?!

- Taką mam pracę...

- No właśnie, tyle że wychodząc za ciebie, wychodziłam za człowieka, a nie za pracę - rzuciła zgryźliwie. - Naprawdę nie rozumiesz? To sytuacja bez wyjścia, błędne koło! Ty masz taką pracę, a ja nie jestem w stanie tego znieść! Proste?

- No to świetnie, proszę, nie przeszkadzaj sobie, wiń mnie za wszystko, jeśli łatwiej ci z tym żyć!

- Przestań, to nie fair - powiedziała drżącym głosem.

- Nie fair? A ty zachowujesz się fair? Winisz mnie

160 Mallory Kane

za wszystkie nieszczęścia ostatnich lat i to ma być fair? Ty oczywiście jesteś czysta jak łąka...

Oczy mu pociemniały, twarz sposepniała. Wyglądał przerażająco i groźnie. Patrzyła na niego bezradna, nie mając pojęcia, o co ją obwinia.

- Skrzywdziłam cię? Ja cię skrzywdziłam? - spytała zdumiona.

- Patrzcie, co za niewiniątko... Przecież mnie zostawiłaś! - zagrzemiał.

Poczuła się, jakby przez jej ciało przeszła błyskawica. Uniosła głowę.

Cody stał zwrócony do okna jak zamarły w bólu posąg. Jego mięśnie i żyły były napięte, a dłonie zaciskał z taką siłą, że aż pobielwały mu kostki.

- Zostawiłaś mnie... Półżywy wróciłem ze szpitala, by dowiedzieć się, że dziecko, którego tak bardzo pragnęliśmy, nigdy się nie urodzi, i że moja ukochana żona odchodzi ode mnie. Lepiej, żebyśmy wtedy zdechł... Nie mów mi o bólu, znam go na wylot.

Przez chwilę zdawało się jej, że żalność rozerwie jej serce na strzępy.

Boże, Cody miał rację. Po jego powrocie ze szpitala tak naprawdę nigdy ze sobą nie rozmawiali. Zamknęła się w bólu i odcięła od wszystkiego.

Liczyła się tylko ona i jej ból. Nie zastanawiała się nad tym, jak strasznie rani Co-dy'ego. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była wobec niego okrutna...

- Och, Cody... - Przycisnęła dłonie do piersi, jakby chciała pokonać ten niewyobrażalny ciężar, który nie pozwalał jej oddychać. - Boże, jak mi przykro... - Po jej policzkach potoczyły się gorące

Ben skrupułów 161

łzy. - Wiedziałam, że z dzieckiem jest coś nie tak i że może dojść do... Ale ciebie nigdy nie było, a ja tak źle się czułam... - Urwała, by zaczerpnąć powietrza.

- Nie widziałam cię od kilku dni, nie wiedziałam, co mam robić, więc czekałam i czekałam... Jak wtedy, na ojca. - Pobielałymi dłońmi otarła łzy. - Na niego zawsze się czekało, niekiedy nawet całe tygodnie; na jakiś znak życia albo krótki list z pieniędzmi. Za każdym razem, kiedy spoglądałam na mamę, miała to samo przerażenie w oczach. Musiałam pocieszać ją jak dziecko, gładzić po głowie... - Głos Dany z każdym słowem załamywał się coraz bardziej.

- Zawsze musiałam ją podtrzymywać na duchu, choć sama byłam u kresu wytrzymałości.

- Kochanie...

Potrząsnęła głową, nie chciała, żeby jej przerywał.

- Za każdym razem byłam taka pewna, że on wróci, taka pewna... -

Opuściła głowę. I znowu po jej policzkach potoczyły się ciężkie łzy. -

Nadeszły moje dwunaste urodziny, a on wciąż nie wracał. Potem trzynaste... Oczy mojej matki nie były już przerażone, stały się beznadziejnie smutne. Aż wreszcie zadzwoniła policja. Stracił panowanie nad kierownicą na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi moście i runął do wody. Został zidentyfikowany tylko dlatego, że miał przy sobie zaalaminowane prawo jazdy. - Załkała i zaraz przyłożyła rękę do ust, jakby chciała zatamować kolejny wybuch rozpacz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cody stał pośrodku pokoju i po raz pierwszy w życiu poczuł się bezradny. Przytłaczał go i przerażał bezmiar rozpacz, która przemawiała przez Dane, i zupełnie nie wiedział, jak się zachować, jak jej pomóc. Patrzył na pobladłą twarz, drżące dłonie, sztywne ramiona i wszystko to wydawało mu się cenniejsze od największych skarbów świata. Pragnął przycisnąć ją do siebie, ukoić ból i cierpienie, ale wydała mu się tak wątła i krucha, że nie odważył się tego zrobić. Jedynie odgarnął jej włosy z czoła i pogładził po głowie. Miał wrażenie, że dopiero dziś, po tylu latach zrozumiał, co oznaczało dla niej czekanie. Nie chodziło o zwykłą złość, gdy ktoś się spóźnia. Dla Dany czekanie na męża, który wykonywał tak bardzo niebezpieczny zawód, było wyrafino-

Bez skrupułów 163

waną grą, udawaniem przed całym światem i samą sobą odwagi i niefrasobliwości, gdy w rzeczywistości umiera się ze strachu. Co za koszmarnie! Co za piekło zgotowane przez najbliższą osobę.

To strach i rozpacz popchnęły ją do rozwodu, strach i rozpacz, których nie była w stanie dłużej znieść.

Uniosła głowę i położyła drżące ręce na stole.

- Cody, jest we mnie takie miejsce - zaczęła cicho

- które muszę trzymać w zamknięciu, pod kluczem. Gdyby to, co tam jest, wydostało się na zewnątrz...

- Machnęła ręką i uśmiechnęła się ze smutną rezygnacją. - Pewnie bym tego nie wytrzymała.

Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona i przytulić mocno, by wlać w jej serce trochę otuchy, ale znał ją zbyt dobrze i wiedział, że była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała w tej chwili. Mimo to powiedział cicho:

- Kochanie, wiesz, że bardzo pragnę ci pomóc...

- Tak jak się spodziewał, nie miało to teraz sensu. Dana bez reszty zagłębiła się w swoich myślach, błąkała się między przeszłością a teraźniejszością, i nie było takich słów, którymi byłby w stanie przekonać ją, że może polegać na nim bardziej niż na swoim ojcu. - Dana, spójrz na mnie... - Patrzył na nią uważnie, gdy zbierała w sobie siły, by się wyprostować i unieść głowę.

- Tak? - Była prawie nieobecna, jakby półprzytomna.

- Chciałbym ci pomóc...

- Pomóc? Kiedy ty leżałeś na stole operacyjnym,

164 Mallory Kane

ja właśnie znajdowałam się w publicznej toalecie i w koszmarnych bólach poroniłam dziecko. Byłam kompletnie sama, zupełnie sama - powtórzyła dobitnie. - Wtedy mogłeś mi pomóc. A dziś? Jak sobie to wyobrażasz?

Nie, nie mam siły, by znów przechodzić przez coś takiego...

- Chodź do mnie...

Chciał ją przytulić, lecz Dana gwałtownie odsunęła się, wyciągając sztywno wyprostowaną rękę.

- Nie, Cody, proszę, nigdy więcej mnie nie dotykaj. - Wstała, a na jej twarzy malowało się przerażenie. -1 proszę, nie dzwoń i nie przychodź do mnie. - Wyszła z kuchni.

Zamarł na te słowa. Wiedział, że Dana go kocha, a mimo to lęk i obawa były zbyt wielkie. Woląca żyć bez niego, bez miłości, nie była w stanie zaryzykować. Woląca już teraz go stracić, niż czekać na ten dzień, kiedy nie wróci.

Jakież to było straszne... jak okrutne potrafi być życie. Tak bardzo ją kochał, a mimo to nie potrafił dać jej tego, czego potrzebowała najbardziej - poczucia bezpieczeństwa. To była miłość od pierwszego wejrzenia, prawdziwa, wielka miłość na całe życie. Najbardziej kochał w Danie jej siłę i determinację. Od razu dostrzegł te cechy, jednak dopiero teraz przekonał się, jak wielka jest ich moc. Odwaga i konsekwencja Dany były naprawdę imponujące. Ale, na litość boską, dlaczego musiała być przy tym aż taka uparta? Podczas długich, bezsennych nocy, kiedy walczył z samotnością i tęsknił za utraconą żoną, czuł do niej ogromny żal, że nie kochała

Bez skrupułów 165

wystarczająco mocno, by zaakceptować go takim, jakim był, by przełamać swój lęk. Co miał poradzić na to, że był gliniarzem? Miał to we krwi i nie nadawał się do niczego innego. A wszystko zaczęło się od jego dziadka, który wiele lat temu przyjechał do Ameryki z Irlandii, by rozpocząć nowe życie. Już on był gliną, a potem jego syn i wnuk. To nie była sprawa wyboru, miał to po prostu w genach. A swoją drogą, czy mogło być coś bardziej satysfakcjonującego niż wsadzenie przestępcy za kratki? Jak Dana mogła mieć o to pretensje?

Cody odwrócił się i spojrzał przez okno. Te retoryczne pytania, które przed chwilą zadał, może wcale na taką nazwę nie zasługiwały? Może odpowiedź wcale nie była oczywista? Może usiłuje okłamać samego siebie? Tuszować prawdę, że dokonał w życiu niewłaściwych wyborów? Czyż nie bardziej kochał swój zawód niż swoją żonę? Ta poprzednia noc i wyznanie Dany dało mu wiele do myślenia. Tylu facetów wariuje ze szczęścia, kiedy urodzi im się dziecko. Może jest to o wiele bardziej ekscytujące niż wszystko, co kiedykolwiek przeżył? Może stracił więcej, niż mu się zdawało? Może uczestniczenie w narodzinach własnego dziecka jest czymś dużo ważniejszym i bardziej uwznioślającym niż wsadzenie za kratki mordercy? A jeśli spokojne życie u boku kochającej kobiety było o niebo piękniejsze niż ciągła pogoń za zbrodniarzami i ucieczka przed ich niepohamowaną zemstą? Skąd ten diabelski dreszczyk na myśl o heroicznej śmierci?

Gdy zrozumiał swój błąd, poczuł się swobodny

166 Mallory Kane

i lekki. Zaprzagnął pobiec do sypialni, wziąć Dane w ramiona i powiedzieć jej o swoim odkryciu. Wiedział jednak, że w tej chwili nie ma to sensu. Była zbyt roztrzęsiona, by z nim rozmawiać, a co więcej, uwierzyć. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Przecież będą mieli czas o tym porozmawiać. Teraz najważniejsze było... życie Dany. Ta myśl wyrwała go z zadumy. Spojrzał na zegarek. Postanowił rozejrzeć się po okolicy, by się upewnić, że Fontenot ich nie namierzył. Potem skontaktuje się z kapitanem Hamiltonem.

Wyszedł na zewnątrz. Wydawało się, jakby cały świat zastygł w bezruchu. Tafla jeziora była gładka jak stół, a drzewa nie poruszały się choćby o milimetr. Powietrze stało w miejscu, ni śladu wiatorku. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Absolutna cisza, nic, choćby najmniejszego szmeru.

Nagle poczuł, jak przeszywa go zimny dreszcz i jeżą mu się włosy. Odwrócił się i spojrzał w kierunku domu. Wiedział, że coś jest nie tak. Tylko, do jasnej cholery, co?! Wszystko jest w idealnym porządku... właśnie, zbyt idealnym. Zmarszczył brwi, wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał numer na posterunek. W tym momencie usłyszał znajomy klakson, klakson chevroleta swojego najlepszego kumpla i partnera zarazem. Wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni. Ale co robi tu Dave? Nie miał pojęcia, zarazem jednak odetchnął z ulgą.

- Cześć, Dave! - Podszedł do samochodu. - Co tutaj robisz?

Bez skrupułów 167

- Psia krew, ale tu błoto... Jak to moje cacko będzie wyglądać?
- Spokojnie, stary, za późno na nerwy. I tak już nie widać lakieru.
Dlaczego nie wzięłeś dzipa?
- Bo nie miałem zamiaru informować całego świata, że jestem gliną.
- A niby dlaczego? Coś jest nie tak? Jakieś nowe wieści? - Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Nie było to dobrze mu znane podniecenie, towarzyszące pościgowi za przestępcą, lecz strach, okrutny, paraliżujący strach. Raz jeszcze spojrzął w kierunku domu. - Co jest? Mów!
- Coś tu w tych puzzlach nie pasuje... - odparł enigmatycznie.
Cody zwilżył wyschnięte wargi.
- Wiedziałem, że coś nie gra. Byłoby za proste... jak na tego bydlaka.
- Taa... Namierzyliśmy go wreszcie, wynajął samochód w Pensacoli. Nie martw się, ochrona dla siostry Dany jest już dawno załatwiona. - Jego twarz nagle pojaśniała. - Stary, mówię ci, ta dziewczyna to jest to!
- Dave, do rzeczy...
- Jasne. W pierwszej chwili myślałem, że nasz przyjaciel Fontenot już się starzeje. Wytropienie, gdzie wynajął samochód, zabrało nam wprawdzie trochę czasu, ale w porównaniu z jego dotychczasowymi szaradami była to bułka z masłem.
Żołądek Cody'ego zamienił się w twardy kamień.
- Więc był w tym jakiś haczyk? Dave podrapał się w głowę.

168 Mallory Kane

- Znaleźliśmy porzucony samochód nieopodal Pensacoli. W środku leżała zdechła ryba.

- Zdechła ryba?

- Dokładniej mówiąc, śledź.

- Wiedziałem, cholera jasna, wiedziałem! - Gody rąbnął pięścią w dach chevroleta.

- Ej, spokojnie, z szacunkiem do antyków...

- mruknął Dave.

- Zgubiliście jego ślad, tak?

- Niestety.

- Cholera... przynajmniej jesteś pewien, że nie zrobi nic siostrze Dany?

- Myślę, że nie. Na moje polecenie będą jej pilnować jak oka w głowie.

Ale na jej wycieraczkę zostawił kartkę... kartkę z kalendarza Dany.

Cody poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy.

- Z jakiego dnia? - Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział kalendarz Dany.

Dave sięgnął do kieszeni i wydobyl foliową torebkę, przez którą prześwitywała kartka. Cody wyciągnął po nią drżącą rękę.

Piątek. Kupić niezdrowe żarcie, dobrą książkę i spędzić samotny weekend w domku nad jeziorem. Czytać i jeść.

- Kiedy Dana miała ostatnio kalendarz w ręku?

- spytał Dave.

- Zaraz... - Cody poskrobał się po głowie. Jego mózg pracował ze zdwojoną prędkością. Nagle zeszywniał z przerażenia. - Podczas jazdy, w drodze nad jezioro... Wyciągała z niego jakieś bony na kawę.

- Nerwowo rozejrzał się wokół domku. - Wiesz,

Bez skrupułów 169

gdzie on jest? - Ze zmarszczonym czołem przyglądał się przyjacielowi, ale jego spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Nagle odwrócił się i ruszył pędem do samochodu. Drzwi były zamknięte, ale dostrzegł, że na tylnym siedzeniu leżał kalendarz Dany. - On tu był... Był tu i nas obserwował. Przeklęty sukinsyn! Trzeba sprawdzić samochód. Wezwij kogoś...

- Stary, daj sobie spokój - przerwał mu Dave. - O to mu tylko chodzi. Zaczniemy obwąchiwać klamki, zdejmować odciski palców, a on spokojnie będzie pracował nad kolejną sztuczką albo przyglądał się nam z krzaków i śmiał się w kułak.

- Cholera, jaki ja jestem głupi! Jak mogłem zapomnieć, na co stać tego wariata. Bawię się w dom, a ten drań cały czas główkuje...

- Jak to bawisz się w dom? Macie zamiar znowu być razem?

- To nie takie proste... Psia krew, przecież mógł ją zabić.

- Jemu chodzi o ciebie, stary.

- Ale posłuży się Daną, jeśli tylko nadarzy się okazja. Jak mogłem pozwolić się tak podejść temu bydlakowi? Na co liczyłem?

- Dobra, daj już spokój. - Dave porzucił radosny ton i patrzył na Cody'ego z zatroskaną miną. - Lepiej powiedz, jakim cudem was tu odnalazł.

- Nie mam pojęcia. To dom przyjaciela dziadka Dany, samotnika bez rodziny. Nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia... - Sięgnął do kabury po pistolet. - Musimy czym prędzej ją stąd wywieźć.

170 Mallory Kane

- Spojrzał w kierunku domu, w którym panował absolutny spokój... złowieszczy spokój.
 - Co jest z prądem i z wodą?
 - Greg opłaca jakiegoś tubylca, który zajmuje się tymi sprawami, ale nie wiem, kto to jest.
 - No to sprawdź. - Dave skrzywił się. - Gdzie on mieszka?
 - Kto? -Greg!
 - W Iowa. - Cody zeszywniał. - Kiedy go zgubiliście?
 - Ostatni raz widziano go w wypożyczalni samochodów, wczoraj rano.
 - Wczoraj, czyli w sobotę... a mówiłeś, że kartka pod drzwiami Angie pojawiła się dzisiaj rano.
- Dave kiwnął głową i wzruszył ramionami. Poprawił marynarkę i przy okazji sprawdził, czy z pistoletem jest wszystko w porządku.
- Jest jeszcze coś...
 - Co?
 - Wczoraj w pobliżu samochodu, który wypożyczył Fontenot, zamordowano kobietę. Miała samochód, jakiś kompletny złom, jak twierdzą sąsiedzi, ale go nie ma, zniknął.
- Cody zamarł.
- Więc tak się tu dostał. Musiał tu być zeszłej nocy... kiedy... Boże, jak mogłem być aż tak głupi! Musimy przyjąć, że on tu jest.
 - Zbierajmy się stąd, stary... - rzucił cicho Dave.
 - Wywieź Danę, a ja zajmę się Fontenotem.
 - Dorwiemy go, zadzwonię po posiłki.

Bez skrupułów 171

Dana wrzuciła do torby ubrania. W uszach wciąż rozbrzmiewały jej słowa Cody'ego. Czuła na sobie taki ciężar, że niemal nie była w stanie oddychać. „Zostawiłaś mnie”. Boże, jak bardzo go zraniła, jak bardzo zawiodła. Zamiast trwać u jego boku, doglądać po ciężkiej operacji, odsunęła się od niego, użalała się nad sobą. Jak mogła mu to zrobić? Był jeszcze bardzo słaby, kiedy postanowił wrócić do pracy, i brał najtrudniejsze, najbardziej niebezpieczne sprawy, jakby w ogóle nie zależało mu na życiu. Teraz w końcu zdała sobie sprawę, dlaczego to zrobił.

Zadrżała. Na razie musi czym prędzej wrócić do Nowego Orleanu, potem będzie się zastanawiać, co z tym wszystkim zrobić. Wrzuciła do torby sandały i nachyliła się, żeby zapiąć zamek.

- Jeśli sądzisz, że zostawisz mnie tu z jakimś obcym gliną, to bardzo się mylisz, Cody - mruknęła pod nosem. Zdawało jej się, że usłyszała za sobą jakiś szelest. - Cody?

Nim jednak zdążyła się odwrócić, poczuła na głowie coś miękkiego i ciepłego. Nic nie widziała, otaczała ją absolutna ciemność, nie mogła oddychać ani krzyczeć. Jakimś cudem wyrwała się i upadła na podłogę. Wzięła głęboki oddech, lecz zamiast powietrza poczuła w nozdrzach kurz i zaczęła się krztusić.

W tym momencie olśniło ją: to był Fontenot. Serce waliło jej jak oszalałe, a przerażenie sznurowało usta, lecz zebrała w sobie wszystkie siły i krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak mogła. Zaraz potem napastnik

172 Mallory Kane

uderzył ją czymś ciężkim w głowę. Przeszył ją straszny ból, prawie straciła przytomność, mimo to miotała się po podłodze jak ryba na piasku, cały czas kaszląc i dławiąc się od kurzu. Jednak nie miała szans. Fontenot owinął ją w jakiś gruby materiał i wyniósł tylnymi drzwiami. Jednak nie poddawała się, próbowała się wyrwać i krzyczeć.

- Nic i nikt pani nie pomoże, pani Maxwell - dobiegł ją stłumiony głos. - Więc rozsądniej będzie, jeśli przestanie się pani miotać. To ułatwi mi realizację planu.

Poznała ten głos, to był on. Poczuła, jak z przerażenia jeżą jej się włosy. To nie był zwykły głos, to był głos szaleńca. Potem poczuła, jak okręca ją jakąś taśmą. Po chwili nie mogła" nawet drgnąć. Miała wrażenie, że za moment się udusi.

- Proszę się nie niecierpliwić - mówił cicho Fontenot. - To mi zabierze tylko chwilkę, pani Maxwell. Proszę mi wybaczyć, zwykle jestem bardziej dokładny, ale muszę się spieszyć.

Ogarnęła ją panika, uczucie, którego w tym stopniu nie doznała jeszcze nigdy w życiu. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, nie mogła się poruszyć, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Wciąż otaczała ją całkowita ciemność. Czowała, że jeszcze moment, a nie będzie w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku ani zaczerpnąć powietrza. Czowała, jak opada z sił i odpływa.

Ocknęła się pod wpływem ostrego światła. Nie wiedziała, co się dzieje. Łapczywie zachłysnęła się powietrzem, gotowa, żeby krzyknąć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ktoś szarpnął gwałtownie kocem, w który była owinięta, tworząc na wysokości głowy otwór ratujący życie. Nie zdążyła jednak nawet pisnąć, gdy znów poczuła silne uderzenie, a zaraz po nim niżony głos Fontenota: - Pamiętaj, moja droga, że milczenie jest złotem. Bądź zatem cicho, naprawdę cicho i pamiętaj, że nie mam ochoty na żarty. Zresztą jest sposób, byś bez kłopotu wykonała moje polecenie. - Zakleił jej usta taśmą.

A więc wciąż była w łapach tego szaleńca, a już miała nadzieję... Chciała krzyknąć, ale mimo wszelkich wysiłków z jej ust nie wydobywał się nawet najmniejszy dźwięk. Z przerażeniem spojrzała na Fontenota. Boże, te jego wyłupiaste, błędne oczy

174 Mallory Kane

i zawsze wilgotne, różowe usta, na których widniał lekki uśmiezek, jakby właśnie prowadzili sobie towarzyską rozmowę.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, byśmy opuścili to miejsce. - Koniuszkiem języka oblizał wargi. - Zwłaszcza że i tak chciałaś stąd wyjechać, prawda?

Próbowała się sprzeciwić, zażądać wyjaśnień, spytać, co to wszystko znaczy, ale wypowiedane przez nią słowa zlewały się w jednolity, niezrozumiały bełkot.

Fontenot, nie zważając na jej protesty, pchnął ją w kierunku zarośli.

Upadła, uderzając się boleśnie o kamień. Jęknęła żałośnie. Fontenot zaklął niecierpliwie, po czym jednym szarpnięciem postawił ją na nogi.

- Niech się pani trochę postara - szepnął jadowicie. - Inaczej nie będę miał innego wyjścia, jak tylko panią zabić.- A teraz proszę wziąć się w garść, bo przecież nie możemy spóźnić się na przedstawienie. - W chwili, kiedy wypowiadał te słowa, kąciki jego ust rozjechały się w błogim uśmiechu.

Cody miał rację, Fontenot był szalony. Czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika, a w jej uszach bezustannie rozbrzmiewały słowa

Cody'ego: „To szalenie, który postanowił mnie zabić. Nie zawaha się także zastrzelić ciebie”.

- Puść mnie, ty głupi sukinsynu! - usiłowała krzyczeć, lecz po chwili dotarło do niej, że nie ma sensu bełkotać i marnować energii.

Teren zaczął się podnosić. Musiała bardzo uważać na każdy krok. Dobrze wiedziała, że gdyby zno-

Bez skrupułów 175

wu upadła, mógłby być to ostatni upadek w jej życiu. Po chwili znaleźli się za domem, na szczycie niewielkiego pagórka, z którego widoczny był pomost.

Dana miotła się między zwątpieniem a nadzieją. Przecież niedaleko był Cody, dlaczego jej jeszcze nie uratował? Czyżby nie słyszał krzyków? A może Fontenot coś mu zrobił? Nie, to nie może być prawda! Boże, spraw, proszę, by to nie była prawda! Pewnie wyszedł tylko, żeby rozejrzeć się po okolicy, ale zaraz wróci i z pewnością ją uratuje. Byle tylko nie było za późno. Co chwila podejmowała kolejną nieudaną próbę zsunięcia taśmy, która przykrywała jej usta. Zdesperowana rozglądała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, sama nie wiedziała czego, co pomogłoby jej pozbyć się więzów.

- Dotarliśmy na miejsce, droga pani Maxwell. Z radością informuję panią, że mamy najlepsze miejscówki, jakie można sobie wymarzyć. - Pchnął ją na ziemię i z błogim uśmiechem usiadł obok, po czym spokojnym ruchem wygładził załamania na swym nieskazitelnym garniturze.

Niepoczytalny maniak, Cody miał rację. Dana nie miała pojęcia, co powinna zrobić w tej sytuacji.

O jakim przedstawieniu mówił ten szaleniec, o jakich miejscówkach? Co miało się tu rozegrać? Zaczęła nerwowo rozglądać się po okolicy.

- Co zrobiłeś Cody'emu? - rzuciła zaczepnie, ale poprzez taśmę jej słowa zabrzmiały jak żalosny jęk.

Fontenot ku jej przerażeniu objął ją ramieniem

1 przyciągnął do siebie. Wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia.

176 *Mallory Kane*

- Spokojnie, kochanie - szepnął ohydny, obleśnym głosem wprost do jej ucha. - Obiecałem ci przecież przedstawienie, a słowa zawsze dotrzymuję. Nie martw się, to nie potrwa długo. Zaraz podniesie się kurtyna i będziesz mogła podziwiać największe osiągnięcie mego życia. Żałuję jedynie, że nie mogę zgasić świateł.

Dana przełknęła z trudem. Wypełniało ją narastające obrzydzenie i strach, paraliżujący strach.

- O! - Fontenot poderwał się z miejsca. - Proszę uważnie patrzeć, pani Maxwell. Przedstawienie właśnie się zaczyna! - powiedział rozentuzjasmowany.

- Och, proszę mi wybaczyć, że pokazuję palcem

- dodał z autentyczną skruchą.

Dana zdrewniała. Jej oczom ukazał się Chevrolet należący do przyjaciela Cody'ego, a w chwilę później ujrzała Dave'a, a na koniec Cody'ego. Skąd wziął się tutaj Dave? - zastanawiała się. Czyżby to on miał być jej nowym ochroniarzem? Poczowała przypływ nadziei. Jak daleko sięgała pamięcią, Dave i Cody zawsze stanowili niezwykle zgrany zespół i nie zdarzyło im się schrzanić żadnej roboty. Razem byli naprawdę nie do pokonania. Nie miała pojęcia, jaki mają plan i jak zamierzają ją uwolnić z łap tego szaleńca, ale darzyła ich zaufaniem i święcie wierzyła, że coś uda im się wymyślić. Jeżeli ktokolwiek mógł w ogóle przechytryć Fontenota, to byli właśnie oni.

Wyglądało jednak na to, że o coś się spierają. Cody wymachiwał rękami, a Dave usiłował go uspokoić. Przeszył ją zimny dreszcz. Najwyraźniej

Bez skrupułów 177

sytuacja wymknęła się im spod kontroli. Rozejrzała się dokoła i jeszcze raz musiała przyznać Cody'emu rację. Ten maniak był prawdziwym geniuszem. Wybrał najlepsze miejsce w całej okolicy, z którego widoczny był nie tylko pomost, ale również dom i podwórze. Wszystko jak na dłoni. Za to oni, ukryci w zaroślach, byli z dołu zupełnie nie do zauważenia.

0 ucieczce też nie było mowy, Fontenot nic zawahałby się przed niczym, aby ją udaremnić. Poza tym jego ramię wciąż spoczywało na plecach Dany. Czekala więc, starając się zachować pozorny Spokój,

1 przyglądała się scenie rozgrywającej się na dole.

Wyglądało na to, że Cody i Dave doszli do porozumienia, bo razem podeszli do samochodu. Cody nachylił się i zajrzał do środka, potem nagle uderzył dłońmi o dach i znowu rozpoczęła się dyskusja. Wtedy Cody sięgnął do kabury i wyciągnął rewolwer.

- No proszę - stwierdził Fontenot z satysfakcją - wreszcie nasz dzielny detektyw Maxwell zaczyna coś rozumieć.

- Co rozumieć? - Dana znów próbowała przebić się przez taśmę, ale jej słowa zmieniły się w jękliwy bełkot. Ogarnęła ją panika. Wiedziała, że wkrótce wydarzy się coś, czego nie będzie mogła zapomnieć do końca swoich dni. Z poczucia porażającej bezsilności zaczęła błagalnie jęczeć i zaklinać Fontenota, by nie zabijał Cody'ego, by nie robił mu krzywdy. Ten jakby zrozumiał, co chciała wyrazić, bo poklepał ją delikatnie po ramieniu i powiedział:

- Proszę się nie niepokoić, pani Maxwell.

178 Mallory Kane

Zaręczam, że pozostanie to dla pani niezapomnianym przeżyciem. Jestem pewien, że zapamięta je pani do końca swoich dni.

Zaśmiał się diabolicznie, aż przebiegły jej po plecach ciarki.

Dave rozmawiał właśnie przez telefon z kapitanem Hamiltonem.

- Powiedz mu, że mam się świetnie, że jestem całkowicie zdrowy. -

Odwrócił się i spojrzał w stronę domu. - Pójdę do Dany - dodał po chwili.

- Zobaczą, co u niej słychać. - Ponieważ Dave zakończył rozmowę, spytał jeszcze: - Kiedy przyślą wsparcie?

- Najpierw zjawią się miejscowe siły, potem jednostka specjalna.

- To dobrze. Chodźmy...

W tym momencie rozległa się straszliwa eksplozja, oślepiające światło zalało okolicę.

- Dana! Boże święty, Dana... - Cody stał jak słup soli. - Dana...

W górę wystrzelił olbrzymi słup ognia, a wraz z nim fragmenty drewnianych bali i porwanej na strzępy metalowej blachy.

Dom przestał istnieć.

Dla Cody'ego przestał istnieć cały świat.

- Neeee! Boże, nie! - Bez ruchu patrzył szeroko rozwartymi oczami na szatańskie dzieło zniszczenia. - Dana! Nie!

Czuł, jak dusza w nim obumiera. Nieporadnie, jak ślepiec ruszył w kierunku zgliszcz, zatrzymał go dopiero potworny żar.

Bez skrpułów 179

Dana, Boże... Musiał ją stamtąd wydobyć. Nie, nie mogła przecież zginąć, oszukiwał sam siebie, nie mogła umrzeć... Udało mu się zbliżyć do tego, co zostało z ganku.

Zaraz, zaraz... Musiał odtworzyć fakty. Przecież Dana była w sypialni. Spojrzał w tamtym kierunku i poprzez dym, zawieszoną pyłu i płomień dostrzegł, że część domu, w której znajdowała się sypialnia, nie była całkowicie zniszczona!

Gnany nadzieją, ruszył na ratunek. Żrący dym wypalał oczy, Cody co chwila potykał się i upadał, lecz nie dawał za wygraną. Przedzierał się przez płomień, próbując wygrać z ogniem, który błyskawicznie kończył dzieło zniszczenia.

- Dana!!! - Rozdzierający krzyk Cody'ego przeszył powietrze. - Dana!!! Odrzucał płonące belki, rozkopywał zgliszczka, nie czuł bólu ni żaru, tylko parł niczym czołg w kierunku sypialni.

- Dana! Odezwij się, błagam! - ryczał zdesperowany. - Dana!!!

Nie widział nic poprzez gryzący i dławiący dym, na oślep przedzierał się do przodu. Musiał ją uratować, musiał!

Poczuł na sobie czyjaś rękę. Ktoś usiłował go powstrzymać, wyciągnąć na zewnątrz. W furii machnął do tyłu pięścią, jednak Dave zdołał się uchylić.

- Cody, przestań! To samobójstwo!

- Dana! Tam jest Dana! Muszę ją wydostać! - krzyczał z przerażeniem w oczach. - Odejdź! Zostaw mnie!

180 Mallory Kane

Dave trzymał go w niedźwiedzim uścisku.

- Cody, opamiętaj się! Jest za późno! Za późno!

- Za późno? - Cody wyglądał strasznie, jak ktoś obłąkany. Znow zaczął się miotać jak osaczone zwierzę. - Puść mnie, bo zabiję! Puść!

W końcu udało mu się wyrwać i z impetem ruszył przed siebie.

- O Boże, o Boże, Dana... - Nie mógł już krzyczeć, głos mu całkiem ochrypl.

Gdy Dave znow go pochwycił, Cody podniósł nadpaloną belkę i z całej siły wymierzył nią w przyjaciela. Cios jednak nie dosięgnął celu. Zatruty dymem i śmiertelnie wyczerpany Cody bez czucia padł na ziemię.

Dana miała wrażenie, że te płomienie wypalają jej wnętrze. Z przerażeniem i niedowierzaniem patrzyła na to szaleństwo, a po jej policzkach nieprzerwanie płynęły łzy. To nie może być prawda, raz po raz przebiegało jej przez myśl.

Niestety, prawda była właśnie taka. Dlaczego nie ufała Cody'emu, dlaczego... Patrzyła, jak Dave ciągnie ciało jej męża, i nie mogła nic zrobić, nawet drgnąć. Tak bardzo pragnęła dać im jakiś znak, że żyje, że nic jej się nie stało... na razie. Tak bardzo chciała, by w sercu Cody'ego zagościła choćby najmniejsza nadzieja.

Nawet na moment nie spuszczała go z oka. Słyszała poprzez huk wybuchu, trzask płomieni i spadających desek, jak wykrzykuje jej imię. Ten przerażający krzyk rozdzierał jej serce. Była w nim

Bez skrupułów 181

skrajna rozpacz, wszechogarniający strach i ból. Boże, dlaczego Fontenot mu to zrobił?!

Gdy Cody ocknął się, jak szalony pognął do zgliszczy, a Dave znów wyciągnął go z tego piekła. Ta scena powtarzała się raz po raz jak w upiornym filmie, a zrozpaczona i bezsilna Dana patrzyła na to... patrzyła. Smutek, desperacja, beznadzieja... jak to nazwać?

Wiedziała, że to dzieje się naprawdę, choć marzyła, by to był sen, okrutny koszmar. Cody jak w amoku za każdym razem podnosił się i na oślep biegł w kierunku domu, wykrzykując przeraźliwie jej imię. Wiedziała, że to wołanie skierowane było do Boga. Urażał Najwyższemu, który dopuścił do takiej tragedii. Gdyby Dave nie obezwładnił przyjaciela, Cody z pewnością zginąłby w ogniu, próbując ją uratować. Zachowywał się jak desperat, który stracił wszystko.

Poczuła się tak, jakby ostry sztylet zatopił się w jej sercu. Zaszlochała gorzko. Dopiero teraz zrozumiała ogrom uczucia Cody'ego. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ją kochał, jak bardzo mu na niej zależało. Całym sercem przeklęła szaleńca, który obmyślił ten potworny, a zarazem w sadystyczny sposób wyrefinowany spektakl. Fontenot siedział jak zaczarowany. Z zachwytem obserwował to, co działo się poniżej. Obliznął spierzchnięte wargi, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Fantastyczne, cudowne - szepnął zafascynowany - wprost niezwykle, wspaniałe. - Wyprostował

182 *Mal lory Kane*

się. - Powinienem był to sfilmować. Ale... - Znów się uśmiechnął. - Ale czy prawdziwy geniusz potrzebuje publiczności? - Zatarł ręce.

Dana zauważyła, że drżały z podniecenia. Ogarnęła ją kolejna fala paniki. Tak bardzo chciała wyrwać się z rąk tego maniaka, rozerwać więzy i pobiec do Cody'ego. Ciasno związana, czuła się jednak bezradna jak zwierzę idące na rzeź. Co jeszcze ją spotka?

- Bo tylko prawdziwy geniusz mógł tego dokonać - ciągnął dalej Fontenot. - Być może największy, jaki się do tej pory narodził.

Przyglądała mu się z narastającym przerażeniem. Był to bez wątpienia najstraszniejszy człowiek, jakiego widziała w życiu.

- Proszę zapamiętać te słowa, pani Maxwell. Moje nazwisko przejdzie do historii. Pewnego dnia wszyscy będą musieli uznać mój geniusz. -

Wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł nią spoconą twarz. - No cóż... - Wstał. - Chodźmy, ta część przedstawienia niestety już się skończyła.

Jeszcze raz spojrzała w dół, gdzie pochylony nad Codym Dave rozmawiał przez telefon komórkowy. Błady i roztrzęsiony, z trudem cedził słowa.

Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Była przekonana, że twardziele z Wydziału Zabójstw nie wiedzą, co to strach i panika. Ale szatański spektakl, który przed chwilą tu się rozegrał, złamał nawet Dave'a.

Spojrzała na Fontenota. Był szaleńcem, ale? na pewno nie głupcem, który zostawiłby przy życiu świadka swych czynów. Dana zrozumiała, że o ile nie

Bez skrupułów 183

zdarzy się cud, nigdy już nie zobaczy Cody'ego, nigdy nie naprawi tego zła, które ich rozdzieliło.

Poczuła piekące łzy. Boże, czy Cody żyje? - pomyślała z przerażeniem. Wpatrywała się w niego. Dlaczego nawet nie drgnie? Dave musiał go ogłuszyć, nie miał innego wyjścia, ale to tylko tyle. Cody na pewno żyje. Dzięki ci, Boże, że Dave zjawił się w samą porę, bo inaczej... Wzniosła oczy do nieba.

- Idziemy, pani Maxwell. - Fontenot pociągnął ją za sobą. - Dlaczego pani drży? - spytał z sarkazmem. - Czyżby tak bardzo przejęła się pani tym przedstawieniem? Nie wierzę, przecież nie była pani zbyt przychylna mężowi. - Zaśmiał się perfidnie.

- Ale cieszę się, bo mimo że nie robię tego na pokaz, cenię sobie inteligentną publiczność.

Gdy dotarli do zdezelowanego samochodu, Fontenot chwycił ją za włosy i zmusił, by spojrzała na niego. Starł palcem łzę, która toczyła się po jej policzku, i szepnął:

- O, droga pani, to niekonieczne. - Potem zlizął łzę koniuszkiem języka i dodał: - Łzy to prawdziwy eliksir zmieszany ze wszystkich możliwych emocji: z bólu, miłości, upokorzenia, żalu, wściekłości...

- Oblizwał usta. - Cudowne... Pani mąż musi panią bardzo kochać. To dobrze, to bardzo dobrze. Jestem taki szczęśliwy, że wczoraj w nocy... znów się odnaleźliście. To wprost fantastycznie pasuje do moich planów.

Dana spojrzała na niego zszokowana.

- Ty świnió, przyglądałeś się, jak...?

- Och... - Pogłodził ją po policzku w miejscu,

184 *Mallory Kane*

gdzie odstawał kawałek taśmy zaklejającej usta. - To takie wzruszające, że pani wciąż próbuje mówić. Cóż za cudowna płatanina jęków i pisków. Nawet pani nie wie, jakie to ekscytujące próbować rozwiązać tę szaradę. Ale tym razem zrozumiałem panią. Cóż, wyznam szczerze, że jestem z siebie dumny. Tak, przyglądałem się i muszę panią zapewnić, że było to niemal równie ekscytujące przedstawienie jak to, które widzieliśmy przed chwilą. Dana wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

- A teraz musimy już naprawdę jechać. - Naciągnął Danie na głowę koc, otworzył drzwiczki i wepchnął ją do środka.

Próbowała krzyknąć, ale zagłuszył ją dźwięk silnika.

- Mam nadzieję, że zginiesz w mękach i poniżeniu, nic ci nie będzie oszczędzone. Zapłacisz za wszystko, Bóg mi świadkiem, że zapłacisz - szeptała.

- Pani Maxwell, to było za szybko i za cicho, nic nie rozumiem. Niech pani lepiej leży spokojnie, bo znowu pani straci przytomność.

Dojedziemy na miejsce przed zmrokiem, proszę się nie martwić.

Zobaczmy, jak długo potrwa, nim policja odkryje, że w zgliszcach nie ma ludzkich szczątków. Obliczyłem wstępnie, że zabierze im to cały wieczór. Tak więc mamy dla siebie sporo czasu. Nawet pani nie wie, jak bardzo się cieszę na spotkanie z pani mężem. Szkoda tylko, że nie jest lepszym przeciwnikiem - zachnął się. - Zdaje sobie pani sprawę, jakie to nudne i deprymujące wojować z partaczem...

Dana nie odzywała się już ani słowem, bo nie

Bez skrupułów 185

miało to sensu. Leżała zrezygnowana i bezsilna na tylnym siedzeniu, starając się nie myśleć o tym, jaka będzie druga część przedstawienia, które przygotował Fontenot. Stłumiła lęk, nie bała się już o własne życie. Zginiesz, draniu, przysięgam, że zginiesz, zaklinała się w duchu. Ta nadzieja dawała jej siłę, by przetrwać wszystko, nawet najczarniejszy scenariusz wydarzeń.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cody powoli odzyskiwał przytomność. Pierwsze co poczuł, to koszmarny, wszechogarniający ból. Z trudem otworzył oczy, lecz świat zatracił swoje kontury, był nieostry, rozmazany.

Próbował sobie uświadomić, gdzie się znajduje i co się wydarzyło. Stwierdził jedynie, że leży na twardej, obskurnej palecie. Usiłował się podnieść, lecz okazało się to niełatwym zadaniem. Gdy zwilżył spierzchnięte usta, poczuł smak krwi i dymu. Przed oczami stanęły mu dziwne, przerażające obrazy. Nic z tego nie rozumiał. Co się właściwie wydarzyło, co się z nim stało? Znow spróbował się poruszyć, lecz coś krępowało jego nadgarstki. Zrozumiał, że to kajdanki. Szarpnął raz i drugi, lecz nie przyniosło to żadnego skutku. Rozejrzał się wkoło. Gdy
oczy

Bez skrupułów 187

przywykły do światła, dotarło do niego, że leży na noszach przykuty kajdankami, a dwóch facetów w bieli wnosi go do ambulansu.

- Dave... - Chciał zawołać kumpla, by do jasnej cholery wyjaśnił, co jest grane, lecz z jego gardła wydobył się tylko ledwie słyszalny szept. Po drugiej próbie Cody zaczął spazmatycznie kaszleć i dławić się. Krtań, płuca, oskrzela, w ogóle wszystko w środku paliło go żywym ogniem. Miał wrażenie, że się dusi. - Boże... - jęknął, gdyż nagle stanęły mu przed oczami wszystkie wydarzenia ostatnich godzin. Przeszył go ból, zdawało mu się, że pęka mu serce.

- Boże, nie, Dana... - Zaczął się szarpać na noszach.

- Dave, przecież Dana... Dave! Pomóż mi, muszę ją znaleźć, Dave... Jakiś cień nachylił się nad nim, a zaraz potem Cody poczuł ukłucie igły.

- Nie, nie szprycujcie mnie tym świństwem! Muszę być przytomny. Muszę znaleźć Danę... - błagał bezradnie.

Ból zelżał, Cody'ego ogarnęła niczym nieprzenikniona ciemność.

Motel „Pod Szczęśliwą Siódemką”, położony w pobliżu miejsca eksplozji, wydawał się oazą ciszy i spokoju. Dave spojrzął na swoje opuchnięte, zaczerwienione i umorusane dłonie. Miał wrażenie, że przeszedł dziś przez piekło: najpierw, gdy próbował wyciągnąć z pożaru Cody'ego, a potem po raz drugi, gdy usiłował wyjaśnić tę całą zawiłą historię tutejszemu szeryfowi. Dawno nie spotkał tak ociężałego

188 Mallory Kane

umyślowo faceta. Dotarło do niego coś niecoś dopiec ro wtedy, kiedy chwycił go za kołnierz i wrzasnął prosto w twarz, że w domu znajdowała się żona Gody'ego, więc niech ruszy swoje cielsko i zajmie się swoją robotą, zamiast zadawać głupie pytania. Poniosły go trochę nerwy, ale czy mógł po tym wszystkim zachować spokój?

Z trudem też wybronił przyjaciela przed szpitalem. Zawiózł Cody'ego do motelu i zapakował dó łóżka, aplikując kolejną dawkę morfiny. Potem postawił na straży miejscowego gliniarza, a sam wrócił na miejsce wybuchu.

Odziany w ubranie ochronne wraz z ekipą pedantycznie przepatrywał zgliszcza. Z werandy i salonu nie pozostało kompletnie nic. W kuchni po długich poszukiwaniach znaleźli kawałki porozbijanych naczyń, a w sypialni niedopalone metalowe fragmenty łóżka i mebli. Co chwila ktoś oznajmiał kolejne odkrycie. Dave za każdym razem zamierał na ułamek sekundy w obawie, że usłyszy to najgorsze, czego cały czas się spodziewał... Potem zagryzał zęby i szukał dalej. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby ktoś inny odnalazł Danę, więc parł do przodu, nie pozwalając, by go wyprzedzono.

Wielogodzinne poszukiwania pozostawiły jednak wiele pytań bez odpowiedzi, a najdziwniejsze i najbardziej nieodgadnione było to, że nie natrafili na ślady ludzkich zwłok.

Dave przeczeszał brudnymi dłońmi potargane włosy. Nie rozumiał, jak to było możliwe, ale wszystko przemawiało za tym, że Dana nie zginęła podczas

Bez skrupułów 189

eksplozji. Nie znał jej zbyt dobrze, ale wiedział, że mimo iż nie byli ze sobą już od lat, Cody nadal bardzo ją kochał, a teraz był przekonany, że nie żyła.

Jeszcze raz przejrzał wszystkie dokumenty sporządzone na miejscu wypadku. Opinia była jednoznaczna: nie znaleziono żadnych ludzkich szczątków. Jutro trafi to do akt sprawy. O pomyłce nie było mowy, przecież Dave osobiście brał udział w akcji. A skoro taki był efekt poszukiwań, wniosek był prosty: Fontenot miał Danę.

Dave'a ogarnęło przerażenie na myśl, co zrobi Cody, gdy się o tym dowie. Jedyna nadzieja, że będzie spał nieprzerwanie aż do rana.

Cała policja w Nowym Orleanie została postawiona w stan gotowości. Wszystkich funkcjonariuszy poinformowano, że Fontenot wciąż jest na wolności i ma zakładniczkę, była żoną Cody'ego. Dave liczył na to, że do rana coś się wyjaśni. Tylko co? Przerażał go fakt, że być może już wkrótce będzie musiał stanąć twarzą w twarz ze swym przyjacielem i powiedzieć mu całą prawdę. Sam nie wiedział, która wersja była bardziej tragiczna. Fontenot był zdolny absolutnie do wszystkiego, jego perfidia i sadyzm nie znały granic. Dave wzdrygnął się, włączył silnik i ruszył w stronę motelu.

Kiedy wszedł do pokoju, policjant bujał się beztrósco w wiklinowym fotelu. Dave zaszedł go od tyłu i jednym kopnięciem zrzucił na podłogę. Policjant, klnąc na czym świat stoi, szybko się podniósł, a gdy ujrzał, z kim ma do czynienia, wyprężył się i zasalutował.

190 Mallory Karte

- Co tu się dzieje? - rzucił ostro Dave. - Jesteście na wczasach, do jasnej cholery?

- Nie, sir - bąknął młody funkcjonariusz. - Ja tylko na chwilę...

- Wszystko w porządku?

- Nie do końca. Pana przyjaciel wezwał obsługę hotelową i...

- Niech to szlag!

Zapach bourbona dochodził aż tu. Dave wpadł do sypialni. Gdy siedział na sofie, a na stoliku stała prawie pusta butelka. W zabandażowanych dłoniach ścisnął szklanekę, twarz miał zaczerwienioną i opuchniętą, a po lewej stronie szczęki widniał olbrzymi siniak. Do tego mnóstwo zadrapań, krew, błoto i popiół na koszulce i spodniach, a brudne policzki żłobiły ślady łez. Po prostu obraz nędzy i rozpacz.

Cody drżącymi dłońmi podniósł szklanekę do ust i wypił do dna. Odstawił ją na stół, spojrzął na Dave'a i wybełkotał z goryczą:

- Jesteś wreszcie, wredny szczurze...

- Miło mi cię widzieć w niezłej formie. Nieźle się poprawiłeś.

- Jestem trzeźwy jak świnia. - Wychylił kolejną szklaneczkę i zaraz ją napełnił. Ruchy miał niezbor-ne, ledwie je kontrolował. - Tylko palce trochę mi zeszywniały.

- No to kiepska sprawa, stary.

- A tam kiepska. Kiepskie jest to, że butelka się kończy... - powiedział z żalem.

- Może masz już dosyć.

- Chrzanisz... - Machnął ręką i potrącił butelkę.

Bez skrupułów 191

Jednak Dave złapał ją w powietrzu.

- Zdejmę ci to. - Oswobodził Cody'ego z kajdanek , a potem chciał przysunąć do siebie butelkę, jednak nie zdążył.

- Ty wredny kundlu - warknął Cody, ściskając flaszkę. - Powinienem cię zabić... Dlaczego mi przeszkodziłeś?! Gdyby nie ty, uratowałbym Danę! Przeszkodziłeś mi, ty sukinsynu! Dlaczego mi to zrobiłeś? -

Zaczerwienione oczy Cody'ego wypełniły się łzami.

- Zrobiłem, co musiałem zrobić, stary. Zginałbyś w tym piekle.

- Szkoda, że tak się nie stało... Co warte jest moje życie? Tyle zła, tyle zła... Najpierw unieszczęśliwiłem Danę, a na koniec doprowadziłem do jej śmierci. Dlaczego nie zdechłem, zanim ją poznałem? Żyłaby długo i szczęśliwie...

Dave uznał, że nadszedł właściwy moment, by powiedzieć prawdę.

Wprawdzie Cody najpierw dostał morfinę, a później doprawił się bourbonem, ale zachował na tyle przytomności, by zrozumieć, co naprawdę stało się z Daną.

Nagle Cody spojrzał bardzo przytomnie.

- Dave... byłeś tam, powiedz... znaleźli coś? - Wzrok znów mu się zamglił. Półprzytomnie spojrzał na swoje ręce. - Ten bourbon... popatrz

tylko, wystarczyło się nachlać i od razu wróciło mi czucie w rękach. -

Wbił wzrok w podłogę, a gdy uniósł głowę, po jego policzkach spływały łzy. - Wiesz co, woda przeżre ci duszę, ale nie ukoi bólu... - Zwinął dłonie w pięści. - To koniec. Dana nie żyje, a mnie

192 Mallory Kane

niech piekło pochłonie, bo to moja wina... Nic tu po* mnie - bełkotał. - Czas ze sobą skończyć, czas do piekła... - Spojrzał z rozpaczą na Dave'a. - Powiedz- : tylko mów prawdę, czy bardzo się męczyła? Boże* sypialnia spaliła się ostatnia, a Dana tam właśnie była. Musiała usłyszeć wybuch, wiedziała, że zginie... Nie powinienem był jej tam zostawiać samej, Dave, nie powinienem...

Dave położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Cody... - Ten jednak go nie słuchał, tylko ukrył twarz w dłoniach w geście rozpacz. - Cody, sytuacja wygląda...

- Spadaj! Przestań chrzanić i spadaj... Chcę za-chlać się na śmierć, tylko to mi pozostało do zrobienia. Nie mam prawa dłużej być na tym świecie. Sięgnął po butelkę, ale tym razem Dave był szybszy.

- Przestań i posłuchaj mnie przez chwilę. Przeszukaliśmy pogorzelnisko bardzo dokładnie milimetr po milimetrze i o pomyłce nie ma mowy. Dana nie zginęła w pożarze.

Cody zamarł na moment.

- Nie zginęła? - Jego twarz pojaśniała.

- Podczas wybuchu nie było jej w środku.

Cody potarł twarz zabandażowanymi rękami. Wystarczyło kilka sekund, by dotarła do niego okrutna prawda.

- Fontenot... - szepnął.

- To jedyne logiczne wytłumaczenie. Cody walnął zabandażowaną pięścią w stół.

- Do jasnej cholery, więc dlaczego tu siedzimy!

Bez skrupułów 193

- Zerwał się na równe nogi i zatoczył. Gdyby Dave go nie podtrzymał, upadłby na podłogę.

- Nie dzisiaj, Cody. Musisz dojść do siebie.

- Chrzanisz! - ryknął na całe gardło, próbując wyrwać się z uścisku przyjaciela.

Dave pchnął Cody'ego na łóżko, który nie znalazł w sobie już siły, by się podnieść. Dave odetchnął i usiadł na krześle. Cody albo zapadł w sen, albo stracił przytomność. Najważniejsze, że się uspokoił. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i ze zdziwieniem zauważył, że w ułamku sekundy znikły z jego twarzy ból i rozpacz.

Dave nigdy dotąd nie kochał tak bardzo żadnej kobiety. Wiedział, co znaczy ból psychiczny, lecz już od wielu lat, od czasu dzieciństwa, nie pozwolił zbliżyć się nikomu na tyle, by mógł go zranić. Dlatego też nie miał zbyt wielu przyjaciół. Tak naprawdę ważne były dla niego tylko dwie osoby: Cody i Timbo Johnson, jego mentor. Niestety Timbo już nie żył, pozostał więc tylko Cody. Dave zrobiłby wszystko, by ulżyć jego cierpieniom.

Upewniwszy się, że Cody oddycha miarowo, szybkim krokiem opuścił motel. Próbował narzucić sobie spokój. Musiał wszystko przemyśleć na chłodno, by podjąć właściwe decyzje.

Nagle z furją walnął pięścią w ścianę motelu. Cody miał rację, ten ból nigdy nie mija. Znów uderzył w ścianę z taką siłą, że gdyby zamiast cegieł był to Fontenot, z pewnością już by nie żył. Niestety nie był to Fontenot.

194 *Mallory Kane*

Po raz ostatni Fontenot rzucił okiem na swoje? najnowsze dzieło. Tak, wszystkie kable i magnetyczne zamki, które zostały zamocowane przy drzwiach wejściowych do apartamentu Dany, były podłączone prawidłowo. Wyjął z kieszeni pilota, przycisnął, jeden z guzików i rozległ się krótki, głuchy dźwięk. To znak, że układ działał prawidłowo.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Drzwi także otwierały się gładko, nie prowokując najmniejszych choćby podejrzeń Ciekawe, jak poradzą sobie z tym ci policyjni partacze, pomyślał złośliwie. A zresztą, jeżeli wszystko potoczy się zgodnie planem, Maxwell i tak wpadnie w jego ręce. I tylko szanowna pani Maxwell dozna szoku, bo to właśnie ona okaże się jedyną osobą odpowiedzialną za Śmierć swego męża.

On zaś, genialny Gerard Fontenot, na długo przed tym, zanim policja włączy się do akcji, będzie już za granicą. A więc to, co teraz robi, jest tylko awaryjnym planem B, przygotowanym na wszelki wypadek.

Wsunął pilota do kieszeni i ruszył w stronę sypialni.

- Pani Maxwell? - Dotknął jej policzka. Dana ocknęła się i spojrzała na niego z niezmiernym obrzydzeniem.

- Proszę mi wybaczyć, że zostawiłem panią zawiązaną na całą noc. Zdaje sobie sprawę, jakie to niewygodne. - Szarpnął ją do góry i zepchnął nogi z łóżka, zmuszając, by usiadła. - To dobrze, że wzrok nie może zabić, bo pewnie już bym nie żył. - Wyjął z kieszeni brzytwę i jednym ruchem przeciął taśmę, która oklejała koc szczelnie owinięty wokół Dany.

Bez skrupułów 195

- Mam nadzieję, że nie będzie pani próbowała żadnych sztuczek. Jak pani widzi, jest to bardzo ostre narzędzie, którym bez trudu mogę wyrzeźbić na przykład na pani policzku gustowny wzorek.

- Widząc jej przerażenie, pokiwał z zadowoleniem głową i schował brzytwę do kieszeni. - Cieszę się, że się rozumiemy. Mam też coś na wypadek, gdyby przyszło pani do głowy uciekać. - Rozpiął marynarkę i poklepał dłonią kaburę. - Myślę, że teraz, kiedy wszystko jest już jasne, mogę panią uwolnić od tej niewygodnej taśmy. - Gwałtownym ruchem zdarł taśmę z jej ust.

Jęknęła.

- Ty chory... - syknęła, ale widząc jego wzrok, ugryzła się w język. - Zobaczysz, że dopadnie cię policja.

- Pani Maxwell, proszę bez obraźliwych insynuacji. Gdyby potrafili mnie złapać, zrobiliby to już dawno. Ale nie potrafią, bo tu nie idzie o to, kto ma szybsze nogi, ale kto jest inteligentniejszy. A sugerowanie, że w tej konkurencji policja góruje nade mną, jest równie absurdalne, co ubliżające. Jestem całkowicie pewien, że nim wybitni eksperci z nowoor-leańskiej policji połapią się, w czym rzecz, będę już w kraju, który ze Stanami nie podpisał umowy o ekstradycji. Zamierzam spędzić tam resztę mojego życia. Poprzednim razem przeszkodził mi w tym pani mążzonek. Dlatego został postrzelony. To było ostrzeżenie, ale nie posłuchał. Tym razem, proszę mi wierzyć, wie doskonale, że naraża nie tylko swoje, ale również pani życie.

196 *Mallory Kane*

- Tym razem się panu nie uda! Wrócisz za kratki, gdzie jest twoje miejsce... Nie myśl, że znów ci się uda, że na zawsze pozostaniesz bezkarny.

Genialny Fontenot wybuchł obrzydliwym, obleśnym śmiechem.

- Och, pani Maxwell, zapewniam panią, że nie spadnie mi z głowy ani jeden włos. Przecież tak jest już od lat.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dana była przerażona. Wreszcie w całej pełni pojęła, z kim ma do czynienia. Fontenot był człowiekiem bardzo inteligentnym, jak i całkowicie nieobliczalnym. Nie miał żadnych oporów, zdolny był do wszelkich czynów. Należał do innego, nieznanego Danie świata, w którym obowiązywał kodeks zła, jednocześnie jednak świetnie rozumiał, czym kierują się w swym postępowaniu normalni ludzie, i właśnie to czyniło z niego geniusza zbrodni.

Geniusza - przynajmniej we własnym mniemaniu. Dana uważała natomiast, że jest megalomanem i dewiantem, groźnym dla społeczeństwa socjopatą. Sprytnym, przebiegłym, bez pamięci zakochanym w sobie. Uważał się za herosa, choć tak naprawdę był psychicznie chory.

198 *Mallory Kane*

- Jesteś szalony - wyrwało jej się, choć wiedziała, że nie miało to sensu. Nie potrafiła jednak zapanować nad nerwami. - Zobaczysz, wreszcie powiniene ci się noga i Cody cię dorwie! To tylko kwestia czasu. Spotka cię kara, będziesz cierpieć za wszystko, co zrobiłeś, zapłacisz za tych, których skrzywdziłeś.

Fontenot z żalem spojrział na kawałek taśmy, który przed chwilą zdarł jej z ust.

- Szkoda, że nie potrafi się pani zachować - powiedział powoli - bo ta taśma nie działa zbyt korzystnie na pani skórę. Ale cóż, zmusiła mnie pani do tego, nie mam innego wyjścia.

Dana nagle zdała sobie sprawę z piekącego bólu wokół ust. Zupełnie jakby Fontenot oderwał tę cholerną taśmę razem ze skórą; Raz jeszcze spojrziała na swego oprawcę, który z sarkastycznym uśmiechem przymierzał się, by ponownie ją zakneblować. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi, a serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Chciała krzyczeć, wołać

o pomoc, ale wiedziała, że tylko spokój może ją uratować. Musiała powstrzymać Fontenota.

- Proszę - zaczęła błagalnym głosem - nie zaklejaj mi ust, obiecuję, że nie będę się więcej odzywać.

- No proszę, jak chcesz, to potrafisz być mądra i dzielna... - Chwycił ją za ramię i szarpnął do góry.

Dana zachwiała się. Od wielu godzin pozbawiona była wody, jedzenia i wszelkiego ruchu, co bardzo ją wyczerpało.

- Tylko niech pani mi tu nie mdleje, pani Maxwell. - Znów nią potrząsnął.

- Więc proszę dać mi wody.

Bez skrupułów 199

Czuła, jak jego palce wbijają się w jej ciało.

- Wy... kobiety... - wysyczał - wszystko potraficie zepsuć! Leżeć! - Pchnął ją brutalnie w stronę salonu i przewrócił na kanapę.

Po chwili wrócił ze szklanką wody.

- Pij, tylko szybko, bo nie mam czasu na głupoty, muszę dopracować jeszcze jeden szczegół.

Dana wypila wodę jednym tchem. Wyjął jej z ręki szklankę i wcisnął telefon komórkowy.

- A teraz zadzwoni pani do męża. Czas, żeby również on tu się pojawił...

- Idź do diabła! Sam sobie dzwoń... Fontenot z całej siły uderzył ją w twarz.

Cody rozprostował obolałe plecy. Cały poranek przeczesywał wypalone ruiny domu, szukając jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co naprowadziłoby go na jakiś trop. Ale nic takiego nie wpadło mu w ręce.

Ledwo trzymał się na nogach. Był wykończony po wczorajszych wydarzeniach, które przerosły wszystko, co do tej pory przeszedł. Wiódł burzliwy żywot oficera z Wydziału Zabójstw, ale tych chwil, gdy był pewien, że Dana nie żyje, nie można było porównać z niczym.

Ale Dana żyła! Zacisnął mocno zabandażowane dłonie, nie zważając na ból. Ten bydlak odpowie mi za wszystko! - pomyślał mściwie. Za wszystko, co kiedykolwiek zrobił...

Cody rozejrzał się po okolicy. Do pogorzelniska zbliżał się Dave, ale było już jasne, że nie znajdą tu odpowiedzi na nurtujące ich pytania.

200 Mallory Kane

- Zabierajmy się stąd, Dave!

Może powinni wrócić do Nowego Orleanu i raz jeszcze drobiazgowo przeanalizować postępowanie Fontenota? Może dzięki temu znajdą jakiś punkt zaczepienia?

- Gdzie chcesz jechać?

- Może na posterunek? Wiem tyle, że nic tu po nas... - Odrzucił kij, którego używał do przeszukiwania pogorzeliska, i otrzepał dłonie.

Oparzenia, choć bardzo bolesne, na szczęście nie okazały się groźne. -

Nie rozumiem, dlaczego Fontenot jeszcze się ze mną nie skontaktował...

Dave, co robisz? Czyżbym coś przeoczył?

- Zobacz sam! - Dave wpatrywał się w miejsce, na którym jeszcze niedawno znajdowały się drzwi wejściowe, a potem ruszył w stronę zarośli.

Cody podążył za nim i natychmiast, jak w złym śnie, stanęły mu przed oczami płomienie, a w uszach zadudnił potworny huk.

Otrząsnął się.

- Chodź tu! - Dave zatrzymał się i przyklęknął.

- Co masz?

- Spójrz!

Trawa była wygnieciona, jakby ktoś tu się kręcił i jakby siedziały tu... dwie osoby. Kawałek dalej natknęli się na ślady małych stóp. Mogła je pozostawić tylko Dana.

Cody poczuł się, jakby odsłonięto przed nim kolejną scenę w teatrze.

- On tu był! Ten sukinsyn tu był i miał ją ze sobą! Jeśli coś zrobił Danie...

Bez skrupułów 201

- Uspokój się, dobrze wiesz, że potrzebuje jej żywej.
- Masz rację... - Tak. Fontenot potrzebował żywej Dany. Jednak Cody dobrze wiedział, jak długo można torturować człowieka, nim umrze. Nawet całe lata... - Patrz! Parszywy sukinsyn!
- Co?
- Popatrz w dół, wszystko jak na dłoni! Jak w teatrze oglądał stąd wszystko, zmusił też do tego Danę. Widziała kadr po kadrze, sekunda po sekundzie... Dave, musimy jak najprędzej dotrzeć do Nowego Orleanu.
- Dlaczego? Wpadłeś na coś? Ruszyli w dół.
- Wiesz tyle, co ja, tylko jeszcze tego nie posklejałeś - powiedział Cody. - Pamiętasz, jak to się zaczęło?
- Na pozór niewinne żarty...
- No właśnie. Na przykład Fontenot serwował mi na biurku kawę w moim ulubionym kubku, który jakimś cudem wynosił z mojego mieszkania, albo zabierał sprzed moich drzwi gazetę i zostawiał mi ją w samochodzie. Niby nic, ale zawsze to było zaskakujące.
- Mówiłeś o tym: „Jak ze snu wariata”.
- Aż wreszcie znalazłem w moim aucie wyniesiony przez Fontenota z domu Dany kolczyk. Wtedy zrozumiałem, że żarty się skończyły. Przesłanie było oczywiste: „W każdej chwili mogę ją dopaść”. A zaraz potem ta przemyślna zasadzka z pistoletem pod moimi drzwiami... Gdybym

202 Mallory Keine

szybciej zareagował, nic by mi się nie stało. Tak zresztą chciał Fontenot. Wszystko świetnie obliczył, mechanizm zadziałał bezbłędnie, strzał nastąpił z odpowiednim opóźnieniem... Niestety nawaliłem.

- To samo powiedziała Dana, że byłeś za wolny.

- I miała rację. Ona dobrze wie, czego się można po tym facecie spodziewać". Powinienem był przewidzieć, że to pułapka. Fontenot to specjalista od szatańskich pomysłów. Nigdy nie zapomnę tych migoczących świateł w samochodzie Dany. Byłem pewien, że to wybuch. A on przyglądał się z satysfakcją, pławiąc się w samouwielbieniu.

Podobnie było tutaj. - Cody odwrócił się i wskazał wzgórze. - Stąd nawet nie widać dobrze tych zarośli, ale oni mieli idealny punkt obserwacyjny. Zawlókł tam Danę i zmusił, by patrzyła, jak się ciskam i miotam. - Głos Cody'ego załamał się. - Boże, co to za potwór... - Zmrużył oczy. - Dave, jesteśmy glinami. Uczono nas, by emocje chować do kieszeni i zgodnie z procedurą wykonywać robotę. Zabezpieczyć dowody, przeprowadzić śledztwo, aresztować sprawcę, przekazać go prokuraturze. Ale w tym wypadku...

- Cody...

- Ale jeśli chodzi o Fontenota, marzę tylko

o jednym: by najpierw zobaczyć w jego oczach strach

i błaganie o litość, potem by zrozumiał, że nic mu to nie pomoże, a na koniec by wystrzelona przeze mnie kula rozwalila mu czaszkę.

- Cody, jesteśmy glinami... - Dave odetchnął głęboko. - Mamy chronić niewidnych ludzi przed

Bez skrupułów 203

złymi ludźmi, a nie wykonywać wyroki. Po to są te wszystkie procedury. Ale jeśli chodzi o Fontenota... to lepsza kula niż kajdanki. Choć gliniarz nigdy nie powinien tak myśleć.

- Wiem, Dave... Ale Fontenot nie jest naćpanym gówniarzem, który napada na sklep, czy zawodowym kasiarzem, który włamuje się do banku. Nie jest normalnym człowiekiem, który zszedł na złą drogę. Fontenot jest czystym złem, złem wcielonym. Nie ma ludzkiej miarki, którą można by do niego przyłożyć. W tym sensie nie jest człowiekiem, tylko drapieżną, a przy tym wyjątkowo perfidną bestią.

- Tak... Zna tylko dwa uczucia: nienawiść i sadystyczną satysfakcję.

- Oraz niezmiernie rozbuchaną miłość własną. Uważa się za geniusza zbrodni. Dlatego tak bardzo poczuł się zraniony i upokorzony, gdy udowodniłem, że zamordował swoją żonę. Nie mógł wprost uwierzyć, że ktoś zdołał zrekonstruować tę zbrodnię, mimo że lekarz stwierdził zgon z przyczyn naturalnych. Gdy ogłaszano wyrok, obiecał mi zemstę, ugodziłem go bowiem w najczulsze miejsce: w miłość własną, w przekonanie, że jest nieuchwytnym bogiem zbrodni.

- Ukaraleś jego pychę.

- Właśnie. Przeze mnie stracił wolność, ale najgorsze dla niego było to, że z mojej przyczyny zachwiał się mit o jego geniuszu. Wiesz, Dave, z chęcią bym mu palnął w łeb, ale zrobię to tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, jak przewidują to pro-

204 *Mallory Kane*

cedury. Z radością poddałbym go najgorszym torturom, ale nie uczynię tego, bo stałbym się taki sam jak on. Chcę natomiast po raz drugi posłać go za kratki. Tym razem nikt nie nabierze się na jego dobre sprawowanie, nikt nie uwierzy, że został zresocjalizowany. Zresztą w przypadku recydywy stosuje się dużo surowsze normy. Powtórnie zapuszczę Fontenota, tym razem na dobre. Skona w więzieniu, lecz nim to się stanie, każdego dnia od nowa będzie przeżywał swoje poniżenie. Bóg zbrodni oglądający świat zza krat... - Dotarli do samochodu. - Przysięgam, że go zamknę. - Sięgnął do kieszeni po telefon, który zaczął dzwonić. - Pewnie szuka nas Hamilton... I jeszcze jedno ci powiem, Dave, tym razem nie pozwolę Danie odejść. Już i tak straciłem dużo czasu. I... przesiądę się za biurko.

Dave pomógł Cody'emu odebrać telefon. Miał wciąż jeszcze zbyt obolałe i opuchnięte ręce, by przycisnąć właściwy guzik.

- Cody?

- Boże, Dana? - Serce omal nie stanęło mu w miejscu. - Dana! - Głos mu się załamał. Więc żyje! Ten słodki, kochany głos... Lecz wiedział, że Dana była w łapach Fontenota. Zadziałał instynkt świetnie wyszkolonego oficera policji. Cody, choć z wielkim trudem, zebrał się w sobie. - Gdzie jesteś, kochanie? - zapytał na pozór spokojnie.

- Wszystko w porządku, nic mi się rnie stało. A co z tobą?

Boże, jakie to szczęście, więc jest cała i zdrowa. To zaledwie kilka słów, a jaka ulga!

Bez skrupułów 205

- Cody, tak się za tobą stęskniłam. Proszę, przyjeźdź do... domu.

Króciutka przerwa przed słowem „dom” to był tajemny sygnał. Dana liczyła, że wychwyci ten prawie niesłyszalny intonacyjny niuans. Cody musiał się jednak upewnić, czy tak jest w istocie.

- Oczywiście kochanie, już jadę - stwierdził radośnie. - Więc jesteś już w domu? Naprawdę wszystko w porządku? Tak się cieszę. Powiedz, co się stało? Fontenot cię wypuścił?

Zapadła króciutka cisza. Kto inny nawet by jej nie zauważył, ale Cody tak. Dana rozgrywała to bezbłędnie. Dawała sygnały, które mogła odebrać jedynie osoba znająca ją na wylot. Czyli tylko Cody.

- Porwał mnie z sypialni, widziałam wszystko ze wzgórza... Potem, gdy jechaliśmy przez Nowy Orlean, udało mi się na światłach wyskoczyć z auta. Było mnóstwo ludzi, więc Fontenot mnie nie ścigał. Złapałam taksówkę i pojechałam do domu. Tylko tu czuję się... bezpieczna. - Znów ta trwająca ułamek sekundy pauza.

- Jadę do ciebie. Na razie najgorsze mamy za sobą. Fontenot schrzanił robotę, skoro pozwolił ci uciec. Pewnie teraz wpadł w panikę i ukryje się na jakiś czas. - Roześmiał się wesoło. - Mam ochotę na uroczystą kolację. Co ty na to?

- Świetny pomysł. Po tych emocjach należy nam się chwila odprężenia. Co mam przygotować? Może lasagne? To moja popisowa potrawa, zawsze mi wychodzi.

Taka była prawda, poza jednym przypadkiem.

206 *Mallery Kane*

Nim jeszcze się pobrali, Dana zaprosiła Gody'ego na lasagne.

Teoretycznie była świetnie przygotowana do przyrządzenia tej potrawy, jednak w praktyce skończyło się to katastrofą. Dana zmusiła Cody'ego do złożenia uroczystej przysięgi, że nigdy nikomu o tym nie opowie, a potem przez tydzień każdego wieczoru pracowała nad lasagne. Stała się prawdziwą mistrzynią, opracowała własne wersje tego dania.

Jednak o tamtej wpadce nikt nie wiedział, bo nigdy nikomu o niej nie wspominali. Fontenot, który obsesyjnie ich śledził, mógł co najwyżej usłyszeć, że Dana jest mistrzynią lasagne.

Rozmowa brzmiała więc niewinnie, lecz Cody zyskał pewność, że Dana, podając fałszywą informację sygnalizowała, że jest w Śmiertelnym niebezpieczeństwie. Teraz musiał doprowadzić ten dialog do końca bez wzbudzania podejrzeń Fontenota, a potem ruszyć na ratunek.

- Kochanie, myślałem, że nie żyjesz... - Głos mu zadrżał.

- Wiem, Gody... Wszystko widziałam... wybuch, pożar, ciebie, jak biegałeś przerażony...

Zaczynała wpadać w histerię, zupełnie jak nie Dana. Cody pomyślał, że Fontenotowi musi to się bardzo podobać.

- Kochanie, już po wszystkim. Skoro zdołałaś uciec, to znaczy, że ten szaleniec traci czujność. Dotąd działał bezbłędnie, ale to dowód, że zaczyna się sypać. Złapiemy go, teraz to kaszka z mleczkiem - rzucił beztrosko. - Uwierz mi, to psychologiczne abecadło, każdy gliniarz o tym wie. Jak coś zaczyna nie wychodzić, balon pęka i z supermana robi się trzęsąca galareta. - Roześmiał się złośliwie.

Był przekonany, że Dana zrozumiała podtekst. Cody zawsze podkreślał, jak bardzo groźny jest Fontenot, więc ta beztroska, głupia gadanina, nie miała sensu. Natomiast tajemne przesłanie brzmiało: „Wiem, że ten szaleniec jest z tobą”.

Bez skrupułów 207

- Cody... mimo to boję się. Przyjedź jak najprędzej.
 - Będę za dwie godziny. O niczym innym nie marzę, muszę cię zobaczyć, przekonać się, że jesteś cała i zdrowa. A gdzie mu uciekłaś? - zapytał, mając nadzieję, że zyska jeszcze jakąś informację.
 - W Algiers - powiedziała szybko.
 - W Algiers? - W najgorszej dzielnicy Nowego Orleanu, pomyślał. - I naprawdę wszystko jest w porządku?
 - Tak - powiedziała drżącym głosem. - Ale proszę cię, nie zapomnij o jakiejś niespodziance. - Jej głos stał się nagle jakby mocniejszy i wyraźniejszy. - No wiesz, tak jak zawsze, dobrze?
- Serce Cody'ego zaczęło bić jeszcze mocniej.
- Dana? Dana!
- Odpowiedziała mu tylko cisza, połączenie zostało przerwane.
Cody świetnie wiedział, że Dana nie cierpiała niespodzianek...
- Więc na czym stoimy, stary? Cody spojrzał na Dave'a.
 - Dana jest w swoim mieszkaniu - powiedział martwym głosem. - Fontenot też tam jest. Chce użyć jej jako przynęty.

208 *Mallory Kane*

- Powiedziała ci to wszystko?! Jakim cudem? Przy Fontenocie?

Gody wyprostował się z dumą.

- Jest mądra i dzielna. Tak, powiedziała mi wszystko. Przy Fontenocie.

Choć on o tym nie wie. Przynajmniej taką mam nadzieję...

Fontenot przerwał połączenie i patrzył ostro na Danę. Siedziała z palcami zaciśniętymi na słuchawce i nie chciała wypuścić telefonu z ręki.

- O co chodziło z tą niespodzianką? - zapytał szorstko, wyszarpując jej słuchawkę z dłoni.

W obawie przed kolejnym uderzeniem dotknęła rany, którą Fontenot pozostawił na jej policzku. Zahaczył ją pierścieniem, który nosił na małym palcu.

- Zawsze mi przynosi jakiś drobiazg, kiedy się dłużej nie widzimy. Miał niczego nie podejrzewać, a na pewno by tak było, gdybym o tym nie wspomniała... Będzie tu za dwie godziny.

- Może i prawda. Mówiłaś naturalnie i spokojnie. Liczę na to, że zdołałaś go przekonać i przyjedzie tu sam. Po co zabijać więcej osób niż to absolutnie konieczne?

Spojrzała na Fontenota. Miała nadzieję, że go przechytryła, liczyła też bardzo, że Cody odebrał jej sygnały. Lasagne, niespodzianka, delikatne zawieszenie głosu... Cody chyba ją zrozumiał, bo ta jego beztroska paplanina o stwarzającym śmiertelne zagrożenie szaleńcu...

A jeśli się myliła? Jeśli rozradowany Cody zjawi

Bez skrupułów 209

się tu sam, bez obstawy, przekonany, że przynajmniej na razie nic im nie grozi?

Boże, przecież Fontenot go zabije, zadrżała z przerażenia.

- Świetnie, droga pani Maxwell, mamy zatem sporo czasu. Dlaczego nie mielibyśmy napić się kawy?

- Szybciej, szybciej, ruszajcie się!

Cody stał nieruchomo, bezskutecznie próbując zachować cierpliwość, lecz przytwierdzanie kabli do jego torsu wcale nie było takie proste.

- Au - syknął, gdy jeden z techników oderwał energiczniej kawałek taśmy.

- Gotowe.

Kapitan Hamilton podszedł do niego i klepnął go po ramieniu.

- Jesteś pewny, Maxwell?

- Absolutnie, ten drań jest zdolny do wszystkiego. Muszę wejść tam sam, bez żadnej obstawy. Inaczej powystrzela wszystkich jak kaczki. I Danę też. Jest nieobliczalny.

- Przede wszystkim zabije ciebie, Maxwell.

- Jakoś sobie poradzę, kapitanie. Za to jak zwietrzy policję, nie będzie się wahał i... Dlatego wchodźcie do akcji jak najpóźniej, kiedy to będzie absolutnie konieczne. I nie zapominajcie: ten sukinsyn uwielbia pułapki, na pewno znowu coś wykombinował na drzwiach wejściowych.

- A ty uważaj na kable. Jeśli stracimy kontakt, natychmiast wchodzimy.

210 *Mallory Kane*

- Panie Maxwell, czy mógłby się pan odwrócić? Muszę zamontować nadajnik - powiedział technik, unosząc małe pudełeczko.

- Gdzie chcecie to zmieścić? - zdziwił się Cody. Cała jego klatka piersiowa poprzecinana była wzdłuż i wszerz kablami i plastrami. Pogładził je ręką. Wszystko trzymało się zadziwiająco dobrze. Mimo to ten pomysł wcale mu się nie podobał. Fontenot był za bystry, by złapać się na tak standardowy numer.

No cóż, Cody miał swój plan. Czy jednak zdoła tak bardzo zamieszać w głowie temu szaleńcowi, żeby zdążyć uratować Danę?

- To nadzwyczaj czuły mikrofon. - Hamilton wskazał na wąskie, czarne kabelki. - Istne dzieło sztuki, no i kosztuje majątek, więc proszę go nie zniszczyć. - Uśmiechnął się pod nosem.

Cody był mu wdzięczny za tę próbę rozładowania atmosfery.

- Oczywiście, sir, zrobię co w mojej mocy.

- Hej, Mat, przynieś golarkę - zwrócił się jeden z techników do swojego kolegi. - Nadajnik pójdzie pod pachę, więc trzeba wydepilować pana Maxwella jak panienkę przed pierwszym balem.

Rozległ się ogólny śmiech, zarechotał również Dave. Cody odwrócił się do niego i ostentacyjnie uniósł do góry środkowy palec.

- Myślę, że się obejdzie bez tego - syknął. Dave podszedł do przyjaciela i spojrzał mu

w oczy.

- Będziemy gotowi, Cody. Powiesz tylko słowo, a w ciągu sekundy znajdziemy się przy tobie.

Bez skrupułów 211

- Dzięki.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Dana to twarda i przebiegła sztuka. Cody pokiwał głową i zaczął się ubierać.

- No dobra, chłopaki, dość tych gadek - odezwał się kapitan. - Musimy wreszcie dorwać tego sukinsyna.

Cody ruszył w stronę wyjścia. Na chwilę przystanął w drzwiach, raz jeszcze dotknął ręką nadajnika, odwrócił się i machnął na technika.

- Coś takiego Fontenot odkryje w pięć sekund.

- Skoro tak, to proszę dać mi jeszcze chwilę. Mam pewien pomysł.

Cody patrzył na drzwi mieszkania Dany. Był pewien, że są otwarte. Fontenot nie obawiał się policji, bo miał na muszce najlepszą kartę przetargową, jaką można było sobie wyobrazić.

Lekko nacisnął klamkę i popchnął drzwi. Zajrzał do salonu i zobaczył Danę. Siedziała na sofie z podkurczonymi nogami, a na jej twarzy malowało się przerażenie. Boże, jak ona wygląda! Co to bydlę jej zrobiło...

- Dana - szepnął.

Spojrzała na niego niewidzącymi oczami, jakby nie dotarło do niej, że to on. Była blada jak ściana, na twarzy miała duży siniak i ciętą ranę. Ale żyła. Cody w duchu dziękował Bogu, że nic gorszego jej się nie przytrafiło.

- Cody... - Jej usta ledwie się poruszały. - Cody... - Wstała powoli, jakby nie wiedziała, co ma zrobić. W dłoniach ścisnęła jakieś kolorowe czasopismo.

212 *Mallory Kane*

- Chodź, kochanie. - Musimy walczyć, nie możemy się poddać, próbował przekazać jej wzrokiem.

Wciąż jednak stała w miejscu.

- Chodź, wszystko jest w porządku, niczego nie musisz się już obawiać - przemawiał do niej czule, choć świadomość, że ten sukinsyn przygląda się temu z satysfakcją, była trudna do zniesienia. Wziął się w garść. -

Myślałem, że nie. żyjesz. - Podeszedł do niej. - Pozwól mi trochę na siebie popatrzeć. - Ujął jej dłonie. Były lodowato zimne. Z trudem powstrzymywał się, by nie rozejrzeć się dokoła. Mocno ścisnął ją za rękę. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś bezpieczna.

Nieprzytomne z przerażenia oczy Dany zaczęły wypełniać się łzami.

Dobrze wiedział, co czuła i o czym myślała. Nie była bezpieczna, oboje nie byli bezpieczni, ale gra musiała toczyć się dalej.

Nieznacznie kiwnął głową, by zasygnalizować Danie, że doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji. Wreszcie objął ją i mocno do siebie przycisnął.

Widział w jej oczach wahanie i bezradność. Ale to nie był dobry moment na dopuszczanie takich uczuć do głosu. Spojrzał więc na nią i dodał:

- Mam dla ciebie niespodziankę...

Na twarzy Dany pojawiła się ulga. A więc Cody zrozumiał jej przesłanie.

Wtuliła się w jego ramiona i głęboko westchnęła.

Miał wrażenie, że Fontenot jest tuż obok i bacznie ich obserwuje. Liczył tylko na to, że nie zauważył radości i odprężenia na twarzy Dany.

Sam też, mimo całej grozy sytuacji, poczuł ogrom-

Bez skrpułów 213

ną radość, że znów trzyma ukochaną kobietę w ramionach.

- Kochanie, jesteś kobietą mego życia. Po tej eksplozji, kiedy byłem pewien, że zginęłaś, sam zapragnąłem umrzeć. - Jeszcze szczelniej objął ją ramionami i jeszcze mocniej przytulił. - A teraz, cokolwiek się stanie - szepnął jej cichutko do ucha - muszę, rozumiesz, muszę cię przy sobie jakoś zatrzymać. Życie bez ciebie nie ma sensu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Oczy Dany wypełniły się łzami.

- Przytul mnie - szepnęła - przytul mnie mocno. Zatopila w nim twarz i przez moment miała wrażenie, że nic złego się nie dzieje. Wiedziała, że to głupie, lecz było silniejsze od niej. - Dobrze, że jesteś, byłam taka przerażona...

- Brawo, cóż to za wzruszająca scena - dobiegł ich nagle głos Fontenota. Dana poczuła jeszcze silniejszy uścisk Cody'ego. Na moment ogarnęła ją panika, że jednak nie zrozumiał, co miała na myśli, gdy mówiła o niespodziance i nie był przygotowany na stoczenie bitwy z tym szaleńcem. Lecz po chwili odetchnęła z ulgą. Zanim ją od siebie odsunął, przycisnął jej dłoń do swojego torsu. Pod koszulą wyraźnie .

Bez skrupułów 215

wyczuła kable, a więc pojął jej intencje i jak zwykle stanął na wysokości zadania. Znała to dobrze, tyle razy smarowała jego tors i plecy maścią na odparzenia powstałe po taśmie klejącej. Teraz już wiedziała, że gdzieś w pobliżu policja czeka na hasło Cody'ego. Nie znaczyło to, że byli już uratowani, ale Dana nabrała nadziei.

Cody odsunął ją delikatnie od siebie.

- Fontenot? - rzucił lodowato.

- Witam pana, detektywie, jak to miło z pana strony, że się pan pofatygował.

Dana zacisnęła zęby. Wyszukane drwiny Fontenota przez ostatnią dobę wprawiały ją w przerażenie, teraz jednak z wielką chęcią rzuciłaby się temu lajdakowi do gardła.

- Spędziliśmy tu sobie z pańską żoną urocze chwile, panie Maxwell...

Cody rzucił Danie pytające spojrzenie, a ona mrugnęła porozumiewawczo, dając do zrozumienia, że nic strasznego jej się nie przytrafiło. Cody odetchnął z ulgą, spojrzał na Fontenota.

- Twarda sztuka z tej pana żony. Nieźle musiałem się natrudzić, by przekonać ją, że powinna do pana zadzwonić. Miała jakieś dziwne pomysły, że odda swoje życie za pana bezpieczeństwo... Doprawdy, trudno pojąć taki handel. Dopiero kiedy wykręciłem jej rękę i przygiąłem niepokorny karczek, poszła po rozum do głowy i zaczęła grzecznie z panem rozmawiać. -Twarz Fontenota nabrała szaleńczego wyrazu.

Dana zauważyła, jak dłonie Cody'ego zaciskają się w pięści.

216 *Mallory Kane*

- Ale sam pan przyzna, detektywie, że to poświęcenie nie miałyby żadnego sensu, skoro zaraz potem dorwałbym pana. Nie może ujść panu na sucho to, że zrujnował mi pan życie, wsadzając mnie do więzienia...

- Bo tam jest twoje miejsce, ty... - wpadł mu w słowo Cody.

- Panie Maxwell, proszę tylko bez grubiaństw, wszak jesteśmy w towarzystwie damy... Poza tym dobrze pan wie, że więzienie to nie jest miejsce dla mnie. Bo niby co ja takiego zrobiłem?

- Zabiłeś swoją żonę, a potem próbowałeś zabić mnie - chłodno powiedział Cody. - A teraz doszło jeszcze porwanie.

- Siadaj, Maxwell, i mnie nie denerwuj. - Na twarzy Fontenota pojawiła się zwierzęca wprost nienawiść.

Dana wreszcie mogła się przekonać, jak wielką obsesję na punkcie Cody'ego miał ten szaleniec. Gorączkowo zachodziła też w głowę, jak zamierza się tu dostać policja. Spojrzała na drzwi wejściowe. Zaraz, przecież Fontenot ich nie zamknął...

- Cóż bym bez pani zrobił? Dziękuję serdecznie za przypomnienie. Niech się pani nie martwi, nikt więcej nas tu nie zaskoczy. - Sięgnął do kieszeni, wyjął pilota i przycisnął jakiś guzik. Rozległ się suchy trzask, który odebrał Danie ostatnią nadzieję. - Teraz już drzwi są zablokowane, pani Maxwell, proszę się o nic nie martwić. No cóż, są zablokowane elektronicznie i wytrzymają nacisk tony, możemy być zatem spokojni, nieprawdaż detektywie? Czy to nie cudowne?

Bez skrupułów 217

A więc są nie do sforsowania, pomyślała zrozpaczona Dana. A co z oknami?

- Och, o okna też się nie musi pani troszczyć, są zabezpieczone. Widzi pani te wąskie kableki? To właśnie one nas chronią. Proszę mi wierzyć, jeśli ktoś będzie próbował dostać się tu przez okno, to zostanie przyjęty z wielką pompą. - Roześmiał się szyderczo.

Poczuła się kompletnie bezradna. Jakim cudem chcą wygrać z tym szaleńcem?

- Droga pani Maxwell, zechce pani wziąć ode mnie to żelastwo i zakuć swego męża w taki sposób, by ręce miał z tyłu?

- Nie ma mowy, nie zrobię tego - odparła bez namysłu. Lecz krótkie spojrzenie, jakie rzucił jej Cody, sprawiło, że zmieniła zdanie.

Miała nogi jak z waty. Podeszła do Fontenota i drżącymi rękami wzięła do niego kajdanki.

- Cody, nie mogę tego zrobić - szeptała. Jej oczy wypełnione były łzami. - Przecież on cię zabije...

- Proszę się pospieszyć - ponaglał Fontenot. Jego głos brzmiał dziwnie histerycznie i był bardziej napastliwy.

- Możesz, Dana, możesz, nie martw się, wszystko jest w porządku.

- Cieszę się, że podchodzi pan do tego tak racjonalnie, Maxwell - zapiszczał Fontenot. - Ja jestem czysty, prawda? To twoja żona cię zakuła... - W jego głosie słyhać było triumfalną nutę.

Czyżby wiedział też o nadajniku? - zadrżała Dana, czyżby już wszystko było przesądzone? Gdy spojrzała na Fontenota, wyczytała w jego oczach

218 *Mallory Kane*

odpowieź. Wymachiwał pistoletem i syczał rozjuszony jak dzikie zwierzę:

- Proszę się już odsunąć, pani Maxwell, proszę, nim stracę cierpliwość. Muszę coś sprawdzić. - Popchnął Cody'ego na ścianę, a potem przesunął ręką wzdłuż jego ciała. - No tak, pięknie, tego właśnie się spodziewałem, nie zaskoczył mnie pan. - Przeciął nożem koszulę wraz z podkoszulkiem. Na skórze Cody'ego pojawiły się małe kropelki krwi. - Cóż my tu mamy? Sądził pan, że się nie domyślę? Jakie to słodkie i naiwne. - Kawalek po kawalku zdzierał misternie przymocowaną taśmę.

Dana stała przerażona, nie mając pojęcia, co powinna zrobić. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

Cody zaklął pod nos, a potem ze wszystkich sił kopnął Fontenota w kolana. Fontenot upadł z hukiem, a pistolet wypadł mu z ręki.

Natychmiast jednak chwycił Cody'ego za nogi i przewrócił na podłogę. Wywiązała się szaleńcza bójka, którą przerwała Dana.

- Uspokój się, Fontenot - wycodziła przez zaciśnięte zęby, mierząc do niego z pistoletu, który poniosła z podłogi. - Wstań i podejdź do ściany. - Sama była zdziwiona siłą swego głosu i spokojem, jaki udało jej się zachować. Tylko trochę trzęsły się jej ręce, serce waliło jak oszalałe, a na czoło wystąpiły krople zimnego potu. Rzuciła krótkie spojrzenie Cody'emu. Leżał na podłodze bez ruchu. Czyżby stracił przytomność? Przeniosła wzrok na Fontenota. - Pod ścianę! - krzyknęła. - Słyszysz, dalej! Na co czekasz?

Bez skrupułów 219

Fontenot podniósł się. Dostrzegł na podłodze mikrofon i zmiażdżył go stopą. Kompletnie ignorował fakt, że Dana mierzyła do niego z naładowanej broni.

- A więc jedną rzecz mamy z głowy... - Odwrócił się do Dany. -

Przepraszam, pani Maxwell, co pani mówiła?

Wycelowwała w jego głowę, z trudem opanowując drżenie dłoni. Pistolet był o wiele cięższy niż przypuszczała.

- Jeżeli w tej chwili nie staniesz pod ścianą, wpakuję ci kulę w łeb! - zawołała.

Fontenot, nie zważając na słowa Dany, ruszył w jej stronę.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Mówię poważnie! Nie dawaj mi powodu, bym pociągnęła za spust. Podnieś ręce i pod ścianę! - zakomenderowała.

- Jeśli mnie pani teraz zabije, będzie to morderstwo z zimną krwią - powiedział najspokojniej w świecie.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Stała w rozkroku i cały czas trzymała go na muszce.

Zatrzymał się i zaczął się jej uważnie przyglądać, jakby rozważał możliwość odebrania jej broni.

- Pani jest naprawdę bardzo zdenerwowana. - Nie poruszył się nawet o krok. Wciąż stał tuż obok Cody'ego.

- Dziwisz się? Ty łajdaku! Kazałeś mi przyglądać się całej tej koszmarnej szopce podczas eksplozji! Jesteś szurnięty! Szurnięty i niebezpieczny! Zasługujesz tylko na śmierć! Nie zawaham się! Teraz

220 Mallory Kane

rozumiem, dlaczego Cody został gliną, wiem, jaka to satysfakcja strzelić w łeb takiemu bydlakowi jak ty! Sprzątnąć cię, to prawdziwa przyjemność i prezent dla całej ludzkości. Cody miał rację, jesteś szurniętym maniakiem!

- Więc proszę mnie zabić, a spędzi pani resztę życia w więzieniu, a pani ukochany będzie musiał to jakoś znieść. To byłby wspaniały rewanż.

- Dana...

Omam nie wypuściła pistoletu z ręki. Zerknęła na Cody'ego, nie spuszczaając jednocześnie Fontenota z oka.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak, grzmotnąłem o stół, ale już jest OK. Zdejmij mi kajdanki i daj pistolet.

- Dobrze. Ale on musi zginąć, teraz cię rozumiem, Cody. Przepraszam, że dopiero teraz...

Po chwili podszedł do niej.

- Ale my wciąż nie mamy żadnych dowodów przeciwko temu psycholowi i to jest najgorsze. Oprócz porwania niczego mu nie możemy na razie udowodnić.

- Widzi pani - powiedział Fontenot - jestem bardziej inteligentny, niż pani przypuszcza. Myślę, że od zarzutu porwania też się uwolnię. Pani zeznania przeciwko moim, brak materialnych dowodów... Pracowała pani w sądzie, więc dobrze pani wie, co dobry adwokat może w takiej sytuacji zrobić.

Najgorsze było to, że Fontenot miał wiele racji. Dana, pracując w sądzie, widziała niejedno. Sprawą tylko na pozór była oczywista, sprytny i cyniczny

Bez skrupułów 221

adwokat mógł posiadać tyle wątpliwości, że sądowi nie pozostałoby nic innego, jak uwolnić Fontenota od zarzutu z braku jednoznacznych dowodów winy.

Na moment ogarnęło ją poczucie bezsilności, a zaraz potem - dzika furia. Była gotowa wpakować cały magazynek w Fontenota, mając w wielkim poważaniu wszystkie konsekwencje.

- Co robimy? - spytała Cody'ego.

- Rozkuj mnie, oddaj mi pistolet i zadzwonimy po policję - powiedział spokojnie.

Fontenot zrobił kilka kroków w ich kierunku.

- Nie! - krzyknęła Dana. - Nie uda ci się nas wykiwać! Nie licz na to! Rozwalę ci łeb!

- Kochanie, wszystko skończone - szepnął Cody.

- Naprawdę nie mam ochoty odwiedzać cię w więzieniu. Ten drań wygrał ze mną - westchnął Cody.

Fontenot uśmiechnął się z satysfakcją.

- Jest tylko jedna rzecz, której nie mogę zrozumieć - dodał Cody.

Uśmiech natychmiast zniknął z usatysfakcjonowanej twarzy Fontenota.

- Co ma pan na myśli?

- Wydaje mi się, że mógł pan to i tamto zrobić trochę lepiej. - Po ustach Cody'ego błąkał się dziwny uśmiezek.

Dlaczego oni wdają się w jakąś bzdurną dyskusję? Dana nic nie pojmowała.

- Lepiej? Ja, lepiej? Ale co ma pan na myśli?

- zainteresował się Fontenot.

- Jeśli jest pan faktycznie taki genialny, to dlaczego spieprzył pan tak prostą pułapkę?

222 *Mallory Kane*

Spojrzał na niego zaskoczony.

- Słucham?! Ja coś popsułem?

- Tak, i to bardzo, panie Fontenot. Ten ładunek w samochodzie. To był naprawdę głupi błąd. Poza tym znaleźliśmy odcisk pańskiego buta... To są materialne dowody, nie jakieś tam zeznania, które można podważyć... Twarz Fontenota poczerwieniała. Przez zaciśnięte zęby syknął:

- Ty patetyczny idioto! Nic nie zrozumiałeś! Jesteś tak samo głupi, jak ta cała reszta. A już zacząłem zmieniać o tobie zdanie, już chciałem nazwać cię przeciwnikiem. Boże, dlaczego muszę być otoczony głupcami! -

Zrobił krok do przodu.

Lecz Oana uniosła wyżej broń.

- Stój!

Machnął w jej stronę ręką, jakby była natrętną muchą, a potem spojrzał na Cody'ego.

- Dobrze wiesz, że zrobiłem tę pułapkę z pistoletem nie po to, by cię zabić czy choćby zranić. Niestety przeceniłem cię, detektywie od siedmiu boleści. Myślałem, że jesteś bardziej inteligentny i trochę sprawniejszy. Ale okazałeś się za głupi, żeby zauważyć ostrzeżenia. Co to była za sztuka wyczuć, że drzwi stawiają opór albo usłyszeć metaliczny dźwięk. A bomba w samochodzie wprost idealnie spełniła swoje zadanie! Miała napędzić wam stracha, zaskoczyć was. I tak właśnie się stało, może nie?

- Tak samo w przypadku twojej żony? - odciął się Cody.

- Oczywiście - roześmiał się Fontenot - właśnie

Bez skrupułów 223

tak. Była wyjątkowo mało inteligentna, a do tego mnie zdradzała. Nie było więc innego rozwiązania. Biedna Eddie - westchnął z uśmiechem - na szczęście miała problemy z sercem.

- Więc powiesiłeś jej martwego kota nad łóżkiem, a krew skapywała wprost na nią.

- To był jej kot - odparł Fontenot z błogim wyrazem twarzy. - Gdybyś potrafił to ocenić, powiedziałbyś, że to genialne. - Machnął lekceważąco ręką.

- Potem powtórzyłeś ten sam numer z martwym wężem, na koniec załadowałeś lodówkę żywymi węzami, bo na ich punkcie miała fobię. Fontenot uśmiechnął się cynicznie.

- Ot, taki żarcik, przecież nie były jadowite... Nie musiały, bo ona śmiertelnie bała się węży. Miałem w zanadrzu jeszcze kilka niezłych pomysłów, na wszelki wypadek, gdyby te nie poskutkowały. To znaczy gdyby jej słabe serce przetrwało numer z węzami. Widzisz, jakie to proste, a ty, miernoto, nie potrafiłeś tego udowodnić. Podczas rozprawy mój adwokat starł twoje spekulacje na proch. Owszem, wykazałeś, że robiłem mojej żonie głupie dowcipy, ale nie udowodniłeś, że chciałem ją wysłać do lepszego świata. A bez premedytacji nie ma morderstwa, co najwyżej nieumyślne zabójstwo... Tak też orzekł sąd. A ty, podporo Wydziału Zabójstw Departamentu Policji w Nowym Orleanie, nadal nie wiesz, jak zrobić ze mnie mordercę.

- No, niestety...

- To straszne, urodzić się taką miernotą, prawda?

224 *Mallory Kane*

- Niewątpliwie, ale co teraz masz zamiar zrobić? Zniszczyłeś nadajnik, to prawda, ale przecież jak nas zabijesz, wsadzą cię do pudła, nie wywiniesz się.

- Och, proszę nie być takim pesymistą, teraz będzie najzabawniejsza część całego przedstawienia. Pana żona wie już doskonale, jak bardzo uwielbiam zadawać ból. To mnie uszczęśliwia i podnieca. Jakiś czas bawiłem się z panem w kotka i myszkę, potem pozwoliłem panu wierzyć, że pańska żona nie żyje, a teraz... teraz chciałbym, żeby poznał pan wreszcie prawdę. - Zrobił efektowną pauzę. - Z największą rozkoszą będę się przyglądał, jak odbiera pan sobie życie, strzelając z własnego pistoletu.

Dana poczuła, jak krew zaczyna pulsować w jej skroniach.

- Ty żaloszny, bezwartościowy śmieciu, nie zasługujesz na to, by oglądać światło dzienne. Mam ochotę rozwalić ci łeb! - syknęła Dana.

- Mam wrażenie, pani Maxwell, że za dużo szmir ogląda pani w telewizji. Zniżę się więc do pani poziomu: nie ma pani jaj, żeby to zrobić.

- Jest pan pewien? Wiele lat przyglądałam się z dezaprobatą pracy Cody'ego, ale dopiero teraz zrozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi i jaka to satysfakcja eliminować takie śmieci jak ty.

- Dana - zwrócił się do niej Cody - on nie jest wart, żebyś zmarnowała sobie życie. Wierz mi, to nie ma sensu...

- Oczywiście, że ma! Całe swoje życie przepracowałeś w policji i wiesz, że tylko to ma sens! Ten łajdak powinien zginąć bez śledztwa, rozprawy i tych

Bez skrupułów 225

wszystkich bzdur. - Obtarła dłonią łzy. Próbowała opanować drżenie ręki, w której trzymała pistolet.

- Pamiętaj, choć tyle lat jestem gliną, nigdy nikogo nie zastrzeliłem.

Pakowałem do pudła, ale nie zastrzeliłem. Dana, nie możesz stracić nad sobą kontroli.

Spojrzała na niego zszokowana.

- Nigdy? Jak to możliwe? Naprawdę nigdy?

- Nigdy. Nie w ten sposób załatwiam bandziorów. Nie martw się, jeszcze go dorwiemy i zapusz-kujemy na amen. Zdechnie za kratkami. Wiedz o tym, że wolałby zginąć, niż wrócić do więzienia.

- Już się cieszę na tę rozgrywkę. - Na twarzy Fontenota znów pojawił się przerażający uśmiešek. - Nie wygrałeś ze mną i dobrze wiesz, że nigdy ci się to nie uda. Tym razem wyjdę na wolność jeszcze szybciej niż poprzednio, a ty wiesz, że nigdy nikomu niczego nie wybaczam i nie zapominam. Zrujnowałeś mi życie, wsadzając mnie za kratki, drugi raz ci się to nie uda. Zabiłem żonę, żeby poczuć się wolnym od tej suki, ale ciebie załatwię dla czystej przyjemności.

- Wiesz co, Fontenot? W odróżnieniu od ciebie nie mam tak genialnej pamięci, dlatego na wszelki wypadek zawsze noszę przy sobie drugi nadajnik. Chciałem ci więc bardzo podziękować, że byłeś z nami tak szczerzy.

Twarz Fontenota zapłonęła, a na jego skroniach pojawiły się grube, pulsujące żyły. Wydał z siebie zwierzęcy ryk i rzucił się w stronę Cody'ego. Ten jednak nawet nie drgnął, stał nieporuszony z rękami

226 *Mallory Kane*

wciąż zakutymi w kajdanki. Dana z przerażeniem przyglądała się tej scenie. Poczowała, jak palec spoczywający na spuście zaczął jej drżeć. „Nigdy nikogo nie zabiłem”, rozbrzmiewało echem w jej uszach. Ale nie mogła przecież czekać, aż stanie się coś jeszcze strasniejszego.

Wiedziała, że Fontenot ma przy sobie brzytwę. Jednym celnym ciosem mógł zabić Cody'ego. Z korytarza dobiegały głośne rozmowy i trzaski. To policja usiłowała wyłamać zaryglowane drzwi. Łkając, przyglądała się, jak dłonie Fontenota zaciskają się na gardle Cody'ego.

- Fontenot, przestań! - krzyczała histerycznie. - Zostaw go! Słyszysz? Zostaw go!

Ale Fontenot nie słyszał jej słów. Widziała, jak sięga do kieszeni i wydobywa z niej brzytwę. Jej uszu dobiegły strzały. Ludzie z policji próbowali przestrzelić zamki.

- Przysięgam, że cię zabiję! - krzyknęła raz jeszcze. Patrzyła, jak Cody wije się na podłodze, próbując zrzucić z siebie tego szaleńca, lecz wściekłość dawała Fontenotowi nadprzyrodzoną siłę. Spostrzegła jednak, że podczas szamotaniny coś jeszcze wypadło mu na podłogę. Był to pilot do zamka. Cody krztusił się i kaszłał. Nie zastanawiając się dłużej, rzuciła się do przodu i nacisnęła czerwony guzik. Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła policja. W tym momencie Cody'emu udało się uwolnić i z całej siły pchnął Fontenota w kierunku nadbiegającego Dave'a. Ten jednym ciosem powalił szaleńca na niski stół, który pod ciężarem bezwładnie upadającego Fontenota rozpadł się z trzaskiem.

Bez skrupułów 227

Dave przystawił Fontenotowi spluwę do głowy i wycedził:

- A teraz tylko daj mi powód, żebym mógł cię zastrzelić, ty bydlaku!
- Złamałem kręgosłup - jęknął Fontenot - pomóż mi!
- Pomogę ci, nic się nie martw, pomogę ci wrócić do pudła! - ryknął Dave.

W jednej chwili pokój zapełnił się umundurowanymi policjantami. Dana przeciskała się między nimi, by jak najszybciej znaleźć się obok Cody'ego.

- Ty krwawisz! - zaszlochała, widząc na jego koszuli czerwone plamy.
- Nie martw się, kochanie, to tylko powierzchowna rana.

Jeden z policjantów pomógł mu wstać i zdjął kajdanki. Cody potarł dłonią piekące ślady na szyi.

- To nic takiego... - szepnął.
- Cody, chciałam go zabić, naprawdę chciałam. Jeszcze moment i bym wystrzeliła. Nie zawahałabym się, wierz mi!
- Wiem, kochanie, ale dobrze się stało. Świetnie to rozegrałaś. Uratowałaś nam życie, a teraz nie myśl już o tym. Zachowałaś się jak należało. - Objął ją ramieniem i mocno przytulił. - Mam nadzieję, że już do końca naszych dni będziemy bezpieczni i spokojni.
- Do końca naszych dni? - Dana spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Co masz na myśli?
- Wydaje mi się, że jestem już za stary na takie zabawy...

228 *Mallory Kane*

- Ale przecież ty to kochasz, kochasz być gliną. Nie chcę cię unieszczęśliwiać, nie chcę, byś przeze mnie rezygnował ze swoich marzeń.

- Nie będę rezygnował z marzeń. Zajęło mi to dużo czasu, ale już wiem, że bycie gliną to mój zawód, choć moje prawdziwe marzenie znajduje się w moich ramionach. Po tym, jak odeszłaś, już nigdy nie byłem szczęśliwy.

. - Och, Gody, wiedziałam, że mnie kochasz, wiedziałam... widziałam to w twoich oczach. - Głos Dany załamał się, a po jej policzkach potoczyły się łzy. - Nigdy nie wymażę z pamięci tego obrazu, jak próbowałeś mnie ratować z pożaru, nigdy nie zapomnę twego przejmującego głosu. Jakie to było straszne! - Ukryła twarz w jego ramionach. - Straszne... - szepnęła raz jeszcze. - Zawsze będę drżała na wspomnienie o tym, zawsze będę martwić się o ciebie. - Westchnęła ciężko, a potem spojrzała mu prosto w oczy. - Ale jakoś sobie z tym poradzę, jeżeli będę czuła, że mnie kochasz. - Nie sądzę, byś kiedykolwiek dowiedziała się jak bardzo. Nie potrafię tego wyrazić.

Potrafił. Nigdy nie zapomni tych rozdzierających serce i wyrażających skrajną rozpacz okrzyków, tej szamotaniny z Dave'em, tego, jak bez względu na śmiertelne niebezpieczeństwo brnął poprzez płonące zgliszcza, by ją odnaleźć. A przecież nie była dla niego dobrą żoną... Ten widok będzie miała przed oczami do końca swoich dni. Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że ją kocha. Czuła w sobie taką siłę, że mogłaby przeciwstawić się całemu światu.

Bez skrupułów 229

Cody spojrział na nią filuternie.

- Chodźmy wreszcie do domu, mam dla ciebie niespodziankę.

Roześmiała się serdecznie, choć po jej policzkach wciąż spływały łzy.

- Nie wiem, czy wytrzymam dziś jeszcze jakąś niespodziankę.

- Jestem więcej niż pewien, że ta ci się spodoba, kochanie. - Objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku drzwi. - Posłuchaj uważnie, chodzą pogłoski, że szef na Charters Iland chce przejść na emeryturę. Kapitan Hamilton twierdzi, że to coś dla mnie i obiecał dać mi rekomendację.

- Na Charters Iland, tej małej wysepce, na którą trzeba przeprować się promem? Cody, przecież umrzesz tam z nudów! Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Więc powiem ci, czego chcę: chcę spędzić najbliższe pięćdziesiąt lat z tobą i co wieczór wracać do domu w przekonaniu, że jesteś tam i czekasz na mnie z utęsknieniem. Poza tym najwyższa pora podreperować amerykański baseball. Co powiedziałałabyś na naszą małą, prywatną drużynę?

- Nie przesłyszałam się przypadkiem? Powtórz to jeszcze raz!

- Widzisz, lata lecą, kochanie, i jeżeli mamy zdążyć z tą drużyną, to najwyższa pora, by się do tego zabrać.

Tak bardzo pragnęła mieć z nim dziecko, o niczym innym nie marzyła.

Nie była więc w stanie powstrzymać napływających do oczu łez. Ujęła

230 *Mallory Kane*

w dłonie jego zmęczoną twarz, na której malował się anielski uśmiech, i mocno go pocałowała.

- Wiesz, jak tak dalej pójdzie, to może polubię niespodzianki.

EPILOG

Dana z zadowoleniem spojrzała na nakryty stół. Chciała się jeszcze raz upewnić, czy o niczym nie zapomniała. Dziś nie może być żadnej wpadki, pomyślała. Ale wszystko było tak jak zaplanowała. Stół wyglądał nienagannie: biała porcelana i kryształowe kieliszki błyszczały w świetle świec, woda na raki wrzała w garnku, a ona miała na sobie koszulkę Cody'ego, tę z Akademii Policyjnej. I tylko koszulkę. Uśmiechnęła się sama do siebie. Pobiegła do kuchni i wyjęła z lodówki schłodzoną butelkę szampana. Kiedy Cody wejdzie, wszystko musi być gotowe. Wypiję tylko jeden kieliszek, upominała samą siebie. Gdy usłyszała dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza, chwyciła butelkę i weszła do salonu w tej samej chwili, w której Cody pojawił się

232 *Mal lory Kane*

w drzwiach. Ich spojrzenia się spotkały, a na jej policzkach pojawiły się delikatne rumieńce.

- Cześć, twardzielu - szepnęła ponętnie. Cody, o dziwo, bardzo się zmieszał. Dana nie

pojmowała, w czym rzecz, do chwili, gdy zauważyła głowę Dave'a wychylającą się zza drzwi.

- Cześć, pani Maxwell! O, widzę, że nie spodziewała się pani gości.

- Nie... hm... ale bardzo się cieszę.

Oczy Cody'ego ześlizgnęły się wzdłuż jej zgrabnych nóg. Chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł odpowiednich słów.

- Wygląda na to, że czasami trzy osoby to już tłum - roześmiał się Dave. - Zdaje się, że będą jakieś obchody. Zaraz, zaraz, niech policzę, no tak, dziś mijają dokładnie trzy miesiące od waszego ślubu.

Dana czuła, że jej policzki płoną. Wiedziała, że podkoszulek przykrywa zaledwie najbardziej intymne części ciała. Stała więc nieruchomo, bojąc się poruszyć. Byle tylko Dave nie zauważył, że brak jej podstawowych części garderoby.

- Cześć - rzuciła dzielnie. - Nalać wam szampana?

Dave, ku jej przerażeniu, podszedł i cmoknął ją w policzek.

- Jesteś naprawdę słodka. - Zniżył głos. - Jak się już nim znudzisz, daj mi znać. Ten twój twardziel nawet sobie sprawy nie zdaje, jak życie go rozpieszcza. - Puścił do niej oko. - No, stary! - Klepnął Cody'ego w ramię.

- Nie będę ukrywał, że ci zazdroszczę. - Z uśmiechem popatrzył na szczęś-

Bez skrupułów 233

liwych małżonków. - Dobra, gołąbeczki, będę już leciał.

- Nie, zostań. Wystarczy dla nas wszystkich

- odezwała się Dana,

- Może innym razem. Trzymajcie się.

- Czy on kiedykolwiek coś o sobie mówi? - zapytała Dana, gdy zamknęły się za nim drzwi.

- To zależy, co masz na myśli. - Cody przyciągnął ją do siebie.

- No, o sobie, o rodzinie i takie tam... czy związał się kiedyś na poważnie z jakąś kobietą.

- Nie, ale nie martw się o niego, Dave świetnie sobie radzi. Pomówmy lepiej o tym, co tu się szykuje... - Zamruczał jak kot i pocałował ją gorąco, a jego dłonie wsunęły się pod koszulkę. - Kochanie... a może by tak odłożyć kolację na potem?

- wyszeptał namiętnie, całując Danę w szyję.

Nie zamierzała się bronić, należała przecież do niego, był jedynym mężczyzną w jej życiu, którego kochała i pragnęła.

W kilka godzin później, gdy leżeli przytuleni do siebie na łóżku, Dana sięgnęła po kieliszek z szampanem, upiła łyk, a potem przystawiła go do ust Cody'ego. Parę kropli potoczyło się wzdłuż jego brody i szyi.

Uśmiechając się tajemniczo, osuszyła je wargami.

- Ymm, cóż za cudowna spontaniczność, kochanie, czyżby był jeszcze jakiś inny powód do świętowania? Bo wiesz co?

- Co?

Mallory Kane

- Mam dla ciebie niespodziankę. Dostałem tę pracę.
 - Dostałeś?
 - Tak, mogę być szefem policji na Charters Iland. Wezmę ją, jeśli ty tego chcesz.
 - A ty chcesz tego? - zapytała niepewnie, a jej serce zaczęło mocniej bić.
 - Tak! - szepnął i mocno ją przytulił.
 - To cudownie, ale nie robisz tego tylko ze względu na mnie?
 - Wierz mi, to jest to, czego pragnę. Bardziej pragnę tylko jednego...
- Dana spojrzała mu głęboko w oczy.
- Wciąż jeszcze chcesz mieć swoją drużynę? - zapytała cicho.
 - Dana! To prawda?
 - Tak...
 - Dana, moje kochanie! - Objął ją i mocno do siebie przytulił.
 - Cieszysz się?
 - Czy się cieszę? - Jego głos drżał z wielkiej emocji. - Wariuję wprost z radości! Ale jak ty się czujesz?
 - Lekarz powiedział, że wszystko jest w najlepszym porządku i że nie zanosi się na żadne problemy.
 - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię kocham? - szepnął, patrząc jej w oczy.
 - Myślę, że tak... Mocno, mocno, prawie tak jak ja ciebie.
 - Bardziej!

Bez skrupułów

235

- O nie, mój kochany. A tak w ogóle to nie radzę ci kłócić się z prawnikiem. Dobrze wiesz, że nie masz szans, żeby wygrać. A zatem bardzo cię proszę, daruj sobie, mój kochany, daruj sobie raz na zawsze.